

Dorota  
Schrammek

# Na brzegu życia



Dorota  
Schrammek

# Na brzegu życia

SZARA GODZINA



Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

*Anna Damasiewicz*

Redakcja

*Justyna Nosal-Bartniczuk*

Zdjęcia na okładce

© *Matthias Schrammek*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

*Grzegorz Bociak*

Korekta

*Bożena Sigismund*

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2016

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

*biuro@szaragodzina.pl*

*www.szaragodzina.pl*

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12

*dystrybucja@dictum.pl*

*www.dictum.pl*

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina, 2016

**ISBN 978-83-64312-93-9**

## Prolog

Pobierowo było piękne o każdej porze roku. Latem tętniło życiem ze wszystkimi jego urokami, aby wraz z pierwszymi opadającymi liśćmi zamieniać się powoli w senną miejscowość zapadającą w zimowy spokój. Przyzwyczajeni do tego mieszkańcy kurortu nie spodziewali się, że tym razem będzie zupełnie inaczej.

\* \* \*

Matylda włożyła sweter i wyszła przed dom. Była dopiero połowa września, ale rankiem temperatura nie przekraczała pięciu stopni. Po wyjątkowo upalnym lecie nadeszła zimna jesień. Poranki tonęły we mgłach, które z trudem opadały dopiero koło południa. Kobieta odnosiła wrażenie, jakby robiły to celowo, aby trzymać mieszkańców w niepewności.

Weszła do niewielkiej altanki i wyciągnęła grabie. Kilka brzoź rosnących na działce intensywnie gubiło liście. Najlepiej sprzątało się, gdy były nasiąknięte poranną wilgocią. Formowała niewielkie kopczyki, a potem wrzucała je na taczkę. Gdy przyjedzie Władek, wywiezie liście do pobliskiego lasu, gdzie wraz z trawą i igłami utworzą miękki dywan.

Po godzinie zrobiła przerwę. Wyprostowała plecy i przeciągnęła się trochę. Wciągnęła zapach wilgotnej, rozgrabionej ziemi. Gdzieś gdzieś białą zarodki grzybów. Bywały już takie lata, że pod brzoźami znajdowała podgrzybki, które rosły tu do późnej jesieni. Może i teraz pokrywały się wśród trawy? Władek ucieszyłby się, gdyby zaserwowała mu jajecznicę z grzybami. Rozglądała się, rozmyślając. Są! Dwa małe, brązowe łebki wystawały ponad trawą. Pochyliła się nad nimi. Dotykając mokrych kapeluszy, stwierdziła, że ukryła się tu cała podgrzybkowa rodzinka. Obiad zapowiadał się wspaniale. Ledwo zmieściła je w obu dłoniach. Doniosła do domu i rozłożyła na kuchennym stole. Gdy troszkę przeschną, oczyści je, a po południu przygotowuje posiłek. Nie miała ochoty iść już do ogrodu. Dzisiejsza mgła nie zamierzała opaść. Zapowiadało się więc ponure popołudnie, a takie najlepiej spędzić w domu.

Zaparzyła właśnie herbatę, gdy rozległ się dzwonek do furtki. Wyjrzała przez okno. Listonosz.

– Polecony do pani!

Po chwili podpisywała odbiór, zerkając na nadawcę. Dorota i Piotr, Wrocław! Jeszcze przy furtce niecierpliwie rozdarła dużą kopertę. Wyciągnęła plik zdjęć, z których spoglądała na nią rezolutna roczna piękność. Amelka!

– Moja śliczna wnusia... – Pogładziła zdjęcie, ciesząc się, że syn nie widzi tego gestu. Piotr zaraz by ją zbeształ, mówiąc, że na fotografiach mogą pozostać ślady.

Pobieżnie przejrzała zdjęcia. Dokładnych oględzin dokona w domu. Właściwie nie oględzin... Będzie delectować się widokiem Amelki, wspominać jej uśmiech i radosne piski, jakie towarzyszyły letnim odwiedzinom.

Gdy straciła nadzieję na to, że kiedykolwiek zostanie babcią, nadeszła wspaniała wiadomość od syna i jego żony. A gdy po raz pierwszy zobaczyła maleństwo, wzruszenie chwyciło za gardło. W oczach pojawiły się łzy. Życie potrafi być takie piękne! Jego dopełnieniem są dwie małe piąsteczki, niekształtna główka i pomarszczona twarzączka. Choć od tego momentu minęło dwanaście miesięcy, dla Matyldy narodziny wnuczki nadal były niezrozumiałym cudem. Dwa lata temu, podczas wakacyjnej wizyty, wydawało się, że z jakiegoś powodu małżeństwo Doroty i Piotra chyli się ku upadkowi. Pamiętała swoje obawy i wstrzeźliwość słów, aby nie okazać się nachalną teściową, wchodzącą na grunt nieprzeznaczony dla niej. Później jednak, jak za sprawą czarodziej-skiej różdżki, młodzi małżonkowie znowu stali się tacy, jak dawniej. Gdy na świecie pojawił się mały Cud, Matylda była pewna, że wszystko wróciło do normy.

Chociaż Amelka stała się oczkiem w głowie całej rodziny, to jednak na jej punkcie szczególnie oszalał Władysław. Nie znała go od tej strony. Podczas odwiedzin w szpitalu we Wrocławiu, gdy po raz pierwszy patrzył na małe zawiniątko, łzy leciały mu jak grochy.

– Zostałem dziadkiem! Zostałem dziadkiem! – powtarzał co chwile.

Gdy nieśmiało wspomniała, że ona jest babcią, zbeształ ją:

– Babcią to ty będziesz, gdy Dorotka urodzi synka. A na razie prawdziwym dziadkiem jestem ja. Zresztą, sama widzisz, że ten cudny nosek ma po mnie.

Jakby na zawołanie maleństwo otworzyło szeroko buzię i rozdarło się niewiarygodnie głośno.

– Gardło też – dodała Matylda i wszyscy się roześmieli.

Patrząc teraz na kopertę trzymaną w dłoniach, jeszcze mocniej za tęskniła za Amelką, jej meszkiem na główce i niepowtarzalnym zapachem. Położyła zdjęcia na stoliku w sypialni, aby wieczorem raz jeszcze je obejrzeć. Zerknęła do lodówki. Jak zwykle nie miała śmietany! Stwierdziła, że musi wybrać się do sklepu. Przebrała się, wystawiła rower z garażu i włożyła do koszyka torbę z książkami, które już tydzień temu miała zwrócić do biblioteki. Krótka wyprawa przeciągnęła się jednak do dwóch godzin. Matylda nie potrafiła odmówić bibliotekarce wspólnie wypitej kawy i sympatycznej rozmowy.

Po powrocie z werwą zabrała się za przyrządzanie posiłku. Obmyła grzyby, obgotowała je i obrała cebulkę. Gdy ta zaczęła skwierczeć na patelni, wrzuciła brązową masę, aby po pięciu minutach wbić na wszystko jajka. Zanim skręciła gaz, usłyszała wjeżdżający na podwórze samochód. Władysław zjawił się w samą porę! Nie musiała zerkać na zegar wiszący na ścianie. I bez tego wiedziała, że jest dwadzieścia minut po szesnastej.

– Witaj, kochanie! – rzuciła w stronę otwieranych drzwi.

Władysław uśmiechnął się, choć odniosła wrażenie, że zrobił to nienaturalnie. Przyjrzała mu się uważnie.

– Źle się czujesz? – Zaniepokojona dotknęła jego czoła. Mężczyzna był bledszy niż zwykle, gorączki jednak nie wyczuła.

– Chyba łapie mnie przeziębienie – odparł i odwrócił się plecami, aby nie widziała nagłego spazmu bólu rysującego się na twarzy.

– Umyj ręce, a ja przygotuję herbatę z cytryną – zarządziła i nadal krzątała się przy kuchni, nalewając wodę do czajnika i wkładając dwie saszetki do dzbanka. – Taka pora roku, że bakterie roznoszą się w zastraszająco szybkim tempie. Doktor Waldemar przedłużył nawet poranne godziny przyjęć, bo zjawia się tylu chorych, że nie dawał rady przebadać wszystkich w ciągu trzech godzin! Może i ty pójdziesz jutro do niego? Obejrzałby cię. Choć wolałabym, abyś unikał skupisk ludzi, szczególnie teraz. Zaraz zerknę do szafki, czy nie została nam zeszłoroczna nalewka z czarnego bzu. Powinna być gdzieś jeszcze butelka zachowana na wszelki wypadek.



Władysław słyszał, jak żona przestawia coś w szafce w poszukiwaniu wspomnianej nalewki i zamknął drzwi do łazienki. Dopiero tam głębiej odetchnął. Cieszył się, że Matylda skupiła się na czymś innym i odwróciła od niego uwagę. Mył ręce, gdy fala bólu ponownie go zalała, tym razem jeszcze silniej. Moką dłonią poluzował krawat. Drugą zaczął nerwowo szukać czegoś w kieszeni marynarki. Jest! Po chwili włożył małą, białą tabletkę do ust i popił ją wodą nabrałą w obie dłonie. Ból zelżał, napięcie w karku powoli ustępowało, a oddech stawał się głębszy. Jeszcze chwila i będzie gotowy do wyjścia.

Swoją drogą, chyba powinien posłuchać lekarza. Był dzisiaj rano u niego. Znajomy doktor przyjął go pół godziny przed innymi pacjentami.

– Nie może pan ukrywać choroby przed żoną – tłumaczył medyk.  
– Nerwica wymaga leczenia i odpowiedniej profilaktyki. Wskazane jest unikanie stresów i mniej intensywny tryb życia. Wiem, że nie może pan zarzucić swojej pracy, ale pewnie niektóre obowiązki wójta dałoby się scedować na innych?

Władysław machnął tylko ręką. Najwyższy czas zakończyć wizytę, pomyślał.

– Przypominam, że od nieleczzonej nerwicy jest tylko mały krok do stanu przedzawałowego, samego zawału lub innej choroby związanej z krążeniem. – Doktor Waldemar podniósł się, aby pożegnać pacjenta.  
– Nie przypuszczałem, że zarządzanie gminą jest takie stresujące. Przecież odkąd pan jest wójtem, zadłużenie zmalało, są nowe inwestycje i drogi... Słowem, same sukcesy.

– To moja ostatnia kadencja – obiecał Władysław. – Potem pójdę na zasłużony odpoczynek. Dwa lata jeszcze jakoś wytrzymam.

– Popieram emeryturę, choć gmina chyba nigdy się nie doczeka godnego następcy. – Lekarz z szacunkiem uścisnął dłoń wójta. – Jednak od kilku miesięcy obserwuję, że chyba ktoś ma chrapkę na pana stanowisko...

Władysław mrugnął nerwowo, zaskoczony kierunkiem rozmowy.

– Na szczęście nie jest to stanowisko, na które można co kwartał przeprowadzać konkurs ofert – odparł i szybko się pożegnał.

Dopiero po opuszczeniu gabinetu zmarszczył brwi. Miał przed

sobą jeszcze dwa lata urzędowania. Do tej pory powierzona funkcja przynosiła mu ogromną satysfakcję. Jednak od czasu pojawienia się Antoniego Woźnicy, jeździł do urzędu jak za karę. Tego dnia było podobnie.

Ledwo przekroczył próg własnego gabinetu, gdy bezszelestnie zjawiała się jego sekretarka.

– Dzień dobry, panie wójcie. – Milena Turowska stawiała na biurku zaparzoną przed chwilą herbatę. Władysław uwielbiał rozpoczynać dzień w biurze od filiżanki złocistego naparu. – Mam przynieść pocztę?

– Dużo korespondencji?

Nie odpowiedziała, pokiwała tylko głową.

– Znowu od niego?

– Wszystko od niego.

Po chwili przyniosła plik kopert. Władysław zerknął na pierwszą kartkę, aby z obrzydzeniem przesunąć ją na brzeg biurka. Podobnie zrobił z kolejnymi. Nie znał Antoniego Woźnicy. Kilkakrotnie widział go na zebraniach wiejskich lub w kościele, ale nigdy nie miał okazji do rozmowy z nim. Nie miał pojęcia, dlaczego ten człowiek robi wszystko, aby uprzykrzyć mu życie. Utrudniał pracę nie tylko wójtowi, ale większości pracowników urzędu.

\* \* \*

– Kochanie, chodź, jajecznicę stygnie! – Głos żony wyrwał Władysława z nawału złych myśli.

Dobrze, że przynajmniej w domu miał spokój. Jeszcze raz przejechał mokrymi dłońmi po twarzy. Ból ustał prawie całkowicie.

– Idę już! – odkrzyknął i po chwili otworzył drzwi łazienki.

Oddychał już normalnie.

\* \* \*

– Denerwujesz się. – Ryszard raczej stwierdził, niż zapytał.

Zoja pokiwała głową i niepewnym głosem odparła:

– Tak. Nie wiem, w jakim celu wzywa mnie ten adwokat. Nie lubię niespodzianek.

– Może to nic złego? – Próbował ją uspokoić.

- Akurat – powątpiewała. – Prawnicy nie wróżą niczego dobrego.
- Nie nastawiaj się negatywnie.

Wzruszyła ramionami. Nie chciała dzielić się swoimi obawami, ale podejrzewała, że to wezwanie jest sprawką Kaczorowskiego. Zupełnie jak rok temu. Zoja wiodła szczęśliwe i spokojne życie u boku Ryszarda. Tadeusz jednak nie byłby sobą, gdyby odpuścił. Nie mógł znieść, że byle pomoc apteczna – jak określił kobietę w prawniczym pozwie – nadszarpięła mu reputację i splamiła nazwisko, na które pracował latami. „Swoim zachowaniem przyczyniła się do mojej twórczej niemocy, przez co zostałem pozbawiony możliwości zarobkowania” – grzmiał w dokumencie. Pozew był tak absurdalny, że sędzia ledwo powstrzymywała śmiech, oddalając wszelkie powództwo.

Zoja jednak pozostała nieufna. Gdy parę dni wcześniej znalazła w skrzynce zaproszenie do stawienia się w jednej z najpopularniejszych szczecińskich kancelarii adwokackich, od razu obleciał ją blady strach.

– Jeśli się boisz, to zadzwoń tam. Dowiemy się wszystkiego wcześniej – doradzał Ryszard.

Mieszkali ze sobą od kilku miesięcy. To, co narodziło się między nimi od momentu pamiętnego pobytu w Pobierowie, nie było eksplozją wyjątkowych uczuć. Nie było gwałtownym porywem serc ani motylkami w brzuchach. Nie płonęło żarem. Było zaś stabilne i pewne. Zoja nigdy by się nie odważyła, by nazwać je miłością. Było jej z Ryszardem dobrze – tak po prostu. Lubiła budzić się przy nim, a wcześniej przez całą noc trzymać mężczyźnie dłoń na plecach. Nie z obawy, że ten spokój szybko się skończy, ale z chęci odczuwania jego obecności i ciepła. Wiedziała, że rano zasiądą do wspólnego śniadania, a potem ona pójdzie do apteki.

Ryszard nie opiekował się już Antosiem tak długo, jak kiedyś. Zajmował się nim popołudniami. Odbierał chłopca ze szkolnej świetlicy i czas do powrotu jego mamy spędzali razem. Zoja nigdy nie zaproponowałaby, aby zaprzestał tego zajęcia. Wiedziała, jaka więź łączy jej partnera z dzieckiem. Spotykali się ponownie wieczorem, gdy wracała z pracy, a opiekę nad Antosiem przejmowała jego mama. Przygotowywali kolację i każde zdawało relację z minionego dnia. Nie były to szczególnie długie rozmowy. Po tych kilku miesiącach życia pod jednym dachem

mieli wrażenie, że znają się jak małżeństwo z trzydziestoletnim stażem. Widać doświadczenie życiowe i – jakkolwiek by było – wspólna tragedia zbliżyły ich emocjonalnie i duchowo. Bliskość płciowa nie miała najmniejszego znaczenia. Najważniejsze, aby mieć kogoś obok, by móc się razem położyć i zbudzić rano oraz podzielić wątpliwościami, zupełnie jak teraz.

\* \* \*

– Jak długo jeszcze? – Zoja nerwowo chodziła po korytarzu przed gabinetem adwokata.

– Za pięć minut nas przyjmie.

Drzwi otworzyły się jednak wcześniej, ukazując stojącą w nich sylwetkę siedemdziesięcioletniego prawnika. Dobroduszna twarz mężczyzny nie robiła na Zoi większego wrażenia. Skuliła ramiona, jakby oczekiwała ciosu.

– Nie gryzę. – Adwokat się uśmiechnął do obojga. – Zapraszam. Pani Zoja Rodziewicz i...

– Ryszard Nawrocki, przyszły mąż – padło znienacka.

Kobieta spojrzała zaskoczona. Od razu opuściło ją pierwsze zdenerwowanie, aby dać miejsce drugiej fali lęku.

– Żartowałem. – Ryszard szepnął jej do ucha, gdy prawnik wyszedł do drugiego pomieszczenia po zapomniane dokumenty. – Nie będzie miał obaw, aby nam obojgu udzielić informacji. Co miałem powiedzieć? Konkubent?

Zanim Zoja otworzyła usta, adwokat wrócił i usiadł za biurkiem.

– Szanowni państwo, nazywam się Bartłomiej Jaworski. Zostałem wynajęty do przeprowadzenia procedury spadkowej po pani Marii Mazur, zamieszkałej w Rzeszowie przy ulicy Kościuszki dwanaście. – Powiódł wzrokiem po twarzach petentów siedzących naprzeciw niego. Oboje patrzyli, jakby niczego nie rozumieli. – Wie pani, kim była Maria Mazur, prawda?

– Nie jestem pewna – odparła Zoja. – Nosi takie samo nazwisko, jak mój zmarły przed wielu laty ojciec. Nie miał zbyt dużej rodziny. Był jedynakiem. Posiadał tylko daleką kuzynkę. Jednak nie utrzymywał z nią bliższych kontaktów. Była dużo starsza od niego.

- To właśnie o nią chodzi. – Adwokat zerknął do dokumentów.
- Maria Mazur urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Żyła dziewięćdziesiąt lat.
- Nawet na oczy jej nie widziałam...
- Nigdy nie założyła rodziny – kontynuował. – Pracowała jako urzędniczka państwowa, od blisko trzydziestu lat była na emeryturze.
- Zoja patrzyła nic nierozumiejącym wzrokiem.
- Pod koniec życia zamieszkała w domu spokojnej starości. To tam zleciła wykonanie testamentu. Jest pani jedyną osobą, do której mogłem się zwrócić, pani Zoju.
- Co to znaczy? – Kobieta spojrzała ze strachem.
- Przeprowadzone urzędowe śledztwo wykazało, że jest pani jedyną krewną Marii Mazur. Dziedziczy zatem wszystko, co tamta zostawiła.
- Ja?! To jakaś pomyłka... – Zoja nerwowo zaczęła pocierać ramię. – Przecież nawet jej nie znałam.
- Nie zmienia to faktu, że była pani jedyną rodziną Marii – dodał adwokat. – Zostawiła w spadku prawie sto tysięcy złotych w gotówce i trochę biżuterii.
- Słucham?!
- Mężczyzna powtórzył wszystko raz jeszcze, ale zdziwienie Zoi nie malało.
- Nie mogę tego przyjąć – zdecydowała. – To byłoby karygodne. Nie znałam ciotki i nie chcę korzystać na jej śmierci.
- W takim wypadku zyska gmina, w której było ostatnie miejsce zameldowania pani Marii. Albo skarb państwa. – Adwokat odparł rzeczowo. – Decyzja jednak należy do pani. Przypominam także, że w zapisie jest mowa o sumie, od której należy odprowadzić podatek dochodowy. Maria nie zostawiła żadnych zobowiązań dłużniczych do spłacenia.
- Zoja nadal przecząco kręciła głową.
- Z doświadczenia wiem, że warto takie kwestie przemyśleć na spokojnie. Umówmy się, że spotkamy się w mojej kancelarii za tydzień o siedemnastej. Jeżeli nadal będzie pani przekonana o słuszności decyzji, podpiszemy akt rezygnacji ze spadku.
- To uczciwe rozwiązanie. – Ryszard odezwał się po raz pierwszy. Nie chciał, aby ukochana działała pod wpływem chwili, nawet jeśli była

pewna, że tak chce postąpić. Jego także zaskoczyły usłyszane przed chwilą informacje.

Zoja odetchnęła dopiero na chodniku przed wejściem do kamienicy.

– Wiedziałam, że prawnicze pisma nie oznaczają niczego dobrego – stwierdziła ponuro.

– Każdy na twoim miejscu cieszyłby się. – Mężczyzna spojrzał uważnie. – Ty obawiasz się wszystkiego, co zsyła ci los, choćby pod postacią spadku. Uważasz, że nie zasłużyłaś. Tak samo obawiałaś się naszego związku. Przypomnieć ci twoje słowa? Mówiłaś, że to nie ma sensu. Twój mąż był sprawcą wypadku, w którym zginął mój syn. Mówiłaś, że nasz związek nie może się udać. Zaju! Spójrz na mnie... – Obrócił ją twarzą do siebie. – Codziennie zapewniam cię, że jesteś wartościową kobietą, a przeszłość została za nami – kontynuował. – Odnoszę jednak wrażenie, że to bezcelowe. Zakodowałaś sobie w głowie, że nie możesz chcieć od życia więcej niż jakieś cholerne minimum! Odmawiasz sobie prawa do szczęścia i zwykłych ludzkich radości, jakbyś do końca życia chciała żyć z piętnem, które bezpodstawnie sama sobie wyznaczyłaś! Nie mogę zrozumieć, po jaką cholerę to robisz?! Zależy mi na tobie takiej, jaka jesteś. Nie chcę cię zmieniać i nie mam do tego prawa. Pokochałem cię jako skromną i delikatną kobietę, bojącą się tego, co może przynieść los.

– Kochasz mnie? – Zoja spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nigdy nie słyszała od niego zapewnień o miłości.

– Widzisz, głuptasku, nawet w to nie jesteś w stanie uwierzyć.

– Bo ty nigdy... – zaczęła.

– Nie słowa świadczą o miłości, lecz czyny – przerwał jej. – Ale nieważne. Co postanowisz ze spadkiem, to twoja sprawa. Nie pozwolę tylko, abyś robiła z siebie ofiarę. Nie jesteś nią! Nie stoisz niżej w jakiejś wymyślonej hierarchii ludzi. I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. W domu już nie będę kontynuował. A ty zrobisz, co zechcesz.

Ostatnim słowom Ryszarda towarzyszył atak kaszlu. Coraz częściej odzywały się powikłania po ciężkim zapaleniu płuc, które przeszedł ubiegłej zimy. Przez miesiąc był na silnych antybiotykach, a przez dwa kolejne brał lżejsze leki. Pół roku temu na prośbę Zoi złożył wniosek

o skierowanie do sanatorium. Do tej pory nie nadeszła odpowiedź. Będzie musiała zadzwonić do NFZ-etu w tym tygodniu.

Rzeczywiście, przez kolejne dni nie poruszali tematu spadku. Zoja postanowiła, że tym razem sama wybierze się do adwokata i poinformuje go o odrzuceniu schedy.

Piątek był najmniej kłopotliwy w aptece. Ruch nieduży, prawie nie tworzyły się kolejki. Farmaceutki spokojnie obsługiwały klientów. Podczas przerwy Zoja zadzwoniła do Ryszarda.

– Była poczta? – Od kilku dni tym pytaniem zaczynała rozmowę.

– Tak – westchnął Ryszard. – Przyszło pismo z ubezpieczalni w sprawie sanatorium.

– I co? Co napisali?!

– Odrzucili nasz wniosek.

Była tak samo zawiedziona, jak on. Ogromnie liczyła na to, że wyjazd do uzdrowiska przywróci siły Ryszardowi. Te ataki kaszlu były niepokojące. Co prawda lekarka uprzedzała, że mogą trwać jeszcze długie miesiące, ale ona jednak zaczynała się martwić.

W kiepskim nastroju wróciła do aptecznego okienka. Na szczęście nie było żadnego klienta.

– Co się stało? – spytała Ula.

Znały się tyle lat, że żadna, nawet najmniejsza zmiana nastroju którejś z nich, nie mogła pozostać niezauważona.

– Ryszard nie pojedzie do sanatorium. Odrzucili jego wniosek.

– Wiesz doskonale, co myślę o uzdrowiskach – powiedziała Ula.

– Dla mnie to zwykłe nabijanie kasy. Co może dać zmiana klimatu przez trzy tygodnie w roku? Nic! Człowiek zdąży się lepiej poczuć i już musi wracać do domu.

– Może masz rację... – westchnęła Zoja. Nie wydawała się jednak pocieszona.

– Wam przydałby się mały domek nad morzem – kontynuowała koleżanka. – Moglibyście co tydzień sobie tam jeździć, urlop spędzać i każdy wolny dzień.

– Przecież to kosztuje majątek! Nie stać mnie.

– Bzdury! A taki holenderski domek? Wiesz, większa przyczepa kempingowa, jak ja to określam. Kilka dni temu synowa pokazywała mi

ofertę sprzedaży takiego domku gdzieś w okolicy Pobierowa. – Na samo wspomnienie tej miejscowości Zoja odczuła błogość w sercu. – Jutro przyniosę ci dokładny opis – ciągnęła Ula. – Właściciel chciał go sprzedać za siedemdziesiąt tysięcy. To przecież jak za darmo! Musielibyście, naturalnie, kupić jeszcze jakiś samochód, aby dojeżdżać tam ze Szczecina.

– Nie mamy pieniędzy – powiedziała Zoja.

W głowie szumiało jej jednak morze i porastające wydmy sosny. Wręcz czuła zapach jodu po sztormowej nocy. To powietrze byłoby najlepsze dla Ryszarda. Od razu lżej by oddychał. Może nawet ataki kaszlu by ustały? Płonne wizje. Wszystko rozbija się o prozaiczną rzeczywistość, czyli o pieniądze, których nie mają. Nie mają? Gdzieś tam w głowie odezwał się dzwoneczek.

– Przynies jutro tę ofertę – padło znienacka. Ula spojrzała zaskoczona na nagle uśmiechniętą koleżankę. – Nie zaszkodzi zerknąć.

\* \* \*

Aurelia Menzel skręciła z głównej drogi w ulicę Mickiewicza. Jechała wolno, z przyzwyczajenia. Latem krążyły po jezdni tłumy turystów niemogących pomieścić się na chodnikach.

Tutaj na rogu, obok cukierni, zawsze ustawiały się długie kolejki po kręcone amerykańskie lody. Początkowo była zdziwiona, że tylu ludzi ustawia się do jednej lodziarni. Jednak gdy poznała smak zimnego deseru, nie kupowała go już w żadnym innym miejscu. Podobnie jak inni, ustawiała się w długiej kolejce, nierzadko wychodzącej aż na chodnik, i cierpliwie czekała, aż będzie mogła złożyć zamówienie.

Parę metrów dalej, po prawej stronie, znajdowała się klimatyczna herbaciarnia. Wystarczyło pokonać kilka schodków, by znaleźć się na tarasie. Uwielbiała tam przesiadywać w letnie wieczory. Christian zamawiał piwo, ona delectowała się herbatą i w zupełnym milczeniu słuchali koncertu odbywającego się w lokalu. Tylko tutaj na żywo grywały zespoły jazzowe i bluesowe, zamiast wszechobecnego karaoke. Kameralne miejsce, o wyjątkowym wnętrzu, przyciągało przeważnie starsze pary, podobne do nich. Czuli się tam znakomicie.

Przejechała główną ulicą jeszcze kilka metrów. Parkingi były pu-



ste. Na ulicach, które do tej pory były jednokierunkowe, można było teraz jeździć w obie strony. Przez chwilę zawahała się, a potem skręciła w lewo. Powoli jechała deptakiem, na którym latem roiło się od stolików i pawilonów handlowych. Zostały po nich jedynie podesty.

Teraz, w środku września, tylko gdzieś tam przemykały starsze pary. Niemcy, pomyślała. Ja też tak mogłabym spacerować z Christianem, rozmarzyła się. Jednak już po chwili wspomnienia wywołały nawrót złości. Aurelia przypomniała sobie, dlaczego przyjechała w środku września do Pobierowa, w dodatku sama.

Pięć minut później parkowała przed zadbanym niebieskim domkiem. W zeszłym roku kupili w nim apartament na poddaszu. Minione lato było pierwszym, podczas którego co tydzień przyjeżdżali do Pobierowa z odległego o trzy godziny drogi Berlina. Pomimo czterech lat spędzonych w stolicy Niemiec, Aurelia nigdy nie pomyślała, że czuje się tam, jak u siebie. Pamięta moment, gdy poznała Christiana. Bogaty i dużo starszy, szybko zwrócił uwagę na piękną jasnowłosą Słowiankę. W barze, w którym pracowała, była jedyną Polką. Od kilku lat była rozwódką i nie miała dobrego zdania o niezaradnych rodakach, na których ostatnio trafiała. Christian – to co innego! Obyty w świecie, właściciel dobrze prosperującej firmy przewozowej, trzykrotnie rozwiedziony i bezdzietny. Cud, miód i malina! Prawie... Ów Miód ważył sto pięćdziesiąt kilogramów i miał dwa złote zęby, doskonale widoczne podczas szczególnie głośnego rechotu. Do tego każdy wieczór kończył kilkoma butelkami piwa, co zdecydowanie negatywnie wpływało na męskość wiekowego już Niemca. Pod tym względem Polacy, choć życiowo niezaradni, byli lepsi.

Aurelia westchnęła na samo wspomnienie rudego Jacka, którego poznała w barze. Ten to był ogier! Gdyby nie to, że pracował na budowie, a zarobione pieniądze słał jako alimenty dla kilkorga dzieci porzeczonych po Polsce, mogłaby nawet zakochać się w nim! Dobrze, że tego nie zrobiła. Ma Christiana i cudowne życie. Nie musi pracować. Ma gotować obiady z niemieckiej książki kucharskiej i dobrze wyglądać. Broń Boże, aby odzywała się, gdy przyjdą przyjaciele męża! Aurelia jest od tego, aby podać im przekąski i donosić piwo. Mówić nie musi.

Zgadzała się na taki układ z kilku powodów. I tak zazwyczaj nie

miała nic ciekawego do powiedzenia. Poza tym za uśmiechanie się i bycie zadbaną były dodatkowe profity. Ot, jak choćby kupiony w zeszłym roku apartament w Pobierowie. Nie musiała długo namawiać Christiana. Argumentowała, że w dobrym tonie jest posiadanie czegoś własnego w nadmorskiej miejscowości.

– To może Ibiza? Tam przynajmniej mówią po niemiecku. – Mąż przeglądał apartamenty na hiszpańskiej wyspie.

– Czuliśmy się jak w Berlinie – odparła rozsądnie. – Poza tym, tam są windowane ceny.

– To sama czegoś poszukaj. – Christian zrezygnował z przeglądania ofert.

Po dwóch tygodniach miała upatrzony apartament. Centrum Pobierowa, tuż obok wspaniały hotel, po drugiej stronie ulicy zejście na plażę. Czego chcieć więcej? Sama pojechała obejrzeć miejsce. Wróciła rozentuzjasmowana. Christian nie wnikał w szczegóły, przelał tylko odpowiednią kwotę na wskazane przez dewelopera konto.

– Stoimy w korku już godzinę – zżymał się, gdy utknęli kilka kilometrów za Szczecinem podczas pierwszej wspólnej wyprawy.

– Chciałeś wybrać się na weekend – przypomniała Aurelia. – Wtedy nad morze jedzie sporo szczecinian.

– W ciągu tygodnia prowadzę firmę, gdybyś zapomniała – odparł. – Ktoś musi zarabiać, aby żona mogła mieć wczasy nad Bałtykiem. – Pociągnął piwo z butelki. Aurelia przemilczała uwagę.

Gdy wreszcie dojechali na miejsce, rzucił się na łóżko i od razu zaczął chrapać. Dobrze, że miała w samochodzie zgrzewkę piwa dla męża. W przeciwnym razie podróż byłaby męcząca. Wiedziała, że nie zbudzi się do rana. Wskoczyła pod szybki prysznic i pół godziny później była na plaży. Zdążyła akurat na zachód słońca.

Następnego dnia również szła sama. Christian nie miał najmniejszej ochoty opuszczać apartamentu!

– Mam tu klimatyzację, piwo i telewizję – odparł, gdy delikatnie napomknęła, że może jednak pójść na spacer po plaży. – A na piasku ludzie leżą jak sardynki! Zamiast delektować się spacerem, muszę uważać, aby kogoś nie nadepnąć.

Wieczorami był już tak upojony piwem, że nie miał siły na nic.

– Możesz jeździć do tego swojego Pobierowa – powiedział łaskawie, gdy wrócili do Berlina. – Jednak w przyszły weekend beze mnie. Źle się tam czułem. Chcę odpocząć w domu.

Nawet ucieszyła ją ta wiadomość. Rzeczywiście, gdy przyjeżdżała sama, odżywała i nabierała sił na kolejny tydzień. Teraz także przyjechała bez niego. I zamierzała zostać na dłużej! Christian będzie jeszcze przeproszał ją za swoje zachowanie! Jak mogła mieć takie klapki na oczach? Są małżeństwem od czterech lat, a czarna strona charakteru jej męża uwidoczniła się dopiero teraz! Kochające kobiety są jednak ślepe. A wszystko się zaczęło od głupiego telefonu.

\* \* \*

– Dzwoniła moja kuzynka Anna – relacjonowała Christianowi.  
– Wiesz, ta z Wrocławia.

– Wrocław? Wrocław? – Szukał w pamięci. Nagle na twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. – Aaa! Breslau!

– Nie Breslau, tylko Wrocław! – warknęła Aurelia. – Ile razy mam ci tłumaczyć, że po wojnie miasta wróciły do prawowitych nazw? Nie ma już Stettina, Breslau ani Poberow! Jest Szczecin, Wrocław i Pobierowo!

– Moja słodka, jasnowłosa istoto... – Nie lubiła, gdy Christian przybierał taki ton. – Przypominam, że jeszcze do niedawna miejscowości, które wymieniłaś, znajdowały się w zasięgu terytorialnym Niemiec. I tylko nasza dobra wola sprawiła, że obecnie mogą mieszkać tam Polacy! Pozwól, że będę używał właściwych nazw.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Była kompletnie zszokowana tym, co usłyszała.

– Może ty chciałbyś, aby nadal były to ziemie germańskie? – wyszczała, gdy odzyskała głos.

– Nie ukrywam, że tak. – Mąż beknął znad kufla piwa.

Nie widziała sensu prowadzenia dalszej dyskusji. Demonstracyjnie zabrała swoją pościel i spała na kanapie w salonie. Następnego dnia spotkała się z Kaśką i Magdą. Obie były żonami majątnych Niemców, które odgrywały identyczną rolę, jak Aurelia.

– Nie wiedziałam, jakiego potwora mam w swoim domu! – zaszło-

chała nad lampką wina.

– Bije cię? – Kaśka pogładziła ją współczująco po ramieniu.

– Gorzej!

– Zmusza do seksu oralnego? – Na samo wspomnienie wyglądu Christiana cała trójka wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Zgłupiałaś? Nigdy bym się nie zgodziła! Mam swoją godność!

– Aurelia pociągnęła nosem. – On, on...

– Ma inną – dopowiedziała Magda. W duchu uśmiechnęła się triumfująco. Ha! Nie tylko ją mąż zdradza.

– Coś ty? Która by go chciała? Jest znacznie gorzej! On jest... Jak to się mówi? Nie nazistą, nie faszystą... O! On jest narodowcem!

Kaśka i Magda popatrzyły na nią z nabożną czcią. Nie rozróżniały wypowiedzianych przez Aurelię słów.

– Niemieckim narodowcem w dodatku! Zachowuje się tak, jakby Niemcy nadal rządili światem!

– Pejczuje cię? – zainteresowała się Magda.

– Jeszcze tego brakowało! Gorzej... Używa dawnych nazw polskich miast. Nie chce powiedzieć Wrocław, bo według niego prawidłowa nazwa to Breslau.

– Boże mój... – Kaśka z przerażeniem spojrzała na Aurelię.

– Ty naprawdę musisz to znosić?

– Tak. – Przyjaciółka pokiwała głową, a łzy ponownie zalśniły w jej oczach. – Wiem, że to straszne. Czuję się jak pod zaborem pruskim.

Kaśka i Magda współczująco się zamyśliły.

– Trzeba mu przypomnieć, że od czasów drugiej wojny światowej wszystko wygląda nieco inaczej – zaczęła Kaśka. – Słuchaj! Ile on ma lat? Z siedemdziesiąt, prawda?

– No coś ty! Taki stary to on nie jest! Ma dopiero sześćdziesiąt sześć! – obruszyła się Aurelia.

– Wiesz, to on ma chyba pamięć złotej rybki – dodała z namysłem Magda. – Złote rybki błyskawicznie zapominają.

– Skąd wiesz?

– Czytałam gdzieś, ale nie pamiętam, gdzie – odparła. – Może twój Christian wiedział, że było coś takiego jak druga wojna światowa, ale za-

pomniął, jak się zakończyła? To by tłumaczyło jego zachowanie.

– Nic go nie tłumaczy! – Aurelia siąknęła nosem. – Nie ma Breslau. Jest Wrocław! Obraziłam się na niego, ale to za mało, aby zrozumiał.

– Może w ramach strajku za niegodziwość wobec narodu polskiego przestaniesz mu gotować? – odezwała się Kaśka, a koleżanki popatrzyły na nią z uznaniem. – Albo lepiej... gotuj mu same polskie dania! Pierogi ruskie i barszczyk z botwinki zamiast sznycła i kapusty czerwonej – wymieniała. – Christian szybko zrozumie swój błąd i przyjdzie z przeprosinami.

– Możesz do tego dołączyć seksualną wstrzemięźliwość – dodała Magda.

– Jaką? I tak kochamy się bardzo rzadko – westchnęła Aurelia.

– W momencie szczytowania możesz krzyczeć „Wrocław, Wrocław!”. Na pewno będzie mu strasznie głupio!

Po powrocie do domu od razu wdrożyła pomysły koleżanek. Jeszcze tego samego wieczoru przygotowała czterdzieści ruskich pierogów. Christian, który do tej pory nie przepadał za tą potrawą, tym razem – z braku alternatywy – pochłaniał jednego za drugim.

– Już nie mogę... – Słowa przypieczerował głośnym beknięciem.

Aurelia połykając łzy, weszła do kuchni. Jej mąż zjadł niemal wszystko! Pierwszy pomysł nie wypalił. Spróbuje z drugim.

Przygotowała się w łazience, a potem weszła do sypialni. Pociągnęła nosem. Co tak śmierdzi? Christian już spał. Im bardziej zbliżała się do łóżka, tym bardziej fetor przybierał na sile. Już miała podnieść mężowską kołdrę, aby zająć się realizacją drugiej kary, gdy nagle rozległ się głośny, przeciągły dźwięk, a nozdrza Aurelii wypełniła kolejna porcja smrodu.

– To po ruskich – powiedziała do siebie, zatykając nos. Drugą ręką zabrała swoją kołdrę i poszła spać do salonu. Trudno, da mu nauczkę w inny sposób!

Następnego dnia, gdy Christian jeszcze spał, zostawiła mu karteczkę na stole w kuchni: „Wyjeżdżam na kilka dni do Pobierowa. Wrócę, gdy przestaniesz siać nienawiść do Polaków”, napisała.

Uznała, że to najlepsze rozwiązanie. Zatekni za żoną i zmieni zda-

nie na temat narodu polskiego.

\* \* \*

Pootwierała wszystkie okna w apartamencie. Do środka dostało się świeże, morskie powietrze. Tęskniła za nim w dusznym i smrodliwym Berlinie. Dzisiaj pożywi się tym, co przywiozła ze sobą z Niemiec, a następnego dnia kupi polskie produkty w tutejszym sklepie. Wzięła długi prysznic i padła, zmęczona, na łóżko.

Zbudziła się po dziewiątej. Zerknęła na wyciszoną komórkę. Cztery nieodebrane połączenia od Christiana i jeden esemes. „Dlaczego nie zostawiłaś mi obiadu?”, odczytała. Cholerny narodowiec!

Myła zęby, gdy usłyszała dzwony. No tak, dzisiaj niedziela, siedemnasty września. Postanowiła, że najpierw wybierze się do kościoła. Od lat nie była na mszy. Nie czuła takiej potrzeby. Ale teraz coś ścisnęło ją w sercu. Wszak Polak to Bóg, honor i ojczyzna!

Świątynia znajdowała się na niewielkim wzgórku. Można było dostać się do niej z trzech stron. Pomimo że Pobierowo po sezonie wyludniało się, kościół pękał w szwach. Aurelia z trudem zdobyła siedzące miejsce. Przyszła w ostatniej chwili. Tuż po jej wejściu rozległ się dzwon rozpoczynający mszę.

Godzinę później czuła się podniesiona na duchu. Modlitwa po polsku robi jednak swoje! Po końcowym błogosławieństwie chciała opuścić kościół, gdy nagle z okolic ambony dobiegł wiernych zduszony szept proboszcza, doskonale słyszalny dzięki włączonemu mikrofonowi.

– Kościół to nie miejsce na wiec wyborczy – mówił ksiądz.  
– Ta rocznica wymaga upamiętnienia. Także w świątyni! – huknął ktoś.

Aurelia stanęła na palcach, aby lepiej widzieć. Przy ołtarzu stał brodaty, na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w galowy mundur komendanta straży pożarnej. Mocno wystający brzuch nie pozwolił na dopięcie marynarki. Pomimo obszernej postury błyskawicznie stanął na ambonie.

– Drodzy mieszkańcy Pobierowa! – zaczął. – Jak zapewne każdy z was wie, dzisiaj przypada kolejna rocznica napadu Sowietów na Polskę. W taki dzień flagi powinny być opuszczone na masztach do połowy

na znak żałoby narodowej. Niestety, nasz kraj, rządony przez sprzedawczyków i złodziei, stara się wyprzeć z pamięci datę siedemnastego września. Nie pozwólmy na to! Nasze dzieci i wnuki muszą poznać tradycję i nauczyć się prawdziwej historii, a nie tej zakłamanej, którą starają się nam wmówić ci, którzy mają w tym swój nieczyny cel!

Aurelia kątem oka zauważyła, że kościół opuściła właśnie pewna para. Kobieta znała z widzenia. Była tutejszą sołtyską.

– Ani historii, ani pamięci przodków zmienić nie można! Ale możemy dać wyraz sprzeciwu kolesiostwu i złodziejstwu! W październiku mamy wybory do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej! Pamiętajcie, aby oddać głos na prawdziwych Polaków!

Słuchała jak urzeczona. Polak! Patriota! Bohater!

– Miało nie być politycznie. – Dał się słyszeć szept księdza.

– Już kończę! – Mężczyzna w galowym stroju strażackim nawet nie zaszczycił proboszcza spojrzeniem. – Rodacy! Dla upamiętnienia dzisiejszej smutnej rocznicy odśpiewajmy *Rotę*! – Odchrząknął, a po chwili zaintonował: – Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy...

Zaskoczeni parafianie dołączyli, tworząc osobliwy chór i po chwili pod kopułę wzniosła się gromka pieśń. Aurelia słuchała zauroczona. Szczególne wzruszenie ogarnęło ją przy słowach „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. Ni dzieci nam germanił”.

Prawdziwy Polak! Koniecznie musi go poznać. Koniecznie!

\* \* \*

– Melanio, chodź do kuchni! Kochanie, szukam cię wszędzie! – usłyszał Antoni Woźnica, gdy przekroczył próg domu. Żona pewnie przygotowuje obiad, pomyślał.

Rozluźnił krawat i z westchnieniem ulgi rozpiął guzik w spodniach. Jeszcze rok temu wchodził w nie bez problemu. Teraz ledwo się dopinały. Czas pomyśleć o zgubieniu kilku kilogramów.

Antoni Woźnica zawsze był mężczyzną z nadwagą. Lubił dobrze zjeść, choć ostatnio był skazany na samodzielne gotowanie. Dodatkowy ciężar nie przeszkadzał mu w wieloletnim piastowaniu funkcji komendanta straży pożarnej w Zdbicach na Pomorzu Zachodnim. W Pobierowie mieszkał od dwóch lat. Gdy tylko przeszedł na emeryturę, za odkładane przez długie lata pieniądze, kupił niewielki domek. Wraz z żoną zamienił jeziora na Bałtyk. Pobierowo wydawało się fantastyczną miejscowością do spokojnego życia. Tak było dopóty, dopóki nie odkrył, kto tu stoi na czele. Wójt Władysław Matuszewski! Niezrzeszony i bezpartyjny. To przecież najgorsza rzecz z możliwych! Takie nie wiadomo co. Proszę, jak ustawił się w Pobierowie! Ożenił się z tutejszą sołtyską! Taka para działa jak mieszanka wybuchowa. Może podwójnie kraść i oszukiwać. On, Antoni Woźnica, prawdziwy Polak z dziada pradziada i wierny patriota, nie mógł pozwolić na dalsze rozkradanie narodowego mienia! A że tak się dzieje, nie miał najmniejszych wątpliwości!

Już w pierwszym tygodniu po przeprowadzce odkrył w cmentarnym ogrodzeniu niezalataną dziurę. Napisał ogromny elaborat o nieodpowiedzialności gminnych urzędników z wójtem na czele, o możliwości bezkarnego wstępu złodziei na teren cmentarza, dodając, że zapewne materiał z braków w ogrodzeniu można znaleźć na posesji pani sołtys.

Lakonicznych odpowiedzi od wszystkich zainteresowanych – bo poza urzędem gminy, powiadomił także probostwo, prokuraturę i kurię – doczekał się po miesiącu od wysłania pisma. „Odpowiednie służby zajmą się sprawą”, przeczytał. Ani „dziękuję” za zgłoszenie problemu, ani pochwały za postawę obywatelską! Co to za dzicz? Gdzie on trafił?!

Zaczął słać pisma odnośnie do każdej nieścisłości, jaką napotkał na drodze. Dosłownie i w przenośni. Zobaczył dziurę w chodniku czy uszkodzoną kratkę ściekową, od razu pisał. Śmieci wokół kosza, to samo. Brak żarówki w latarni, lekko przekręcony przez wiatr szyld z na-



zwą ulicy, niewłaściwie zaparkowany samochód – każdy pretekst był dobry, aby poinformować o nim urzędników z wójtem na czele. Doszło do tego, że na biurko włodarza gminy trafiało tygodniowo około dziesięciu zgłoszeń wysłanych przez Antoniego Woźnicę.

W zasadzie nie oczekiwał odpowiedzi. Podniecało go samo wysyłanie pism. Dawał w nich upust swoim sympatiom politycznym, dokładał partii przeciwnej, oskarżał o złodziejstwo i spisek antypolski. Zasiadał nad kartką zły i sfrustrowany, aby po zapisaniu jej całej czuć się lekko i błogo. Tak, nie ma nic lepszego od wykonania patriotycznego obowiązku.

Antoni Woźnica czuł się prawdziwym Polakiem. Całe życie służył ojczyźnie. Jako dziecko zasypiał przy narodowych pieśniach śpiewanych przez matkę. Do tej pory na samo wspomnienie kręci mu się łza w oku. Historii uczył go ojciec. Zawód też on mu wybrał.

– Praca w straży to służba obywatelom, Polakom – mawiał. – Zawsze będziesz im potrzebny. A jaki szacunek zyskasz!

Był ogromnie dumny, gdy Antoni doszedł do stanowiska komendanta. Co prawda w niewielkiej miejscowości, ale pozycja ważna. Gdy na świecie pojawił się Lech, syn Woźnicy, postanowił wychowywać go w takim samym duchu, w jakim i jego chowano. Niestety, potomek – buntowniczy typ – od rozmów politycznych prowadzonych w domu wolał towarzystwo kolegów.

– Tato, daj mi spokój! – Machał ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy. – Historii nauczę się w szkole. Jak będę chciał wiedzieć, co w kraju się dzieje, to telewizję lub internet włączę.

– Tam cię nie nauczą, co to prawdziwa Polska! – grzmiał Antoni, ale bezskutecznie. – Nie pozwalaj swoim kolegom mówić do siebie Leszek! Na chrzcie Lech dostałeś! Na cześć założyciela rodu Polan! – Zanim kończył zdanie, syn wychodził z domu. Nic sobie nie robił ze słów ojca. Nie brał jego rad pod uwagę także wtedy, gdy wybierał szkołę średnią. – Liceum humanistyczne? – Antoni pogardliwie wyduł usta. – Kim ty możesz zostać po tej szkole? Nauczycielem polskiego?

– Co masz przeciwko belfrom? – odparowywał Lech. – Mama przecież uczy.

– Jest kobietą, więc może mieć takie fanaberie! Prawdziwy męż-

czynna musi umieć utrzymać dom! Jak ja! Co zrobisz z nauczycielską żebraczą pensją? Rodzinę utrzymasz?

– Może wcale nie będę jej miał! – Syn podnosił głos na takie gderanie. – Może chcę żyć sam?

– Jak odmieniec jakiś! – Woźnica patrzył na swoje jedyne dziecko z jawną pogardą. – Pochodzisz z rodziny z tradycjami i masz je kontynuować! Jeśli już chcesz zostać nauczycielem, to chociaż historię studiuj!

Nie pomógł ukłon w stronę kompromisu. Lech po ukończeniu liceum na złość ojcu całkiem pozmieniał plany i uparł się zdawać na *design*. Naukę rozpoczął na poznańskiej uczelni.

– Co ty będziesz robił po ukończeniu tego kierunku? – pytał Antoni.

– Będę projektował wnętrza – odparł syn z dumą.

Pierwsze zlecenie dostał tuż po obronie dyplomu. Gdy Woźnica usłyszał gdzie, złapał się za serce.

– Toż to dom publiczny!

– I co z tego? Klient to klient. Dobrze mi zapłaci. – Potomek wzruszył ramionami.

Od tego momentu Antoni wychodził z domu jakby za karę. Odnosił wrażenie, że miejscowi śmieją się i żartują za jego plecami. Taki syn mu się trafił! Nie mógł tego znieść.

– Co tak gęba ci się szczyrzy? – zwrócił się do pijaczka w sklepie. Pewnie już dzisiaj rozmawiał o nieudanym potomku komendanta. Z pijaczka przeniósł wzrok na sprzedawczynię. – Pani też plotkowała o mnie? Czego oczekiwać po kobiecie z ledwo skończoną zawodówką!

Po kilku tygodniach był skonfliktowany ze wszystkimi. Część mieszkańców nie odzywała się do Woźnicy, część go unikała. Doszło do kuriozalnej sytuacji – w momencie oficjalnego podziękowania Antoniemu za wieloletnią służbę w straży, na uroczystości nie zjawił się nikt ze Zdbic. Każdy był albo obrażony na Woźnicę, albo dopiero zamierzał być.

Antoni szybko podjął decyzję o wyprowadzce. Żona Barbara od zawsze marzyła o domku nad Bałtykiem. Jednak gdy usłyszała propozycję męża...

– Tu mam swoje miejsce. Na tutejszym cmentarzu leżą nasi rodzi-

ce. Lech też ma blisko z Poznania – argumentowała. – W Pobierowie będę sama.

– Kota ci kupię – obiecał. – Takiego, jak chciałaś.

– Rodowodowego? – zainteresowała się.

– Pewnie!

Zgodziła się. Przez zachowanie Antoniego i ona nie miała z kim rozmawiać w Zdbicach. Kupnem domu i wszelkimi formalnościami miał zająć się mąż. Ona szukała odpowiedniego dla siebie kota. Co chwilę zmieniała kryteria wyboru, doprowadzając Woźnicę do coraz większej irytacji.

Oniemiał, gdy zobaczył nowego domownika. Krótco po przeprowadzce do Pobierowa w ich progi trafiła Melania. Barbara od początku zakochała się w niej, Antoni natomiast nie mógł patrzeć na łyse zwierzę, całkowicie pozbawione futerka. Wydawało się jakimś zwierzęcym monstrem z większymi niż normalnie uszami i fałdami skóry nakładającymi się jedno na drugie.

– To ludzki mutant, a nie kot! Nie mogłaś wybrać normalnego sierściucha? – zapytał żonę. – Persa jeszcze bym przeżył, ale to coś, co krąży po domu, to jakieś dziwadło!

– To sfinks! Najmądrzejsza rasa kotów, jaka chodzi po naszej planecie! – Barbara fuknęła, Melania fuknęła. I poszły sobie.

Od tego czasu żyły w idealnej symbiozie. Razem jadły, oglądały telewizję i spacerowały. Kotka dostała drogą, skórzaną smycz, na której była wyprowadzana przez swoją panią. Zwierzę spało także obok swej właścicielki. Gdy którejs nocy Antoni nieopatrznie obrócił się na drugi bok, przygniatając łapkę kotki swoim dużym ciałem, tamta podrapała go dotkliwie. Zażądał, aby Melania opuściła wspólne łóżce.

– Ona mnie potrzebuje – odparła żona. – Nie ma mowy, aby spała gdzie indziej.

– W takim razie ja opuszczam sypialnię! – powiedział Woźnica.

Barbara wzruszyła ramionami lekceważąco. Mężczyzna był pewien, że po pierwszej osobnej nocy zmieni zdanie. Gdzie tam! Obie z kotką wstały w tak fantastycznych nastrojach, że nie zauważyły złości Antoniego.

Po pewnym czasie był traktowany jak powietrze. Zupełnie jak te-

raz, po powrocie z kościoła. Ciekawe, czy Barbara w ogóle dostrzegła, że wyszedł z domu? Woła Melanię na obiad, o nim kompletnie zapominając. Znowu będzie musiał sam coś przygotować. Kotka posili się potrawą z drogiej wołowinki, a on resztkami, które znajdzie w lodówce. Że też pomysł z tym zwierzęciem przyszedł mu do głowy! Nigdy by tego nie zaproponował, gdyby nie musiał namówić żony na wyprawę. W Zdbicach nie dało się już żyć. Tutaj, w Pobierowie, jest poważany!

Przypomniał sobie dzisiejszą mszę i wpatrzonych w niego mieszkańców. Od razu nastrój mu się poprawił. Tu jest kimś! I trzeba pójść jeszcze dalej! Za niecałe dwa lata odbędą się kolejne wybory samorządowe. Jeśli sobie poradził w roli komendanta straży, poradzi sobie jako wójt gminy! Przekonanie ludzi do prawego, dobrego człowieka, prawdziwego patrioty, to tylko kwestia czasu.

\* \* \*

– Ależ ona urosła! – Aldona nie mogła nadziwić się zmianom, które zauważyła.

Amelka i rosła, i piękniała. Wokół jej twarzyczki kręciły się blond loczki, których Dorota nie dawała rady ujarzmić. Podpinała je do góry małymi spineczkami lub robiła niewielkie kiteczki, ale dziewczynka w mig wszystko ściągała. Była przy tym ogromnie z siebie zadowolona! Każdy zwracał uwagę na błękitne oczy dziecka, wyróżniające się z reszty twarzy. Jej uśmiech sprawiał, że wszystko dookoła od razu jaśniało.

– Ciągle biega. – Dorota się uśmiechnęła. – A ja za nią.

Wypiękniała po ciąży. Dziewięć miesięcy błogosławionego stanu wymęczyło ją, ale nagroda, którą otrzymała, wyrównała wszystko. Razem z Piotrem świata nie widzieli poza dzieckiem. Czuli się tak szczęśliwi, jak nigdy dotąd.

Od czasu pierwszego spotkania w Pobierowie cała czwórka zaprzyjaźniła się. Aldona przeżywała ciążę Doroty i towarzyszyła jej podczas porodu. Obaj panowie również złapali wspólny język. Piotr pomógł znaleźć Michałowi pracę we Wrocławiu. Mężczyzna z kryminalną przeszłością miał z tym duże problemy. Od roku jednak pracował. Był parkingowym przy największym kościele we Wrocławiu. Nie odbierał tego jako ujmę. Wręcz przeciwnie! Cieszył się, że ma zajęcie, w dodatku „blisko

Boga”, jak mawiał. Michał dał się poznać jako sumienny pracownik. Swoją przeszłością i historią pielgrzymek w intencji własnej przemiany często się dzielił ze słuchaczami w świątyni. Zaprzyjaźnił się także z tu-tejszym proboszczem, który nie mógł nachwalić się nietypowego pracownika. Wykonywał wszystko z uśmiechem na twarzy, zawsze uczynny i skory do pomocy.

Tym razem wszyscy spotkali się na urodzinach Doroty. Nie widzieli się od czerwca. Z początkiem lata Piotr zabrał rodzinę do Pobierowa, aby Amelka po raz pierwszy świadomie zobaczyła morze. Mogli sobie pozwolić na dłuższy pobyt, więc zostali na całe wakacje. Dorota nadal była na urlopie macierzyńskim, a jej mąż zostawił atelier fotograficzne w dobrych rękach. Wrócili do domu po blisko dwóch miesiącach, opaleni i naładowani energią. Z radością postanowili wyprawić urodziny Doroty w wytęsknionym Wrocławiu, z przyjaciółmi, za którymi też już zdążyli porządnie się stęsknić.

– Pięknie wyglądacie! – Aldona nie mogła napatrzeć się na całą trójkę.

Sama wyglądała na zmęczoną. Twarz miała poszarzałą, a pod oczami zrobiły się sine obwódki. Dorota z niepokojem przyglądała się przyjaciółce, która już na pierwszy rzut oka wydawała się lekko opuchnięta.

– U was wszystko w porządku? – spytała, gdy wreszcie śpiącą Amelkę odłożyła do łóżeczka. Dziewczynka po całym dniu biegania padała już o dziewiętnastej i spała do rana.

– Macie idealne dziecko – uśmiechnął się Michał, gdy Dorota do nich wróciła. Odruchowo położył rękę na brzuchu ukochanej.

– Hej, czy my o czymś nie wiemy? – Małżeństwo popatrzyło po sobie.

– Chyba najwyższy czas podzielić się z wami dobrą nowiną – powiedziała Aldona. – Wybaczcie, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. Jestem w ciąży. Zaczyna się właśnie szósty miesiąc.

– Gratulacje! – Piotr uściskał oboje, choć kobietę bardzo delikatnie. Po chwili zrobiła to samo jego żona.

– Dobrze się czujesz? – spytała Dorota, uważnie przyglądając się przyjaciółce.

– Teraz tak – odparła tamta z radością. – Jednak drugi i trzeci mie-

siąc dał mi się ogromnie we znaki. Chcieliśmy was poinformować o wszystkim, gdy już najgorsze przejdzie.

– Wyniki masz dobre?

– Tak, choć niektóre na granicy.

– A co powiedział twój lekarz? Nie mam na myśli ginekologa... – spytała Dorota cicho.

– Nie widział przeciwwskazań. – Przyjaciółka się uśmiechnęła.

– Cały czas jestem pod kontrolą. Mam tylko zwiększoną dawkę witamin. Ale wiem, o co pytasz... Po raku nadal nie ma śladu. Miałam badania kontrolne w zeszłym tygodniu. Gdyby nie ta proteza, zapomniałabym o nim całkiem.

Aldona wskazała na sztuczną kończynę ubraną dzisiaj w czarną, koronkową podkolanówkę. Nie zmieniła swojej postawy. Uważała, że głupotą jest ukrywanie kalectwa. Sztuczną nogę traktowała tak samo, jak prawdziwą, jakkolwiek to brzmiało.

– Na kiedy masz termin porodu?

– Koniec stycznia – wtrącił się Michał. – Aldona musi teraz zwolnić i bardziej zadbać o siebie. Wyobraźcie sobie, że wpadła na pomysł samodzielnego przygotowania pokoiku dla maleństwa! Próbowałem jej tłumaczyć, że może zaszkodzić jej zapach wdychanej farby, ale moja ukochana to straszny uparciuch.

– Mam jeszcze kilka dni macierzyńskiego. – Dorota rozpoczęła planowanie. – Mogę ci pomóc. Tylko Amelka będzie nam towarzyszyć. Mam też poskładane w szafie rzeczy, z których wyrosła. Wiecie już, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka?

– Dowiemy się w poniedziałek. – Aldona spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością. – Wybierzesz się ze mną?

– Jasne! A teraz pozwól, że dotknę brzuszka. Niczego nie widać! Założyłaś tunikę zakrywającą wszystko.

– Wiesz, że jak dotkniesz ciężarnej, to zajdziesz w ciążę? – Michał mrugnął okiem. – Stary zabobon. Ciekawe czy aktualny.

Cała czwórka się roześmiała. Dorota delikatnie przyłożyła dłoń do brzucha Aldony. Dopiero teraz poczuła lekką wypukłość ciała.

– Ojej! – Przyszła mama nagle chwyciła się za brzuch.

– Zbyt mocno cię dotknęłam? – Przyjaciółka się wystraszyła.

– Nie! Ale chyba po raz pierwszy poczułam, jak się rusza! Dokładnie w chwili, gdy mnie dotknęłaś. Nasze dziecko musi bardzo lubić ciocię Dorotę. – Aldona uśmiechnęła się do Michała, równie przejętego jak ona.

Trzy dni później razem przeglądały ciuszki po Amelce.

– Czułam, że to będzie dziewczynka. – Ciężarna radośnie paplała, oglądając sukieneczkę w kropki, którą dziewczynka nosiła tego lata.

– Rozmyślaliście nad imieniem?

– Jeszcze nie. Obiecaliśmy sobie zastanowić się nad tym podczas Bożego Narodzenia. Nadchodzi czas, gdy Michał będzie później wracał z pracy. Razem z księdzem zaangażowali się w pomoc biednym i bezdomnym. Jeżdżą po działkach, rozdają ubrania i koce tym, którzy nie chcą pójść do noclegowni. Jest jeszcze trochę czasu na zastanowienie. – Kochany ten twój mężczyzna – westchnęła Dorota.

– Twój przecież też! – Aldona spojrzała na przyjaciółkę uważnie. – Coś się dzieje?

– Właściwie nie... Tylko pozazdrościłam ci tej ciąży i od dwóch dni staram się namówić Piotra na drugie dziecko. Bez skutku.

– Boi się. Miałaś tak długi i ciężki poród, że to nic dziwnego. Nie chce kolejny raz cię na to narażać.

– Wiem. Ale ja już o wszystkim zapomniałam!

– To był twój pomysł, aby zabrać go na porodówkę – przypomniała Aldona.

– Bo nalegał! Twierdził, że tak robią nowocześni i postępowi mężczyźni.

Ich spojrzenia się spotkały i kobiety jednocześnie roześmiały się w głos. Obie miały w głowie obraz prawie mdlejącego Piotra, wyprowadzanego z sali przez pielęgniarkę.

– Mam nadzieję, że Michał nie uprze się, aby ze mną zostać.

– Możesz rodzić naturalnie? – zainteresowała się Dorota.

– Chyba tak. Nie pytałam jeszcze.

Ponownie skupiły się na przeglądaniu zawartości szafy.

– Nie mogę tego tak za darmo wziąć. – Aldona powróciła do początku rozmowy. Przyjaciółka jednak nawet nie chciała słyszeć o zapłacie za ubranka.

– Musisz! Zależy mi, aby trafiły w dobre ręce – tłumaczyła Dorota.  
– Sama przecież podarowałaś Amelce część tych ubranek. Moje dziecko ich używało. Jak mogę teraz brać od ciebie zapłatę? Zgodziliście się być jej chrestnymi i zawsze możemy na was liczyć...

Aldona przerwała przyjaciółce:

– Dobrze już, dobrze – rzuciła ze śmiechem. – Uparciuchu kochany, niech ci będzie! Pozwól mi tylko kupić jakiś drobiazg dla Amelki. Chociaż tak się zrewanżuję.

Zapakowały ubranka do toreb. Dorota zaparzyła herbatę i przez chwilę obie delektowały się ciepłym napojem.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę miała tak wspaniałego mężczyznę u boku – powiedziała Aldona cicho. – Od czasu operacji wszystkich od siebie odstraszałam. Powtarzałam, że każdy byłby ze mną tylko z litości. A Michał... On jest taki jak ja. Pokaleczony przez życie, pełen blizn. I za to go kocham.

– Wnet na świecie pojawi się owoc waszej miłości – stwierdziła Dorota.

– Jeszcze nie do końca w to wierzę – przyznała przyjaciółka.

– Do tego te sny. Od jakichś dwóch tygodni śni mi się niemowlę. Nie wiem nawet, jakiej jest płci! Płacze w łóżeczku. Podchodzę, a wtedy ono znika.

– To tylko sen – Dorota chciała uspokoić kobietę, choć ciarki przeszły jej po plecach. – Myślisz ciągle o ciąży, więc nieuniknione są podobne mary.

– Tak sądzisz? Michał także mnie uspokaja. Budzę się spłakana i szukam dziecka przy sobie.

– Wyrzuć natychmiast te myśli z głowy! Zobacz, jesteś już po połowie ciąży. Dzidzius rośnie w tobie, prawidłowo przybiera na wadze, a badania prenatalne nie wykazały żadnych nieprawidłowości. Jesteś szczęściarą! Pamiętaj, że zawsze, cokolwiek by się działo, jesteśmy przy was! Wy pomagaliście nam, my pomożemy przy waszym maleństwie. A teraz koniec smutków! Dopijmy herbatę! Zaraz zbudzi się z popołudniowej drzemki moje dziecko i już spokoju nie będzie.

Zanim skończyła mówić, usłyszały w korytarzu odgłos małych stópek.



\* \* \*

Doktor Waldemar nalał whisky do szklanek.

– Na zdrowie! – wznosił toast. – Szczególnie pańskie.

W kompletnej ciszy delektowali się goryczą trunku. Gdy gardło zrobiło się przyjemnie ciepłe, podjęli rozmowę.

– Dalej nie ma z nim spokoju? – spytał lekarz.

Władysław przytaknął zdecydowanym ruchem głowy. Powiedział:

– Tylko w tym tygodniu przysłał siedem pism. W trzech sugeruje, że jako wójt jestem beznadziejnym łapówkarzem, który powinien trafić za kratki.

– Przedstawia na to jakieś dowody? – Doktor Waldemar uniósł brwi. – Przecież za takie bezpodstawne oskarżenia można wytoczyć mu sprawę. Nie ujdzie mu to bezkarnie.

– Konsultowałem wszystko z naszym gminnym prawnikiem – westchnął Władysław. – Antoni Woźnica pisze pisma w taki sposób, że nie można do niczego się przyczepić. Rozumie pan? Sugeruje wszystko między zdaniem. Podobnie robi w artykułach do lokalnych gazet. Płaci za nie ze swojej kieszeni, a redakcja nie ma prawa niczego zmienić. Próbowaliśmy odpowiadać na zarzuty, ale mijało się to z celem.

– Może trzeba lekceważyć te wszystkie donosy i listy, które przesyła do urzędu? Skoro to niegroźne wariactwo...

– Nie możemy. Zawsze wysyła je pocztą poleconą. Bywa, że sam przyjeżdża do urzędu i każe przystawić pieczętkę, że wpłynęło. Tylko raz spóźniliśmy się z terminem odpowiedzi na pismo. Wysłał skargę do Trybunału Konstytucyjnego! Nie chodzi o te jego listy. – Władysław wstał z fotela i zaczął nerwowo spacerować po salonie. – Moi pracownicy wręcz trzęsą się ze złości na widok Antoniego Woźnicy. Wredny typ i dla każdego niemiły. Natomiast wystarczy, że stanie przed publicznością, a mało nie pęknie z dumy, że ma słuchaczy.

– A ma?

– Myślę, że wśród moich przeciwników owszem, ma.

– To nieliczne grono. – Doktor Waldemar machnął ręką. – Ale z tym poklaskiem to prawda. Miałem tę wątpliwą przyjemność wysłuchania go na ostatnim sołeckim zebraniu. Zdominował całą dyskusję.

„Ja się znam, ja byłem, ja mam doświadczenie”. Nie zauważył, że część ludzi wyszła ze spotkania. Skąd on się w ogóle wziął u nas?

– Podobno ze Zdbic. To mała miejscowość niedaleko Wałcza. Był tam komendantem Straży Pożarnej.

– I ot tak, żyjąc tam tyle lat, nagle postanowił się przeprowadzić?

– Na to wygląda...

– Trudno uwierzyć – westchnął lekarz. – W każdym razie, odkąd tylko się tu przeniósł, chce błyszczeć i być zauważany. Udaje mu się, choć w negatywny sposób.

– Nieważne, co mówią, byle nazwiska nie przekreślali – dodał Władysław. – Woźnica ogromnie utrudnia pracę naszego urzędu. Był czas, że moi pracownicy odpowiadali na jego pisma lakonicznie. Wtedy słał sprawę wyżej. Proszę sobie wyobrazić, że na początku sierpnia mieliśmy z tego powodu kontrolę.

– Słyszałem. Ale chyba nic nie wykazała?

– Drobne nieścisłości i niedociągnięcia – powiedział wójt. – Wiadomo, nie wszystko robi się idealnie. Jednak sam fakt, że mamy dwa razy więcej pracy, utrudnia normalne funkcjonowanie.

– Może znudzi mu się wnet to podkopywanie pańskiego autorytetu?

– Obym wytrzymał jeszcze dwa lata. – Władysław rozpiął górny guzik koszuli. Oddychał coraz ciężiej. – Dużo nerwów kosztuje mnie ten człowiek. Staram się nim nie przejmować, ale daremnie. Nie ma dnia, bym w jakiś sposób nie był przez niego osaczany.

Doktor uważnie spojrział na Matuszewskiego.

– Radziłbym, aby pan jednak mniej się denerwował. To może skończyć się źle dla zdrowia. Mówię poważnie.

– Zaraz mi przejdzie. – Wójt zaczął nabierać większe hausty powietrza. Powoli regulował oddech. – Gdyby pan dał mi jeszcze kilka tych tabletek na szybkie uspokojenie nerwów, byłbym wdzięczny.

Lekarz westchnął i otworzył szufladę biurka.

– Proszę – podał Władysławowi receptę. – Przypominam, że to do-  
rażna pomoc. Powinien pan przejść regularne leczenie.

– Tia... Regularne leczenie to psychoterapia. Gdyby tylko Woźnica dowiedział się, do jakiego specjalisty chodzę, rozkręciłby się jeszcze

mocniej.

– Uważam, że własne zdrowie jest ważniejsze od zdania lokalnego oszołoma. Historia zna przypadki, jak kończyli tacy, jak pana prześladowca. Proszę zrobić jednak to, co podpowiada rozsądek. Domyślam się, że żona nadal nie wie o pana problemach zdrowotnych?

– Nie wie – przyznał Matuszewski. – Niech tak zostanie. Udaję, że nie przejmuję się tym pobierowskim idiotą.

– Naprawdę powinien pan się nie przejmować. Nie ma kim.

Dopili trunek i po chwili się pożegnali. Władysław wracał do domu wolnym krokiem. Było już ciemno, mrok rozświetlały uliczne latarnie. Szalejące od kilku dni sztormy na nowo wznieciły wiatr, który ponawiewał liście na chodniki i drogę. Matuszewski musiał uważnie stawiać nogi, aby nie potknąć się o jakąś ukrytą gałąź czy nie zahaczyć o nierówność chodnika. Do domu miał może z pięćset metrów, kiedy nie zauważył schowanej pod liśćmi kałuży. Noga straciła oparcie, a Władysław runął na ziemię. Pomimo świecącej obok latarni, nie mógł dostrzec małego bajorka.

– Dobry wieczór! Widzę, że władza wreszcie upadła. – Usłyszał z boku czyjś głos.

Jeszcze tego człowieka tutaj brakowało. Woźnica! Zadowolony i uśmiechnięty wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i nim Władysław zdążył się podnieść, zrobił mu dwa zdjęcia.

– Dlaczego pan to robi? – Matuszewskiego ogarnęła wściekłość.

– Jaki ma pan cel? Zrobić z siebie jedyne go prawego i sprawiedliwego?

– Nie muszę nikogo z siebie robić. Ja taki jestem. I oczekuję tego samego od innych – rzucił tamten z satysfakcją. – Wójt gminy powinien prowadzić się dobrze, a nie pić, a potem ledwo iść do domu. Dobrze wy-czułem? Alkohol. Prawda?

– Jest piątkowy wieczór, a ja jestem po pracy. Miałem prawo wypić odrobinę czegoś mocniejszego z przyjacielem – zaczął Władysław, ale Woźnica mu przerwał.

– Przed chwilą widziałem leżącego, pijanego wójta. Ludzie muszą poznać, kogo wybrali na to stanowisko. Żegnam! – Odwrócił się i odszedł.

Matuszewski, lekko utykając, powoli doszedł do domu.

– Boże mój, co się stało? – spytała na jego widok przerażona Matylda.

– Nie zauważyłem kałuży pod liśćmi. – Nie patrzył żonie w oczy. – Noga omsknęła się i upadłem. Przebiorę się, a pobrudzone spodnie wrzucę do pralki.

– Ściągaj je szybko. Muszę je od razu zaprać. Jeśli błoto zaschnie, to plama już nie zejdzie z materiału.

Nie przyznał się Matyldzie kogo spotkał niemal przed domem. Zastanawiał się, co teraz może zrobić Woźnica. Na domiar złego znowu zaczął odczuwać nieznośne klucie w okolicy serca.

– Matyldo, pójdę już się położyć. Mam nadzieję, że nie łapie mnie żadne choróbko.

– Przygotuję ci zaraz mleko z miodem. – Żona popatrzyła na niego z troską. Wzięła spodnie wiszące na oparciu krzesła i poszła z nimi do łazienki.

Już miała włożyć je do miski wypełnionej wodą i środkiem do prania, gdy odruchowo sprawdziła kieszenie. Lewa była pusta, w prawej natomiast...

– Co to jest? – spytała samą siebie. Trzymała w ręku listek tabletek i jakąś nieczytelnie zapisaną receptę. Pastyłki nie miały żadnej nazwy. Pewnie to środek na przeziębienie, pomyślała.

Namoczyła spodnie i poszła do kuchni. Po dziesięciu minutach niosła do sypialni gorący napój. Władysław jednak już spał.

\* \* \*

– Uważam, że podjęła pani słuszną decyzję. – Adwokat Jaworski ściągnął okulary. Chwilę wcześniej Zoja podpisała wszelkie spadkowe formalności. – Gratuluję. Pieniądze będą na koncie jeszcze dzisiaj.

Ryszard patrzył zaskoczony. Był pewien, że ukochana odrzuci spadek. A tutaj taka niespodzianka! Jednym uchem słuchał prawnika, gdyż całą uwagę skupił na przyglądaniu się Zoi. Wcześniej nawet słowem nie zająknęła się, że zmieniła zdanie. Tematu spadku nie poruszali od tygodnia.

– Skąd taka decyzja? – spytał, gdy opuścili kancelarię.

– Przemyślałam wszystko raz jeszcze. – Wzruszyła ramionami,

jakby mówiła o błahym temacie, a nie o ponad stutysięcznym spadku w gotówce i biżuterii. – Doszłam do wniosku, że przydadzą się nam te pieniądze.

– Wiesz już, co z nimi zrobisz?

– Tak. – Padła krótka odpowiedź.

Nie dopytywał. Zoja również milczała. Ryszard był lekko rozczarowany, że nie chciała podzielić się z nim informacją. W milczeniu doszli do mieszkania. Dopiero gdy usiedli nad świeżo zaparzoną kawą i jabłeczkiem, kobieta na nowo podjęła temat.

– Zerknij na to – wyciągnęła z szuflady kartkę.

Ryszard zaczął czytać: „Na sprzedaż letniskowy domek holenderski o powierzchni dwudziestu trzech metrów kwadratowych, umiejscowiony na trzystumetrowej działce. Gostyń. Dziewięć kilometrów do morza. W skład domku wchodzi duży pokój z aneksem kuchennym, sypialnia, umywalnia. W przybudówce obok osobne pomieszczenie z WC i natryskiem oraz pomieszczenie gospodarcze”.

– Co to jest? – zapytał.

– Pieniędzy ze spadku wystarczy akurat na taki domek – powiedziała Zoja zdecydowanym tonem.

– Nigdy nie wspominałaś, że chcesz mieć coś własnego nad morzem.

– Do tej pory nie było mi to potrzebne – stwierdziła cicho. – Jednak gdy odrzucili twój wniosek o sanatorium, a Ula przypadkiem podsunęła ogłoszenie o tym domku, nie zastanawiałam się ani chwili.

Ryszard zaczął chodzić po pokoju.

– Nie chcę, abyś litowała się nade mną! Nie życzę sobie, żebyś pieniądze ze swojego spadku przeznaczala na cokolwiek z myślą o mnie!

– Nie mam na uwadze ciebie, ale nas! – Zoja także podniosła głos. – Możemy wybrać się w jednorazową podróż, a resztę pieniędzy ze spadku przejeść, jak wolisz! Uważam, że sensowniejsze będzie zainwestowanie w taki domek. Kosztuje siedemdziesiąt tysięcy. Moglibyśmy tam spędzać wolne dni. Ze Szczecina to tylko godzina drogi. Do morza mamy niecałe dziesięć kilometrów, jeździlibyśmy sobie rowerami. Latem zbieralibyśmy jagody i mogłabym robić przetwory. Jesienią chodzilibyśmy na grzyby. Przecież lubisz je zbierać. Myślę, że to byłoby odpo-

wiednie miejsce dla nas.

Ryszard popatrzył na nią uważnie.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek w życiu sugerowała się moim dobrem – zaczął. – Każda decyzja, którą podejmujesz, musi być podyktowana tym, czego ty pragniesz, a nie tym, czego chcesz dla mnie!

– Dobrze! Chcę mieć ten domek! – krzyknęła z taką pasją, że spojrział zaskoczony.

Podeszła i mocno się do niego przytuliła.

– Chcę. Słyszysz? – wyszeptała mu do ucha. – Chcę też mieć samochód. Pewien starszy pan, klient naszej apteki, ma dziesięcioletnią samarę do sprzedania. Jeździł nią tylko okazyjnie. Kosztuje pięć tysięcy złotych.

– I pewnie ja mam zająć się samochodem? – roześmiał się. – Jeszcze czegoś chcesz?

– Tak – mrugnęła okiem. – Ale wezmę to sobie sama. Dziś wieczorem...

Nie pozwolił jej skończyć. Wziął za rękę i zaprowadził do sypialni.

– Kocham cię – powiedział trzy kwadranse później, wtulony w jej włosy. Z trudem łapał oddech. Dawno nie było im tak dobrze.

– Przekonałam cię chyba. – Zoja się uśmiechnęła.

– Te wasze kobiece sztuczki... Kiedy mogę zobaczyć samochód?

– Jutro.

– Och, ty! – Zaczął ją łaskotać. – Taka byłaś pewna, że się zgodzę?

– Jasne! Na oglądanie domku też nas umówiłam. Tylko najpierw musimy kupić samochód, aby podjechać w środę do Gostynia.

– Zrobimy, co tylko zechcesz.

Samochód rzeczywiście był zadbany. Dotychczasowy właściciel, ponad siedemdziesięcioletni mężczyzna, tłumaczył, że auto potrzebne mu było do wyjazdów na cmentarz i do kościoła.

– Niestety, wzrok już nie pozwala na prowadzenie – mówił. – Panią Zoję znam od dawna. Wiem, że mój pojazd trafi w dobre ręce.

Ryszard odbył próbną jazdę. Potem zajrzał pod maskę. Wszystko wydawało się w należyтым porządku.

– Umowę przygotował mój syn. – Staruszek podał dokumenty.

Zoja wpisała odpowiednie dane, po czym złożyła podpis.

– Proszę. Tu jest pięć tysięcy złotych. – Wręczyła mężczyźnie kopertę. – Niech pan przeliczy.

Dziwne uczucie ją ogarnęło, gdy rano wypłacała pieniądze. Miała na koncie tak niebotyczną sumę, że w głowie się kręciło! Wypłaty dokonywała przy kasie. Kwota, którą potrzebowała, nie była dostępna w bankomacie.

– Wszystko się zgadza. – Staruszek się uśmiechnął. – Cieszę się, że to pani stała się właścicielką auta. Niech dobrze wam służy.

Nie pojechali od razu do domu. Ryszard chciał sprawdzić, jak jeździ się samochodem po mieście.

– Malutko pali – ucieszył się. – Nie będzie drogi w utrzymaniu.

Zanim się zorientowali, jechali w stronę mariny w Dąbiu. Miejsce wypadku, które do niedawna wzbudzało w obojgu wielkie emocje, tym razem minęli bez zatrzymywania się. Postój nastąpił dopiero na przystanku. Pospacerowali trochę po nabrzeżu, wypili kawę w przytulnej knajpce i wrócili do domu.

Trzy dni później jechali w stronę morza. Zoja wzięła wolne w pracy. Bez problemu trafili pod wskazany adres. Krótco przed Pobierowem zjechali z głównej drogi w lokalną, do Gostynia, a potem odbili w prawo. Do domku prowadziła polna droga, tylko częściowo utwardzona.

– Zimą nikt tego nie będzie odśnieżał – zauważył Ryszard.

Właściciel już na nich czekał. Pięćdziesięcioletni mężczyzna sprawiał dobre wrażenie.

– Kupiłem tę działkę dwa lata temu – opowiadał. – Od razu postawiłem na niej domek. Jest nowy i zadbane. Drzwi wejściowe są podwójne, do tego ochronna moskitiera. Z przodu są drewniane tarasy. Szczególnie ten południowy jest bardzo nasłoneczniony.

Zoja zakochała się w tym miejscu od razu. Na chwilę wyłączyła się ze słuchania. Wciągnęła nosem wrześniowe powietrze. Zapach niedalekiego lasu, sosen i igliwia mieszał się z dymem wypalanych przez mieszkańców Gostynia liści. Ogarnęło ją takie uczucie szczęścia, że z trudem wróciła do rozmowy.

– Działka jest ogrodzona. – Właściciel wskazywał nowy płot. – Tu możecie państwo zrobić sobie mały ogródek, a dalej posadzić drzewka owocowe. Aha, domek sprzedaję z pełnym wyposażeniem.

– Nie ma pan ochoty już tutaj przyjeżdżać? – spytał Ryszard.  
Mężczyzna lekko się zmieszał.

– Nie. Nie mam ochoty – powiedział krótko. – Zależy mi na jak najszybszej sprzedaży wszystkiego.

Podeszli do studni.

– Ma filtr – wyjaśnił właściciel. – Woda jest czysta. Koszty utrzymania całości są niezwykle niskie. Sześć złotych rocznego podatku rolnego plus prąd według zużycia. Kuchenka jest na gaz, a do ogrzewania wykorzystywany jest promiennik gazowy.

– Naprawdę pan chce siedemdziesiąt tysięcy za wszystko? – Ryszard podrapał się po głowie. – Nowa rzecz, więc to dziwnie niska kwota...

– Zależy mi na szybkiej sprzedaży – powtórzył mężczyzna. – Wolałbym, aby określili się państwo, czy są zainteresowani kupnem, czy nie. Na popołudnie mam umówionych kolejnych oglądających.

– Kupujemy! – powiedziała Zoja tak pewnym tonem, że Ryszard spojrzał zaskoczony. Chciał coś powiedzieć, zaproponować przemyślenie, porozmawianie w spokoju, ale mina kobiety jednoznacznie mówiła, że decyzja została podjęta i nie ma od niej odwołania.

– Bardzo się cieszę. – Dotychczasowy właściciel rzeczywiście wyglądał na uradowanego.

Ryszard odniósł nawet wrażenie, jakby tamtemu spadł kamień z serca. Intuicja podpowiadała, że coś musi być nie tak. Kilkakrotnie czytał tekst aktu własności, doszukując się jakichś nieścisłości.

– Jeżeli państwu odpowiadają warunki, to możemy umówić się do notariusza. Najlepiej jeszcze w tym tygodniu. Prawnik rozwieje ewentualne wątpliwości.

Uczciwe postawienie sprawy pozwoliło Ryszardowi przychylniej spojrzeć na kwestię tempa narzuconego przez mężczyznę. W piątek stawili się u prawnika.

– Wszystko jasne i przejrzyste. – Notariusz zakończył odczytywanie dokumentu.

Zoja złożyła podpis. Stała się formalną właścicielką domku letniskowego i działki. W ciągu tygodnia pozałatwiali resztę spraw urzędowych i przelali pieniądze. W weekend wybrali się do Gostynia. Przez



tych kilka dni spadło z drzew jeszcze więcej liści i cała polna droga była nimi usłana. Słońce tego dnia nie wyszło zza chmur. Zoja krzątała się po maleńkiej kuchence, wyciągając przywieziony prowiant. Była mile zaskoczona. Lekki sceptycyzm Ryszarda z powodu niskiej ceny i tempa załatwiania spraw i jej się udzielił. A tu lodóweczka działała bez zarzutu, butla była wypełniona gazem, kąty poomiatane. Wszystko przygotowane przez poprzedniego właściciela jak należy. Nawet naoliwił zamek w furtce i zaimpregnował drewniane tarasy przed zimą.

– Wszystko w porządku? – spytała ukochanego. Właśnie wrócił z obchodu. Nadal był podejrzliwy i doszukiwał się jakiegoś oszustwa. Może studnia nie będzie działać? Sprawdzał trzykrotnie. Funkcjonowała bez zarzutu. – Widziałeś natrysk? Aż świeci nowością – cieszyła się Zoja.

Mruknął coś w odpowiedzi. Wiedział, że został dopiero co założony. Zdążył zrewidować łazienkę.

– Dobrze mi tu. – Kobieta wyciągnęła nogi przed siebie. Ubrani w ciepłe polary siedzieli na tarasie i delektowali się gorącą herbatą. – Widzisz, jaki kolor mają te jabłka na drzewie przy płocie? Są aż krwistoczerwone!

Przypomniał sobie, co miał jej powiedzieć, więc od razu zaczął:

– Wspomniałaś o jabłonce. Wydaje mi się, że ktoś szabrował tu podczas naszej nieobecności. Pod drzewem były rozgarnięte liście. Nie zrobiło tego zwierzę, bo ogrodzenie dookoła działki jest naprawdę solidne.

– Może to jakiś chłopak ze wsi? – zastanawiała się Zoja. – Kilka jabłek, które sobie wziął, nie robi nam różnicy.

– Niby nie, jednak skoro wszedł na posesję, to i do domku może się dostać – powiedział Ryszard.

– Mamy solidne zamki.

– Ale zimą nie będziesz tutaj przyjeżdżała. Założę się, że na początku grudnia spadnie śnieg i trzeba będzie czekać z odwiedzinami w Gostyniu do wiosny. Ktoś powinien nam ten domek doglądać i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

– Musimy popytać we wsi – zaproponowała Zoja. – Zostawimy numer telefonu, aby w razie czego można było nas poinformować. Problem

w tym, że nikogo nie znamy. – Po chwili pstryknęła palcami i oznajmiła: – Mam! Mieliśmy to zrobić poprzednim razem, ale zaraz nadrobimy zaległości. Zadzwoń do Matyldy i powiem o wszystkim. Może ona nam kogoś znajdzie? Jest sołtyską Pobierowa, więc zna solidnych ludzi w miejscowościach obok.

\* \* \*

Matylda bardzo się ucieszyła z telefonu, który odebrała. Błyskawicznie przypomniała sobie Zoję i jej pobyt w Pobierowie przed dwoma laty.

– Ogromnie się cieszę, że jesteście tak blisko! – Uśmiechała się do słuchawki. – Zaraz zbudzę Władysława i przyjedziemy do was. Nie, nic mu nie jest. Uciał sobie tylko poobiednią drzemkę. Za kwadrans będziemy! Podaj mi dokładny adres. Aha, zapisałam. Cieszę się, że udało wam się kupić okazjnie ten domek. Do zobaczenia za piętnaście minut!

Jakiś czas później cała czwórka siedziała nad ciastem owocowym.

– Cieszę się, że będziecie niedalekimi sąsiadami – powiedział Władysław.

– Ten domek to był impuls – odparła Zoja. – I okazał się trafioną decyzją. Mamy gdzie przyjeżdżać i wypoczywać. Cena także była rozsądna.

– Podejrzenie niska – skwitował Ryszard.

– Znacie może kogoś, kto mógłby doglądać nam domku? – zapytała Zoja. – Dzisiaj, gdy przyjechaliśmy, pod jabłonką były czyjeś ślady. Pewnie jakiś wyrostek połasił się na te piękne jabłka. Obawiamy się, że w przyszłości może zainteresować go też wnętrze domku.

– My możemy to robić – odparła Matylda. – Kilka razy w tygodniu przejeżdżamy przez Gostyń, więc możemy zjechać z drogi i zajrzeć.

– Przykażę służbom porządkowym, aby ten kawałek drogi odśnieżali zimą – dodał Władysław.

Na chwilę zapadła cisza.

– Spaliście już tutaj? – spytała sołtyska.

– Jeszcze nie. Dzisiaj będzie pierwsza noc w nowym miejscu.

– Ryszard się uśmiechnął.

– Koniecznie zapamiętajcie sny.

– Na pewno będą piękne – rozmarzyła się Zoja. – Ogromnie mi się podoba to miejsce. Jest taka cisza i spokój. Chyba mogłabym tu na stałe zamieszkać.

– Najpierw spędźcie tu pierwszą noc... – powiedziała Matylda cichutko. Miała nadzieję, że nie uciekną, jak dotychczasowi właściciele działki.

\* \* \*

Aurelia uwielbiała wieczorne spacerować. Dopóki nie zapadł zmierzch, wędrowała plażą. Teraz jednak, gdy świat pokryła ciemność, wspięła się po drewnianych schodach i weszła w głąb lądu. Obejrzała się raz jeszcze, aby podziwiać chmury udrapowane na niebie po zachodzie słońca. Zaraz zapewne zerwie się bryza.

Zerknęła na telefon. Christian dzisiaj nie zadzwonił ani razu. Odezwwał się zaś poprzedniego dnia.

– Halo – rzuciła ozieble, aby dać mężowi do zrozumienia, że tak łatwo przeprosić się nie da. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że mężczyzna przemyślał sprawę i zaraz będzie błagał ją o wybaczenie.

– Relu, gdzie jest telefon do pani z urzędu zatrudnienia? Nie mogę znaleźć w notesie. Pewnie zapisałaś ją pod jakimś nazwiskiem. – Usłyszała ospały głos Christiana.

– Poszukaj pod „h”. Hetz – odpowiedziała automatycznie, przypominając sobie natychmiast, że jest na niego śmiertelnie obrażona i nie powinna się odzywać dopóty, dopóki on jej nie przeprosi. Spytała zatem naprowadzająco: – Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie, to wszystko. – Usłyszała w odpowiedzi. – Wyjechałaś, a firma musi funkcjonować. Chcę zatrudnić studentkę do momentu, aż wrócisz.

Tchu jej zabrakło. Wybuchła:

– Studentkę?!

– Tak, studentki są najtańsze. Do prowadzenia domu nająłem na czarno Ukrainkę. Całkiem nieźle gotuje. – Christian z dumą prezentował żonie, jak sobie fantastycznie radzi podczas jej nieobecności. – Nie musisz jeszcze wracać z tej swojej nadmorskiej dziury. Jak ona się nazywa? Zawsze zapominam... Poberow, prawda?

– Pobierowo! – wrzasnęła do słuchawki. – Pobierowo! – Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się. Czekala, aż mąż zadzwoni po raz kolejny, ale gdzie tam! Telefon milczał jak zaklęty. Dzisiaj było to samo.

Naładowała komórkę, sprawdziła jej głośność i co chwilę kontrolowała zasięg sieci. Wszystko działało bez zarzutu, jednak przez cały dzień nie zadzwonił kompletnie nikt. Zirytowana, po południu wybrała się na długi spacer po plaży.

Bliskość wody i rześkie powietrze od razu poprawiły jej nastrój. Na szczycie schodów prowadzących z plaży, odczuła pierwszy powiew bryzy. Postawiła kołnierz kurtki i ruszyła promenadą. Ciemność rozświetlały latarnie ustawione wzdłuż zejścia. Z daleka, pod słupem ogłoszeniowym, majaczyła sylwetka mężczyzny. Przyczepiał jakąś kartkę. Poczula się trochę nieswojo. Dopiero gdy podeszła bliżej...

– Dobry wieczór! – powiedziała ogromnie ucieszona.

Antoni Woźnica aż podskoczył wystraszony nagłą obecnością kobiety. Kiwnął głową. Był niezadowolony, że zjawila się tak niespodziewanie. Barczysta sylwetka bez trudu zakryła to, co przed chwilą przytwierdził do słupa.

– Widziałam pana w kościele – zaszczebiotala Aurelia. – Tak pięknie zaintonował pan *Rotę*, że łzy w oczach mi stanęły. Dawno nie słyszałam tej pieśni.

– Jako dziecko zasypiałem przy niej – odchrząknął. Nastrój nieco mu się poprawił.

– Musiał mieć pan wspaniałą matkę.

Na samo wspomnienie o niej w oczach Woźnicy zalśniły łzy. Odparł więc:

– Najlepszą!

– Prawdziwy Polak to gatunek na wymarciu – westchnęła Aurelia.

– Ludzie gdzieś pędzą, zamiast przysiąść z dziećmi i nauczyć ich tradycji oraz kultury. A już politycy to wybitny przypadek umysłowej degradacji społeczeństwa!

Machnęła ręką z rezygnacją. Antoni natomiast poczuł się w swoim żywiole.

– Politycy! Nasza elita! – Pogardliwie wyduł usta. – Tylko pchają się do koryta! Jeden gorszy od drugiego! Sami złodzieje i łajdacy! Nor-

malny mężczyzna w domu siedzi, o rodzinę dba, a nie pcha się do chlewu! Chyba że ma predyspozycje, jak na przykład ja. Wystarczy posłuchać obrad sejmku, aby wiedzieć, jaką dziczy wybraliśmy. Zresztą nie trzeba daleko szukać! Lokalni politycy są tacy sami. Choćby nasz wójt. To znaczy wasz, bo mój na pewno nie. Ja na takiego dziadogę nie głosowałem. Nie dość, że nieudacznik, to jeszcze chleje! Widziała to pani?

Odsunął się, odsłaniając słup ogłoszeniowy. Widniał na nim świeży afisz. Pół kartki zajmowało zdjęcie leżącego w kałuży mężczyzny.

– Przecież to Matuszewski! – Aurelia wydawała się zaskoczona.

– Widzi pani, jak się ululał?! I taki typ gminą rządzi! – nakręcał się Antoni Woźnica. – A społeczeństwo nie śpi. Porządny obywatel zauważył pijanego włodarza i zrobił mu zdjęcie.

– Tylko trochę nie tak... Nie powinien pan od razu robić plakatów i wywieszać na słupie. – Kobieta przyglądała się fotografii, a na jej twarzy odmalowało się współczucie. – Może trzeba było najpierw wybrać się do wójta i porozmawiać, a nie tak ośmieszać...

– Lituje się pani nad alkoholikiem? – huknął i spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, że zaczęła kręcić głową.

– Nie, absolutnie nie – powtarzała, czując respekt przed Antonim. – Pewnie ma pan rację. Ludzie muszą znać prawdę.

– Prawda jest taka, że gdyby mnie słuchali, to nigdy ktoś taki nie rządziłby gminą. – Woźnica ponownie wyduł usta w pogardzie. – Służyłem Polsce tyle lat. Jako komendant straży pożarnej wykonywałem powierzone mi obowiązki z pasją i powołaniem. Ani razu nie splamiłem munduru! Gdy widzę takie zdjęcia, jak to na słupie, to żałuję, że jestem Polakiem. Rządzą nami nieudacznicy i niewykształceni ludzie. Nawet jeśli mają szkoły pokończone, to tytuły zakupili na bazarze w Otwocku!

– Dlaczego w Otwocku? – Aurelia spojrzała zaskoczona na mężczyznę. Do tej pory słuchała go jak zauroczona i odnosił wrażenie, że doskonale rozumie, co chce przekazać w swojej przemowie. Wszystko przyszło. Nie rozumiała.

– Nieważne – machnął ręką. – My, prawdziwi patrioci, mamy jeden cel. Musimy nauczyć proste społeczeństwo wybierania odpowiedniej władzy. Jako mądrzejsi i posiadający większą wiedzę, musimy dać odpór historycznej nieświadomości. Nasze korzenie sięgają rodu Polan. Za-

miast patrzeć na dawnych władców, wybieramy nie wiadomo kogo! Ludzi z obcymi korzeniami, nieposiadających kwalifikacji, zwyczajnie głupich! A już najgorsze, gdy wybieramy... – Tu zamilkł z teatralną miną.

– Kogo? Kogo? – Aurelia wykazała rzeczywiste zainteresowanie.

– Homoseksualistów! – powiedział głośnym szeptem to zakazane słowo. – Tych odmieńców, dla których znalezienie kobiety jest problemem, więc wybierają mężczyzn. A potem w sypialni zaspokajają swoje rżądze w zwierzęcy sposób! – mówił z taką pasją, że Aurelia umilkła na dobre.

Przez chwilę myślała, że taki powinien być przywódca gminy. Co tam gminy! Całego narodu! Oczy mu błyszczały, ślina wystąpiła w kącikach ust, pierś uniosła w podnieconym oddechu. Prawdziwy mąż stanu! Po latach naród pomniki będzie mu stawiał.

Doszli razem do skrzyżowania. Aurelia nie odzywała się wcale, natomiast Woźnica był w swoim żywiole. Czuł, że trafił na wdzięczną i podatną na jego słowa słuchaczkę. Czy Barbara kiedykolwiek słuchała go z otwartymi ustami? Nie przypominał sobie.

Dopiero po pożegnaniu zorientowała się, że nie sprawdziła pewnej rzeczy. Zawróciła więc. Schodząc z plaży, widziała, że Woźnica coś przypina do słupa ogłoszeniowego. Wciąż była ciekawa, co to jest. Oglądała okrągłak z każdej strony, jednak poza zdjęciem wójta w kałuży, niczego innego nie było. Musiało jej się przywidzieć. Już miała odejść, gdy w przyływie impulsu zerwała jedyny wiszący plakat. Zgniotła go i włożyła do plecaka. To samo zrobiła, przechodząc obok trzech innych słupów. Dobrze, że nie ma sezonu letniego i kompromitujących fotografii nie ogląda nikt przyjezdny.

Jutro wybiorę się do sołtyski i zwrócę uwagę na problem, pomyślała. Niech sobie pije nasz wójt. Wszystko jest dla ludzi. Ale niech nie robi tego tak ostentacyjnie.

\* \* \*

– Nie jest ci za ciężko? – Dorota spojrzała z troską na przyjaciółkę. Aldona uparła się prowadzić wózek z Amelką. Zawsze to robiła, gdy wspólnie wychodziły, teraz jednak widać było, że spacer nie sprawia jej przyjemności.

– Zmęczona jestem – odparła z uśmiechem mimo widocznego wyczerpania. – Chyba wezmę dodatkowy preparat wzmacniający.

– Lekarz ci przykazał?

– Nie. Przemęczenie jest z powodu bezsenności. Noce mam ostatnio bardzo ciężkie.

Nie było to do końca prawdą. Aldonę męczyła nie bezsenność, ale powtarzający się co noc jeden sen. Właściwie nie był niczym zdrożnym... Ledwo zasypiała, a w głowie pojawiał się jasnowłosy maluszek. Nadal nie wiedziała, jakiej jest płci. Dziecko leżało w drewnianej kołysce i przeraźliwie płakało. W pomieszczeniu poza nim nie było nikogo. Chyba ta samotność była najbardziej dokuczliwa, bo płacz przybierał na sile. Aldona zbliżała się do łóżeczka powoli, aby nie wystraszyć maluszka nagłym pojawieniem się. Jednak gdy tylko chciała wziąć niemowlę na ręce, ono jakby rozpląwało się w powietrzu.

Gdy śniło jej się to po raz pierwszy, nie mogła zasnąć do rana. Przerażona leżała obok Michała i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit. To tylko sen, powtarzała sobie w myślach. Wszystko przez moje przesiadywanie na forach dla matek, ganiła się.

Rzeczywiście, nieopatrznie czytała posty w grupie dyskutującej o poronieniach. Przypadkiem ją znalazła, wyszukując zupełnie innego tematu. Miała od razu opuścić stronę, ale ciekawość zwyciężyła. Przeglądała, aż dotarła do tematu „Poronienie a intuicja”. Niedoszłe matki zwierzały się, że przeczuwały, iż nie donoszą ciąży. Dlatego gdy po raz pierwszy przyśnił się Aldonie maluszek, była pewna, że to pod wpływem przeglądania forum. Na drugi dzień nie weszła już na nie. Sen jednak się powtórzył. I przez kolejne dni także ją nawiedzał.

Obleciał ją blady strach. To może oznaczać tylko jedno... Jej organizm nie chce przyjąć dziecka! Nie uspokoiło jej nawet zapewnienie ginekologa o tym, że nie widzi niczego niepokojącego.

– Nie rozumiem... Dlaczego przyszła pani do mnie drugi raz w tym tygodniu? – Pokręcił głową po zbadaniu pacjentki. – Wszystko jest w najlepszym porządku. Cięża rozwija się prawidłowo. Nic jej nie zagraża, pani także nie. Trwa właśnie trzydziesty tydzień. Jeszcze trochę i będzie cieszyła się pani maleństwem.

Wyszła pocieszona, jednak radość ustała wraz z nastaniem nocy.

Znowu miała sen, że zbliża się do płaczącego niemowlęcia, a ono znika.

– Aldono, usiądźmy tutaj. – Dorota wskazała ławkę pod niewielkim zadaszeniem.

Późna jesień była wyjątkowo brzydka. Wiało i padało na przemian. Dni ze słońcem można było na palcach policzyć. Teraz też było pochmurnie, ale na szczęście bez opadów. Amelka wyszła z wózeczka i w kaloszach weszła do pierwszej napotkanej kałuży. Kobiety patrzyły, jak dziewczynka bawi się znalezionym patykiem, rozpryskując brudną wodę.

– Jeszcze trochę i ciebie to czeka – powiedziała Dorota z uśmiechem, który po chwili znikł. – Stało się coś? Tak nagle pobladłaś! Może dziecko uciska na jakiś nerw?

Aldona machnęła ręką, jakby odganiała się od natrętnych pytań. Przyjaciółka zamilkła, skupiając się na Amelce. Zrobiło się jej przykro, choć z drugiej strony pamiętała swoje zachowania w błogosławionym stanie. Dalekie były od normalności! Może i w wypadku Aldony w grę wchodzi hormony i huśtawka nastrojów?

– Co noc mi się śni – odezwała się po kilku minutach.

– Nadal w ten sam sposób? – spytała Dorota.

– Tak.

– Pewnie zbyt dużo czytasz przed snem. – Starła się, aby jej głos brzmiał normalnie. – Może lekarz przepisze ci ziołowe tabletki na uspokojenie? Wydaje mi się, że bardzo nerwowa stałaś się ostatnio.

– Rozmyślam nad wszystkim, więc pewnie dlatego. – Aldona pogładziła się po brzuchu. – Zastanawiam się, czy na pewno dam sobie radę z opieką nad dzieckiem.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć – przypomniała przyjaciółka.

– Kochana jesteś, ale sama muszę się nim zająć. Wróciłaś do realizacji zleceń, masz też swoją rodzinę.

– Na pewno Michał będzie ci pomagał.

– Przez pierwsze dwa tygodnie po porodzie będzie miał urlop, ale potem musi wrócić do pracy. Sama wiesz, że małe dziecko wymaga sporych nakładów finansowych. Z drugiej strony cieszę się, że zostanę mamą. Radość miesza się we mnie z ogromnym lękiem.



– Zawsze tak się dzieje. Każda przyszła mama ma wątpliwości – roześmiała się Dorota. – Ja także byłam jednym kłębkim nerwów. Pamiętasz? Nie pomagały zapewnienia innych matek, że ciąża to wspaniały stan i należy się nim wyłącznie cieszyć. Dlatego doskonale rozumiem, co teraz przechodzisz. I jeszcze raz cię zapewniam: masz nas w pobliżu. Jesteśmy zawsze pod telefonem. Pracujemy w nienormowanych godzinach, więc kiedy tylko zajdzie taka konieczność, któreś z nas pojawi się do pomocy. Zapewniam cię o tym po raz setny! W razie potrzeby będę dla twojego maleństwa jak druga mama!

– Auć! – Aldona chwyciła się za brzuch. – Chyba dziecko polubiło twój ton głosu. Za każdym razem, gdy go podnosisz, kopie mnie mocno!

Obie się roześmiały, a po chwili podniosły się i dołączyły do Amelki. Cała trójka trzymała w rękach patyki i rozchlapywała wodę w kałuży, nie przejmując się zgorzonymi spojrzeniami przechodniów.

Rozstały się jakąś godzinę później. Przyszła mama nie przejmowała się deszczem i wolniutko szła w stronę swojego mieszkania. Mijała właśnie aptekę. Kilka kroków dalej zawróciła i weszła do niej.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – Uśmiechnięta farmaceutka zachęcała do rozmowy.

– Poproszę o środek na dobry sen – odparła Aldona. – Od kilku dni się nie wysypiam.

Aptekarka przez chwilę szukała czegoś w komputerze.

– Nie mam już łagodnych preparatów – powiedziała, wpatrując się w ekran. – Pozostały mi tylko silnie działające tabletki.

– Czy ciąża może być przeciwwskazaniem?

Kobieta wyjęła ulotkę. Przeleciała wzrokiem po drobnych literkach i odparła:

– Powinna pani skonsultować te leki za swoim lekarzem prowadzącym. Dla bezpieczeństwa.

– Poproszę dwa opakowania. Wybieram się na wizytę dzisiaj po południu – skłamała.

Po pięciu minutach zadowolona wyszła z apteki. W domu jeszcze raz przeczytała skład. Same ziołowe komponenty. Nie powinno jej to zaszkodzić. Zresztą, dzisiaj weźmie tylko jedną i sprawdzi, czy rzeczywiście działa. Musi je tylko dobrze ukryć przed Michałem.

\* \* \*

Matylda zamyślona wychodziła z kościoła. Tym razem wybrała się na wcześniejszą mszę. W niedzielny poranek mało kto przychodził do świątyni na siódmą. Nie było tłoku w ławkach, modlitwa też wydawała się bardziej podniosła. Dzisiaj przyszła sama. Władysław niezbyt dobrze się czuł i wolał zostać w łóżku. Jak tylko wróci do domu, przygotuje mu śniadanie i pozwoli zostać w pościeli przez cały dzień.

Ostatnio dość często narzekał na złe samopoczucie. Usilnie namawiała go na wizytę u doktora Waldemara, ale mąż konsekwentnie odmawiał.

– Przejdzie mi. – Machał ręką, oganiając się od niej, jak od natrętnej muchy.

Nie była do końca pewna, co mu dolega. Niby łapało go przeziębienie, ale Władysław nawet gorączki nie miał. Nie bolało go też gardło, nie kasłał. Sugerowałyby raczej przemęczenie. Chyba najwyższy czas pomyśleć o urlopie! Do Bożego Narodzenia jeszcze kilka długich tygodni. Może tyle wytrzyma?

Na samą myśl o Świętach oczy jej rozbłysły, a na sercu rozlało się przyjemne ciepło. Już latem było ustalone, że Dorota, Piotr i Amelka spędzą je w Pobierowie. Matylda wyobraziła sobie ogromne oczy wnuczki wpatrzonej w błyskającą światłkami choinkę stojącą pośrodku salonu. Wnet trzeba będzie pomyśleć o prezentach dla wszystkich. Same rozważania przyprawiły ją o przyjemne dreszcze. Jaki świat może być piękny, gdy ma się wokół siebie kochających ludzi.

– Pani sołtys! – Usłyszała za sobą czyjś głos.

Odwróciła się. W jej stronę biegła blondynka, którą od jakiegoś czasu widywała w Pobierowie. Chyba mieszka w tym niebieskim domku. Co roku przybywało mieszkańców, których praktycznie nie знаła. Kupowali domki lub apartamenty, meldowali się na pobyt stały, a przyjeżdżali sporadycznie lub wyłącznie na wakacje. Problem pojawiał się, gdy Matylda musiała ścigać nowych pobierowian za nieuregulowany podatek od nieruchomości czy niepodpisaną umowę na wywóz śmieci. Nie miała pojęcia, gdzie ich szukać poza sezonem wakacyjnym. W tej chwili próbowała sobie przypomnieć, czy ta blondynka z niczym nie zalega.

– Pani sołtys, ale pani tempo narzuciła. – Zdyszana Aurelia w końcu do niej dobiegła.

– Przyspieszyłam, bo zaraz może lunąć deszcz. – Matylda wskazała palcem na zbierające się na niebie chmury. Sprawiały wrażenie, jakby noc w ogóle nie ustąpiła.

– Nie lubię końcówki października i całego listopada. – Rozmówczyni aż się wzdrygnęła. – Dnie są takie krótkie, pogoda nieprzyjemna, a słońca prawie nie ma. Ciągłe pada lub wieje, a liście przybierają kolor brunatny.

– Nie zawsze tak jest nad morzem – powiedziała sołtyska.

– Mam nadzieję! Jesień spędzam tu po raz pierwszy. – Aurelia roześmiała się.

– Od niedawna mieszka pani w Pobierowie, prawda?

– Od roku. I żałuję, że wcześniej nie znałam tego miejsca. Jest takie urokliwe i spokojne. Zupełnie inne od pozostałych nadmorskich miejscowości.

– A mnie się wydaje, że z sezonu na sezon zaczyna je coraz bardziej przypominać – westchnęła Matylda.

– Pani, jako sołtyska, ma pewnie latem pełne ręce roboty.

– Tak. Mieszkańcy, turyści i najemcy zwracają się do mnie z każdym mniejszym lub większym problemem, a nie za wszystko jestem przecież odpowiedzialna. W lipcu pozwoliłam sobie na spędzenie jednego weekendu poza Pobierowem. Dosłownie: jednego! W tym czasie pod moim domem zjawili się ludzie, którzy znaleźli bezpańskiego psa, który błąkał się po plaży. Nie było mnie w domu, więc zaczęli wydzwaniać na komórkę z pretensjami, że nie ma mnie na miejscu! Już mniej chodziło im o zwierzę, a bardziej o fakt, że sołtyski nie ma na posterunku. W ciągu kwadransa ściągnęłam znajomego ze schroniska, który zajął się psem. Przecież mogli zrobić to samo.

– Przykro to słuchać – skwitowała Aurelia.

– Taki los sołtyski. – Matylda uśmiechnęła się smutno. – Zresztą mój mąż ma podobnie.

– Właśnie. Nie widziałam dzisiaj wójta w kościele. Przyjdzie na późniejszą mszę?

– Źle się czuje i został w domu – odparła pani sołtys. – Wydaje mi się, że od kilku dni rozbiera go jakaś choroba. Chyba przygotuję mu ziołową nalewkę, która każdego stawia na nogi.

– Niech pani tego nie robi! To przecież na spirytusie!  
– Naturalnie. Wiele leków robi się na alkoholu.  
– Ale pani mąż nie powinien go nadużywać – szepnęła Aurelia, bo właśnie obie kobiety wymijało starsze małżeństwo nauczycieli.  
– Łyżka nalewki to nadużywanie? – Matylda zdumiona spojrzała na rozmówczynię.  
– Pani sołtys, zapytam wprost... Czy pan Władysław nie popija zbyt często?  
– Słucham? – Sołtyska zatrzymała się w pół kroku. – Przyznam, że jestem zaskoczona tupetem! Nawet nie wiem, jak ma pani na imię! Po raz pierwszy jest nam dane zamienić dwa zdania, a zadaje pani pytania, których ja nie miałabym śmiałości zadać najbliższej przyjaciółce!  
Matylda ruszyła ostro do przodu. Aurelia musiała biec, aby dorównać jej kroku.  
– Przepraszam, jeżeli zabrzmiało to zbyt poufale – z trudem łapała oddech – ale moje pytanie wynikało jedynie z troski!  
– Troski? Dobre sobie! Nie zna pani ani mnie, ani mojego męża, a snuje domysły! Co niby miało znaczyć pani pytanie? Podejrzewa pani Władysława o alkoholizm? Tak wprost, bez żadnych podstaw? Proszę mi wierzyć, mój mąż pije jedynie okazyjnie i wyłącznie w domowym zaciszu. To, co pani teraz robi, nazywa się małomiasteczkowym plotkarstwem. Żegnaj panią! – Przyspieszyła jeszcze bardziej, starając się pozbyć natrętnej towarzyszki. Bezskutecznie.  
– Pani Matyldo, ja naprawdę się martwię! Wójt, jeśli chce, niech pije na umór, ale nie publicznie!  
– Mojego męża nikt nigdy nie widział po alkoholu! Co za brednie pani wygaduje? Tracę czas na odpowiadanie plotkarce!  
– Proszę w takim razie spojrzeć na to!  
Aurelia wepchnęła kobiecie kawałek pogniecionego papieru, który wyciągnęła z małego skórzanego plecaka. Zdjęcie leżącego w kałuży Władysława zajmowało połowę strony. Rozpoznała męża od razu.  
– Co to jest? Skąd pani to ma?  
– Kilka takich plakatów było rozwieszonych na słupach ogłoszeniowych. Wraciałam z wieczornego spaceru i natknęłam się na nie. Musiały być świeżo rozwieszane. Pościągałam je. Można kogoś potępić za

nadużywanie alkoholu, ale nie powinno się tego robić w taki sposób – wyjaśniła Aurelia.

– Mój mąż prawie nie pije... – Matylda wpatrywała się zaskoczona w fotografię Władysława. – Nie widziałam go nigdy pijanego.

– Nigdy nie jesteśmy w stanie do końca poznać mężczyzny, z którym się związałyśmy – westchnęła Aurelia. Nie miała na myśli wójta, tylko Christiana. Pani sołtys jednak nie słuchała, gdyż zajęta była czytaniem tekstu, który znajdował się na plakacie.

*Drodzy mieszkańcy!*

*Pamiętacie ten wierszyk z dzieciństwa?*

*„Na podwórzu jest kałuża,*

*Z tej kałuży się wynurza*

*Hipopotam, powiadacie?*

*To nasz tata po wypłacie”.*

*Rymowanka nie straciła na aktualności. Oto ojciec gminy: wójt Władysław Matuszewski! Człowiek, który zgodnie z wolą narodu ma powierzoną tak odpowiedzialną funkcję. Proszę, jak się zachowuje! Pije i zapewne łajdaczy się. Bo każdy pijak to łajdak! Czy ktoś taki, upojony alkoholem i leżący w kałuży w samym centrum Pobierowa, jest dobrą wizytówką naszej gminy? Sami sobie Państwo na to odpowiedzcie! Do wyborów zostało mało czasu! Zawsze też można je przyspieszyć! Nie pozwólmy, aby naszym społeczeństwem zarządzało takie zero! Gminę musi prowadzić prawdziwy Polak i patriota, a nie moralna zgnilizna!*

*Życzliwy*

Matylda przebiegała wzrokiem po kartce, czytając cały tekst kilka razy. Twarz miała pobladła, ręka zaczęła się trząść.

– To potwarz! – powiedziała. – Kto mógł to zrobić?

– Nie mam pojęcia – odparła Aurelia.

– Dziękuję, że pani mi to pokazała – rzuciła i nie czekając na odpowiedź, ruszyła zgarbiona w stronę domu.

Przypomniała sobie sytuację sprzed kilku dni, gdy Władysław wrócił do domu w ubłoconych spodniach. Tłumaczył, że upadł, gdyż pośliznął się w kałuży, której nie zauważył. Alkoholu jednak od niego nie wyczuła. Narastał w niej strach. Taki sam, jak przed wielu laty, gdy Pio-

truś był jeszcze malutki. Wtedy jeszcze była żoną człowieka, o którym wolałaby już nie pamiętać.

– Tatuś nie jest w formie – odpowiadała synkowi, gdy pytał, dlaczego w niedzielne południe ojciec jeszcze znajduje się w łóżku. – Wczorajem długo pracował, więc teraz musi odespać.

Pięciolatek przyjmował to tłumaczenie. Nie zauważał powyrzucanych do kosza pustych butelek po alkoholu ani ubrudzonych wymiocinami spodni. Im robił się starszy, tym więcej Matylda musiała namęczyć się, aby ukryć przed nim nałóg ojca. Czy teraz czekało ją to samo? Jak mogła nie zauważyć, że Władysław zbyt dużo popija?

W domu pierwsze kroki skierowała do barku. Stała tam whisky – prezent od Piotra na rocznicę ślubu, czerwone wino i likier miętowy. Wszystko w nienaruszonym stanie. Może w garażu są gdzieś schowane butelki? Pierwszy mąż potrafił je kamuflować doskonale. Przypomniała sobie skrytki, w których ze zdumieniem odkrywała opróżnione z alkoholu szkło. Jednak tym razem niczego nie znalazła. Czyli co? Pewnie pije w pracy...

Ta myśl ją poraziła! To jest możliwe. Władysław musi ukrywać butelki u siebie w gabinecie. Nie przejmuje się patentami ani pracownikami urzędu? Boże mój, co ona ma teraz robić?!

\* \* \*

Zoja z trudem otwierała oczy. Miała wrażenie, jakby wcale ich nie zamykała! Poprzedniego wieczoru umęczeni świeżym powietrzem i porządkami wokół domku, poszli wcześniej spać. Dochodziła już dziesiąta, czyli za nimi prawie dwanaście godzin nocnego wypoczynku, a ona była okropnie zmęczona. To chyba tutejsze powietrze tak na mnie wpływa, pomyślała.

Z ledwością zwlekła nogi z łóżka.

– Trochę intensywniejszego ruchu, a czuję się tak połamana, że nie mogę się podnieść – westchnęła. Najchętniej przeleżałaby cały dzień.

Ryszard mruknął coś w odpowiedzi, obracając się na drugi bok.

– Co mówiłeś? – Nie wiedzieć czemu, zirytowało ją to, że odwrócił się do niej plecami. – Burczysz coś pod nosem i chcesz, żebym zrozumiała.

– Prosiłem o kawę – odparł wyraźniej.

– Może sam wstaniesz i zrobisz? – Spojrzała na niego krzywo.

Co mają znaczyć takie rozkazy w niedzielny poranek? Przyzwyczaiała go do dobrego i teraz ma!

Mijało się to mocno z prawdą, jednak złość zaczęła w Zoi coraz bardziej buzować.

– Może jeszcze kawusię przynieść panu do łóżka? – cedziła słowa.

– Bo przecież szanowny pan ma prawo do odpoczynku i służącej!

– Kobieto, o czym ty mówisz? – Ryszardowi zaczął udzielać się nerwowy nastrój. – Widziałem, że wstajesz, więc poprosiłem, żebyś kawę zrobiła. To wszystko. Jeśli nie masz ochoty, to trzeba powiedzieć „nie chce mi się”. Sam wstanę i zrobię!

– Poprosiłeś? Zażądałeś, jak od jakiejś podwładnej! I na co liczysz? Zadzieram kiecę i lecę? Mój drogi, koniec z tym! Pod nos ci wszystko podsuwam, a ty masz czelność żądać jeszcze więcej!

– Zgłupiałaś?! Czego niby od ciebie chcę? Jeśli już ruszyłaś się z łóżka, to wspomniałem o kawie. Zachowujesz się jak histeryczka! Odbiło ci? Może to menopauza... Skoki nastrojów i buzujące hormony.

Na samo wspomnienie klimakterium w Zoję jakby piorun strzelił.

– Typowe dla prostego mężczyzny! Jak nie chce przyznać się do błędu, to zaczyna obrażać!

– Miałaś inteligentnego poetę i też nie wytrzymał z tobą!

– Też? O, proszę, jak miło dowiedzieć się, że kolejny facet wykorzystywał cię do cna i pójdzie w długą! Proszę bardzo, droga wolna!

Nawet nie mogła demonstracyjnie trzasnąć drzwiami, bo w takim małym domku zwyczajnie ich nie było. Trzaskała więc kubkami w mikroskopijnej kuchni. Wstawiła wodę na kawę i zabrała się za gotowanie jajek na twardo. Co tydzień tak zaczynali niedzielę. Tym razem towarzyszyło jej narzekanie na cały męski ród, ze szczególnym uwzględnieniem Ryszarda.

Ten ubierał się w ciszy. Nie powinien nic sobie robić ze słów Zoi. Wiedział, że rzucone były w złości. Nie powinien, a jednak robił. Przykro mu było słuchać niezasłużonych obelg rzucanych pod jego adresem. Nie wiedział, co wywołało taką reakcję ukochanej, ale nigdy jeszcze nie widział jej w furii. Oczy rzucały gromy, a gdyby mogła – ciskałaby rze-



czami!

On też nie wstał w dobrym nastroju. Miał nadzieję, że po wyczerpującym dniu sen nadejdzie szybko. Zamiast tego rzucał się pół nocy na łóżku. Dręczyły go jakieś koszmary, jeden przechodził w drugi. W chwilach gdy się przebudzał, miał wrażenie, że słyszy jakieś kroki i głosy za cienkimi ściankami domku. Kiedy podnosił głowę, aby cokolwiek dostrzec przez okno, na zewnątrz panowała kompletna ciemność. Przez zachmurzone niebo nie przebijała księżycowa poświata.

Przypomniał sobie o tym wszystkim teraz. Zoja burczała nadal, wyszedł więc przed domek. Mgła dopiero opadała, odsłaniając zarysy poszczególnych drzew i niedalekiego lasu. Nad głową słyszał krzyjące ptaki, których jednak nie był w stanie dostrzec. Na pierwszy rzut oka w obejściu wszystko wydawało się w należyтым porządku. Obszedł domek. Nie zauważył jednak żadnych śladów intruza. Musiało mu się w nocy wydawać. To niemożliwe, żeby kogokolwiek słyszał. Chyba ma obsesję. Może oznaki kradzieży jabłek, które odkrył po przyjeździe, także były tylko przywidzeniem?

Ryszard swoje kroki skierował pod jabłonkę. Im bliżej niej był, tym większy niepokój go ogarniał. Wczorajszego popołudnia usypał pod drzewem kopczyk z podgniłych jabłek. Zebrał dwa wiadra, ale nie nadały się do jedzenia. Na kompost były idealne. Obszedł drzewo dookoła. Jeszcze wieczorem były, a dzisiaj nie ma po nich śladu. Co jest, do cholery? Zdenerwowany rozglądał się dokoła.

– Co zrobiłaś z jabłkami? – spytał, wpadając do domku.

– Nic nie robiłam. – Wzruszyła ramionami. – Wczoraj jedno zjadłam. Są naprawdę smaczne. – Złość prawie jej przeszła.

– Mówię o kopczyku, który usypałem!

Kobieta niczego nie rozumiała. Opowiedział zatem o zebranych owocach, nocnych odgłosach i dzisiejszym odkryciu.

– Naprawdę myślisz, że ktoś tutaj chodził? – spytała szeptem, rozglądając się z przestachem, jakby zaraz ktoś miał pojawić się w drzwiach.

– Nie znalazłem żadnych śladów, więc nie mogę niczego stwierdzić na pewno – odparł. – Myślę jednak, że to ten sam szczeniak, co poprzednio. Widać daje radę przejść przez płot.

– Mówiłeś, że te jabłka nadawały się jedynie na kompost – zastanawiała się głośno. – Po co mu w takim razie zgniłe owoce?

– Może na wino? – Ryszard mrugnął okiem.

Spojrzeni na siebie i wybuchli śmiechem. Po chwili kobieta podeszła do ukochanego.

– Przepraszam za mój poranny nastrój. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Źle spałam, męczyły mnie jakieś koszmary...

– Ciebie też? Widać nie sprawdza się powiedzenie, że pierwszej nocy w nowym miejscu śnią się wyłącznie dobre rzeczy.

– Śniła mi się kobieta – opowiadała Zoja. – Ale niczego więcej nie mogę sobie przypomnieć.

– A mnie mężczyzna – odparł Ryszard. – I tylko tyle zapamiętałem.

Usiedli do spóźnionego śniadania całkowicie pogodzeni. Później posprząтали, zabezpieczyli domek, spakowali się i wyruszyli do domu.

– Podjedźmy jeszcze na chwilę do Matyldy – poprosiła Zoja.

Dziesięć minut później byli w Pobierowie. Bez trudu odnaleźli pensjonat sołtyski. Prawie od razu otworzyła im drzwi.

– Wyjeżdżacie już? – spytała zaskoczona.

– Tak. Samochód nie ma jeszcze zimowych opon i Ryszard obawia się prowadzić po zmroku. Droga usłana jest liśćmi, a pod nimi mokro. Wolimy zatem wolniej, ale bezpiecznie wrócić.

– Nawet na herbatę nie zostaniecie?

– Tym razem dziękujemy. Chcieliśmy tylko zostawić klucze, żebyś mogła od czasu do czasu sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku.

– Naturalnie, że będę tam wpadać! Już we wtorek jadę do Gryfic, a to przecież po drodze. – Matylda snuła plany. Po chwili coś jej się przypomniało. – Właśnie, a jak wasza pierwsza noc? – Spojrzała uważnie na stojącą przed nią parę. Wymienili szybkie spojrzenia.

– Tak sobie – odparł Ryszard. – Dręczyły nas jakieś koszmary, więc czujemy się bardziej zmęczeni niż przed zaśnięciem.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Zoja. – Do tego znowu ktoś nocą wałęsał się wokół domu. Wyobraź sobie, że połasił się na zgniłe jabłka, które zostały zebrane pod drzewem z przeznaczeniem na kompost. Dzisiaj nie było

ani jednej sztuki. Ryszard twierdzi, że nocą słyszał jakieś głosy za oknem, ale niczego nie mógł dostrzec. Myślimy, że to jakiś wyrostek z Gostynia. Bo przecież zwierzę by zostawiło ślady, prawda? A te jabłka po prostu zniknęły! Musiał je włożyć do torby i wynieść.

– Podejrzewamy młodzież – odparł Ryszard. – Ktoś zabrał jabłka dokładnie z tego samego miejsca, z którego zniknęły poprzednio. Niby nieznaczna kradzież, ale lepiej dmuchać na zimne. Zagląдай zatem do domku, gdy tylko będziesz w pobliżu. Szkoda, aby jakiś wandal poniszczył nam go lub cokolwiek ukradł. Gdy będzie widać, że ktoś tam regularnie zagląda, może zaprzestanie przychodzenia.

Pożegnali się i odjechali w stronę Szczecina. Zamyślona Matylda powoli weszła do domu.

\* \* \*

Antoni Woźnica był niezadowolony. Właśnie wrócił z Gryfic. Odwiedził dwie redakcje lokalnych gazet i jedną rozgłośnię radiową. Żaden dziennikarz pracujący w tych mediach nie był zainteresowany zdjęciami wójta Matuszewskiego w kałuży.

– To nie jest materiał. – Świeży absolwent dziennikarstwa, jak sugerował jego wygląd, rzucił fotki na stół.

Woźnica miał na końcu języka to, co myśli o redaktorze, któremu wąs dopiero się sypie. Powstrzymał się jednak i zaczął ugodowym tonem.

– Uważam, że społeczeństwo powinno znać prawdę o nałogu wójta – powiedział.

– Patrzę na zdjęcie i widzę jedynie leżącego człowieka.

– Aż prosi się tytuł „Władza upadła”. Z ogromnym wykrzyknikiem oczywiście. – Antoni dał się ponieść fantazji. – Do tego odpowiedni tekst o nadużyciach Matuszewskiego, jego oszustwach i kradzieżach, których dokonywał wspólnie z żoną.

– Zaraz, zaraz. – Młody redaktor przerwał wywód. – Ma pan na to wszystko niezbite dowody? Bo bajek nie będę wstawiał. Zbyt szanowanym pismem jesteśmy.

Woźnica znowu musiał powstrzymać język, aby nie powiedzieć, co myśli o dziesięciu marnych stroniczkach zadrukowanych na możliwie

najgorszym jakościowo papierze. Przełknął ślinę.

– Mógłby się pan wykazać. Warto przeprowadzić dziennikarskie śledztwo. A jako dowód niech posłuży moja osoba. Jestem porządnym obywatelem Pobierowa! Polakiem kochającym ojczyznę! Nie mogę patrzeć, jak wójt gminy nie radzi sobie i nie dopełnia powierzonych mu obowiązków! Codziennie chodzę po mojej miejscowości i widzę, jaką ruiną się staje! Wynotowuję, że tu lampy brakuje, tam kawałek płotu, chodniki dziurawe, brak śmietników – wyliczał.

– Ma pan takie hobby? – zainteresował się dziennikarz. – To byłby dobry materiał.

– Prawda? – Antoni się ucieszył. – Można by do tego dodać jeszcze ten alkoholizm wójta.

– Co pan tak się uparł na Matuszewskiego? Chodzi mi o pana hobby!

– Moje?

– Tak. Możemy napisać artykuł o pana pasji bezinteresownego wyszukiwania usterek. Zaraz zacznę notować. – Chłopak nałożył okulary na nos i sięgnął po klawiaturę. – Pytanie pierwsze: czy na każdy spacer zabiera pan ze sobą kartkę i długopis? Czy może ma pan fotograficzną pamięć? – Spojrzał wyczekująco na Woźnicę, ten jednak zbyt długo powstrzymywał nerwy.

– Co za idiota! – wrzasnął na całe gardło. – Jakie miasto, taki dziennikarz! Hobby będzie opisywał! Jakie hobby zresztą? To moralny obowiązek każdego obywatela, aby rozliczać władzę z tego, czego nie robi! Ale tu, jak widzę, są sami stronnicy tych złodziei i nieudaczników! Hołota wszędzie się panoszy! Kretynem jesteś, a nie dziennikarzem! Ta gazeta na pewno jest finansowana z kieszeni wójta, byle tylko o nim dobrze pisać! A to łotr, złodziej i sprzedawczyk! I... I...

– I Żyd na pewno – dodał redaktor.

– Z ust mi to wyjąłeś! Żyd jak malowany. Po nosie można rozpoznać! A każdy Żyd patrzy, jak społeczeństwo ograbić! Idę stąd! Moja noga nigdy więcej tu nie postanie, choćbyście mnie błagali!

Dziennikarz obserwował wychodzącego petenta.

Już po minucie wzburzony Antoni kroczył chodnikiem, roztrącając idących ludzi. Wyglądał, jakby delectował się swoim zachowaniem i za-

interesowaniem, jakie wzbudzał.

Redaktor natomiast uśmiechnął się pod nosem. Mógł wreszcie wyłączyć dyktafon, który niepostrzeżenie uruchamiał podczas każdej wizyty w redakcji. Nigdy nie wiadomo, jakie ciekawostki przyniesie ze sobą gość.

Gniew Woźnicy przybierał na sile wraz z kolejnymi odwiedzanymi miejscami. W drugiej gazecie także nic nie działo. Nawet nie został wpuszczony do gabinetu naczelnego! W rozgłośni radiowej nikt na zdjęcia nie chciał spojrzeć. Wrócił zatem do Pobierowa.

Każdy przejechany kilometr zamiast go wyciszać, potęgował gniew. Gdy przekroczył granice Pobierowa, aż spuchł ze złości. Co za kretyn pościągał rozklejone przez niego plakaty? Jakim prawem? Umieścił je na czterech słupach w samym centrum kurortu. Przecież pijany wójt powinien być tematem numer jeden wśród mieszkańców zbierających się na pogawędkę przy skwerku. A tu lipa!

Trzasnął drzwiami wejściowymi i rzucił aktówkę na skórzany fotel w salonie.

– Miauuu! – Z mebla zerwała się Melania wystraszona nagłą pobudką. Kompletnie zapomniał, że uwielbiała spać w jego fotelu. Właściwie już nie jego...

– Coś jej zrobił? – Z kuchni wyłoniła się Barbara, złowrogo marszcząc brwi.

Nawet nie spojrzała na męża, choć miał nadzieję, że jak przed laty podejdzie i obdaruje go całusem. Ona jednak od razu podbiegła do kotki liżącej przyciśniętą tęczką łapkę. Głaskała zwierzę i przemawiała łagodnie, niemal jak do dziecka.

– Co ci zrobił ten wandal? Niedobry pan, niedobry! Brutal, który nie widzi małej koteczki.

Woźnica łypnął okiem na Melanię. Patrzyła na niego wrogo i wyjątkowo bystro, aż się wzdrygnął. Odnosił wrażenie, że przewierca go wzrokiem. Odwrócił się i wszedł do kuchni. Pachniało z niej wspaniale! Co z tego, skoro jedzenie było przygotowywane dla tego małego potwora?

Antoni zerknął do pokoju. Żona nadal była zajęta czułym przemawianiem do koteczki. Zapewne potrwa to jeszcze trochę. Po cichu wycią-

gnął talerzyk z szafki, delikatnie podniósł pokrywkę z garnka i chochłą nałożył sobie porcję mięsnego sosu. Zawiesistego, takiego jak kiedyś. Nawet jeżeli Barbara przygotowała jedzenie z myślą o Melanii, to jemu też się coś należy. Pachnie tak wybornie, że musi się poczęstować.

Po chwili miał ochotę na jeszcze jedną porcję, ale usłyszał kroki żony i szybko włożył pusty talerzyk do zlewu.

– Co tu robisz? – Barbara spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nic, stoję sobie – odparł, szybko ocierając usta z resztek aromatycznego sosu.

– To wyjdź, bo muszę nakarmić Melanię. Od wczoraj ma rewolucje żołądkowe, moja biedna mała istotka. Jak będziesz tu stał, to nie tknie gulaszu! Patrzysz na nią zawsze takim wzrokiem, jakbyś chciał biedną udusić! Dzisiaj wyjątkowo musi skupić się na potrawie. Dodałam tam środek na odrobaczenie, bo nie znam przyczyny dolegliwości. Wsy-pałam też odrobinę środka przeczyszczającego.

Woźnica nie mógł tego słuchać. Czuł, że skonsumowane przed chwilą jedzenie wraca do góry. Ledwie dobiegł do łazienki, aby po chwili zwymiotować kocie przysmaki. Środek na odrobaczenie? Nawet jeśli nie było to szkodliwe dla człowieka, brzmiało ohydnie! Co to za pomysły, aby wspaniały sos psuć jakimś lekarstwem dla kota!

To wtedy poraziła go pewna myśl. Nie może być tak, że on walczy o normalność, a w jego domu panuje jakiś chory układ władzy i hierarchii! Kto to widział, aby kot był traktowany lepiej niż głowa rodziny? Owszem, sam zaproponował kupno Melanii, ale nie sądził, że zwierzę stanie się dla Barbary zamiennikiem męża i syna. Natychmiast trzeba skierować wszystko na odpowiednie tory. Rodzina musi wrócić do normalności. Jak może być wiarygodny jako przyszły wójt, gdy żona, zamiast spać z nim w łóżku, nocę spędza obok zwierzęcego monstrum?

Wyjście z tej sytuacji było tylko jedno. Należy pozbyć się tego cholernego kota!

\* \* \*

– Jak ci minął dzień? – Michał dopiero wszedł do domu.

Kilka ostatnich godzin spędził w trasie. Wraz z proboszczem odwiedzali noclegownie w promieniu stu kilometrów, dowożąc do nich ze-

brane od ludzi koce i zmiany pościeli. Wrócił zmęczony, ale z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Marzył o gorącym prysznicu i przytuleniu się do Aldony.

– Byłam w szkole rodzenia – odparła. – A potem chodziłam po galerii.

– Nie zmęczyłaś się zbytnio?

– Nie, kochanie.

Dzisiaj była wyjątkowo wypoczęta. Nie przyznała się Michałowi, że spała prawie do dziesiątej. Zażyte poprzedniego wieczoru lekarstwo zdało egzamin. Zasnęła jak kamień i nie miała kompletnie żadnych snów. Wstała rześka jak skowronek, z siłami do przeżycia kolejnego dnia. Przespana noc, bez koszmarów, potrafi zdziałać cuda! Dzisiaj także weźmie pastylkę. Nie chce ryzykować kolejnej złej mary.

– Rozmyślałaś nad moją propozycją? – Głos Michała wyrwał ją z zadumy.

– Masz na myśli ślub? Tak, zastanawiałam się. Chciałeś go wziąć jak najszybciej, jeszcze zanim dziecko przyjdzie na świat. Ja jednak jestem innego zdania... Nie chcę tak na łapu-capu, tylko dlatego, że dziecko jest w drodze. Chcę, żebyśmy naprawdę cieszyli się tym dniem i wspominali go do końca życia.

– Więc jeszcze nie w tym roku?

– Nie. Chcę wyprawić prawdziwą uroczystość, z białą suknią i gośćmi. Nasza córeczka będzie miała na sobie taką samą kreację, jak ja, tylko w wersji mini. Warto, aby wszystko odbyło się latem, bo wtedy jest najpiękniej.

– Może masz rację... – Michał ziewnął potężnie i przeciągnął się.  
– Uciekam do łazienki i zaraz idę do łóżka.

– Jutro też tak długo cię nie będzie?

– Tak, kochanie. Nic na to nie poradzę. Wiesz, że trzeba pomóc tym ludziom.

Wiedziała. Taka już była natura ukochanego, którą w pełni akceptowała. Pokochała go za dobre serce i chęć niesienia pomocy innym. Owszem, było to kosztem ich wspólnego czasu, jednak mają przed sobą całe życie! Zresztą na pewno, gdy na świecie pojawi się ich dziecko, Michał w całości poświęci się odpowiedzialnej roli ojca.

Zamyśliła się nad przewrotnością losu. Całe życie? Jeszcze dwa lata temu rozmyślałaby o nim, dzieląc je na okresy od jednego badania onkologicznego do kolejnego. Żyła w rytmie wyznaczonym lekami i terminami wizyt. Truchlała, przekraczając próg jakiegokolwiek gabinetu. Miała wrażenie, że za drzwiami znajduje się strażnik, który tym razem określi ramy jej żywota. Kilkakrotnie była bardzo blisko... A potem zjawił się w jej życiu Michał. Niespodziewanie, kiedy już straciła nadzieję. Pojawił się i został. Tak zwyczajnie. Tak samo pokieraszowany przez los, jak ona.

Pamięta, jak przedstawiła go mamie. Rodzicielka nie była zachwycona wyborem córki.

– To były kryminalista, kochanie. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. – Usłyszała.

Była pewna uczucia. Zarówno swojego, jak i Michała. Dla niej był aniołem, który swoją wiarą sprawił, że choroba się cofnęła. Do tej pory ciężko było w to uwierzyć. Gdyby nie kontrolne badania, wykonywane co kilka miesięcy, nadal wątpiłaby w wyleczenie.

Podeszła do szafki i wyciągnęła listek z tabletkami ukryty w pudełku po kremie. Wycisnęła jedną i popiła wodą. Teraz może iść spać.

\* \* \*

Oksana zagłębiła się w toń pełną piany. Uwielbiała, gdy woda w wannie obmywała każdą część jej ciała. Przez ostatnie dni tęskniła za kąpielą. W wynajmowanym mieszkanku, dzielonym z czterema innymi Ukrainkami, jak na złość co chwilę coś się psuło. Tym razem był to kurek w baterii nad łazienkową wanną. Nie dość, że potrzebne im było miejsce do mycia się, to jeszcze wannę wykorzystywały jako pralkę, robiąc w niej codzienną przepierkę bielizny.

Miała ogromne szczęście, że poznała Christiana. Takiego mężczyzny ze świecą szukać! Wyjątkowy, jak na Niemca. Gdy znalazła ogłoszenie, że potrzebna jest osoba do prowadzenia domu i gotowania, miała pewne wątpliwości. Tyle razy w ostatnim czasie zmieniała zajęcie, bo pracodawcy oczekiwali czegoś więcej od ślicznej Ukrainki niż tylko tego, co było w umowie, że miała już dosyć kolejnych prób. Oksana miała swoją godność. Miała też swojego Denisa w rodzinnym kraju, do



którego tęskniła ostatnio coraz bardziej.

Jeszcze kilka miesięcy temu Berlin jawił się jako wspaniałe miasto, otwarte na świat, pełne ciekawych i niezwykłych ludzi, w którym chciałyby żyć. Szybko jednak to przekonanie ustępowało tęsknocie za słowiańskim rytmem, nastawieniem na rodzinę i związek z jednym partnerem przez całe życie. Tutaj zewsząd zalewała ją swoboda kulturowa i cielesna. Do tej pory nie miała pracodawcy, od którego nie otrzymałaby niemoralnej propozycji. Jednak od miesiąca pracowała dla Christiana i stwierdziła, że musi zmienić zdanie o Niemcach. Nie wszyscy od razu pchają się z łapami. Ten był zupełnie inny! Zanim wyszedł do pracy, zostawiał jej kartkę z informacją, co ma wykonać tego dnia. Nie interesowało go, czy poświęci na wszystko trzy czy sześć godzin. Płacił dobrze, pełną tygodniówkę, i jeszcze nigdy się nie skarżył. Pracował długo. Wychodził z domu, zanim ona się pojawiała, a wracał, gdy już jej nie było. Zauważał dodatkowe rzeczy, które wykonała i dorzucał premię.

Na dzisiaj miała zapisane odkurzenie, mycie podłóg, zmianę pościeli, pranie i zrobienie gulaszu. Zapowiadał się miły dzień, bo prace domowe nie nastroczały jej większych trudności. Gdy pomyślała, że na wszystko poświęci zaledwie dwie godziny, w głowie powstała pewna myśl. Nie kąpała się już tyle czasu, sterta bielizny także czekała na przepierkę. Co się stanie, jeśli szybko się wykąpie, a potem skoczy do mieszkania i przyniesie tych parę sztuk? Wrzuciłaby je do pralki razem z rzeczami Christiana. To lekkie ubrania, więc szybko wyschną.

Na szczęście mieszkała niedaleko. Gdy wynajmuje się kwatere w kilka osób, można sobie pozwolić nawet na luksus zamieszkania w centrum. Czynnosc jest rozłożony na kilka osób i koszt wynajęcia wychodzi niewiele większy, niż gdyby zamieszkała na obrzeżu i wszędzie miała daleko. Mieszkała jedną przecznicę od obecnego pracodawcy.

Kwadrans później wróciła do jego mieszkania z torbą wypełnioną ciuchami. Głównie majteczkami, staniczkami i rajstopami. Pozbierała rzeczy przyjaciółek, z którymi mieszkała. Na pewno będą jej wdzięczne za tę przysługę.

Oksana nastawiła pranie i zajęła się odkurzeniem. Potem przetała podłogi, miotełką do kurzu przejechała po meblach i zmieniła pościel. Gdy pralka zameldowała koniec pracy, rozwiesiła wszystko na suszar-

kach. Obie były pełne prania. Na jednej wisiały rzeczy Christiana, na drugiej porozwieszane były fikuśne majteczki i inne części garderoby, które normalnie są ukryte pod ubraniem.

– Jeszcze tylko gulasz zrobię – powiedziała na głos, zaglądając do lodówki.

Szkoda, że dopiero teraz tam zajrzała! Półki i szuflady świeciły pustkami! Gdyby wcześniej skontrolowała lodówkę, mogłaby zrobić zakupy, gdy wracała od siebie z reklamówką rzeczy do prania. Teraz czeka ją kolejna wyprawa. Westchnęła, wzięła wiklinowy koszyk stojący pod kuchennym stołem i wyszła.

Godzinę później wracała umęczona do domu Christiana. Tuż przed drzwiami mieszkania poczuła delikatny zapach gustownych kobiecych perfum. Przez głowę jej przeszło, że to pewnie sąsiadka pracodawcy przed chwilą opuściła swój apartament. Żwawo przekręciła klucz w drzwiach. Dziwne, pomyślała. Dałaby sobie głowę uciąć, że wychodząc, zamykała dwa razy. Chyba będzie musiała napić się kawy. Jest dzisiaj dziwnie rozkojarzona.

– O, drzwi na balkon również nie zamknęłam! Jak mogłam o nich zapomnieć?! – wyraziła zdziwienie. Była przekonana, że Christian byłby niezadowolony, gdyby zauważył, że lekceważy jego zalecenia. Koniecznie musi wypić mocną kawę, pomyślała.

Godzinę później z kuchni dobiegał przyjemny zapach duszonego mięsa, a Oksana kończyła doprawiać surówkę. Wyłączyła gaz. Wzięła reklamówkę i pozbierała do niej suche rzeczy. Bielizna schnie błyskawicznie. Delektowała się zapachem proszku do prania! Dziewczyny będą jej wdzięczne.

Po chwili uśmiechnięta opuszczała apartament pracodawcy.

\* \* \*

Matylda wytarła ręce w fartuch i podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Czy rozmawiam z sołtys Pobierowa, panią Matyldą? – Usłyszała piszczący głos. Przed oczami stanęła jej nielubiana w dzieciństwie matematyczka. Stara panna, z brzydkimi okularami na nosie i z włosami wiecznie związanymi w niemodny kok, nienawidząca mężczyzn

i uczniów.

– Tak, to ja. Słucham – powtórzyła.

– Nazywam się Arleta Ozór i reprezentuję środowisko szczecińskich feministek. Zapewne pani o nas słyszała. Nasza organizacja nazywa się Gracje Pomorza. – Gdy wybrzmiało ostatnie słowo, rozmówczyni zawiesiła głos, by Matylda miała czas na żywą aprobatę i zapewnienia, że niejednokrotnie słyszała o grupie. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– Gracje Pomorza to stowarzyszenie mogące się poszczycić początkami w latach dziewięćdziesiątych. Jesteśmy feministkami tak zwanej siódmej fali – kontynuowała niezrażona Arleta Ozór. – Naszym zadaniem jest przekonanie kobiet mieszkających na wsiach, że mają takie same prawa, jak mężczyźni. Kobiety muszą się ich domagać! Nie może być tak, że... – Tu popłynęła opowieść o pokornych kobietach zgadzających się na seks lub pracowniczy wyzysk, o mężach wymagających od żon posłuszeństwa i całkowitej uległości, a wreszcie o wyzwolonych dziewczynach, które nie mogą przeprowadzić aborcji. – Cały czas jesteśmy do czegoś zmuszane – perorowała kobieta po drugiej stronie słuchawki. – Należy uświadomić Polkom, że mogą żyć tak, jak chcą, a nie jak mają wpojone przez zahukane matki i despotycznych ojców!

Matylda miała mętlik w głowie, bo Arleta Ozór wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego i do słuchaczki docierało zaledwie dziesięć procent wszystkiego, co mówiła. Na pewno zapamiętała słowa aborcja, samcza chuć i pracownicza prostytutka.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – wtrąciła, gdy rozmówczyni nabierała tchu.

– Chcemy, aby pani wynajęła nam na tydzień pokoje w swoim pensjonacie i pomogła zorganizować kilka prelekcji dla wiejskich kobiet. Mamy na to fundusze z Unii Europejskiej, więc pozostaje nam tylko działać. Macie jakąś świetlicę w Pobierowie?

– Mamy.

– Więc nie widzę problemu – podsumowała Arleta Ozór, nie czekając na decyzję Matyldy, czy jest zainteresowana takimi spotkaniami.

– Przyjedziemy pod koniec tego tygodnia. Zrobimy pierwsze organizacyjne spotkanie i wtedy porozdzielamy tematy na poszczególne terminy.

Potwierdziła adres i się rozłączyła.

Matylda przez chwilę trwała w bezruchu. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zgadzając się na wszystko. Miało przyjechać kilka pań z feministycznego ruchu. Nie powinny być kłopotliwe. Przygotuje dla nich dwa pokoje, bo tak uzgodniły. Natomiast co do pomocy przy spotkaniach... Z tym też raczej nie powinno być problemu. Po sezonie letnim ludzie chętnie przychodzą na wszystko, co jest organizowane w ich wiejskiej świetlicy.

Matylda zanotowała parę usłyszanych przed chwilą terminów i zamknęła kalendarz. Zbliżała się czternasta. Władysław będzie dziś dłużej w urzędzie. Mają sesję, która na pewno potrwa do wieczora. Dzisiejsza będzie dotyczyła rozwiązywania problemów alkoholowych w gminie.

Westchnęła na samo wspomnienie tego określenia. „Problemy alkoholowe” od kilku dni spędzały jej sen z powiek. Mimowolnie wahała oddech męża, gdy ten wracał z pracy. Każdy miętowy cukierek, którym raczył się, automatycznie brała za chęć zatarcia procentowego zapachu. I choć nie wyczuwała kompletnie nic, wystarczyło spojrzenie na ukryty wśród dokumentów kompromitujący plakat, aby podjęła kolejną próbę sprawdzenia Władysława.

W tym momencie wpadła jej do głowy pewna myśl. Rosła intensywnie, aż nie pozostało Matyldzie nic innego, jak działanie. Założyła kurtkę i buty, wzięła kluczyki od samochodu i kwadrans później była w urzędzie.

– Dzień dobry, pani Matyldo! – Sekretarka jej męża, Milena Turowska, automatycznie wyprostowała się przy swoim biurku. – Wójta nie ma. Jest na sesji.

– Tak, wiem – odparła sołtyska. – Mogę skorzystać z gabinetu Władysława?

– Skorzystać? – Dziewczyna spytała zaskoczona.

– Tak. Wie pani, u nas w domu szwankuje internet, a ja muszę niezwłocznie wysłać maila. W urzędzie działa bezproblemowo, prawda? Szczególnie odkąd macie to nowe łącze.

– Teraz jest naprawdę szybki – przyznała sekretarka.

– Wzięłam swój laptop. Gdyby pani podała mi hasło dostępu, to usiadłabym w gabinecie Władysława i w ciągu dwudziestu minut miałabym to za sobą.

– Ależ naturalnie! – Oczy Mileny Turowskiej wreszcie wyrażały zrozumienie. Żonie wójta nie można przecież odmówić wejścia do gabinetu męża!

Chwilę później Matylda rozsiadała się wygodnie w mężowskim fotelu, a usłużna pracownica zamykała drzwi, aby nikt nie naruszył spokoju gościa. Gdy tylko zniknęła za drzwiami, podejrzliwa żona zanurkowała pod biurko. Otwierała szufladę za szufladą, poszukując najmniejszej choćby buteleczki. Bezskutecznie.

– Coś się stało? – Dobiegł ją niespodziewany głos od drzwi.

Stała w nich Milena Turowska, z niepokojem przyglądająca się Matyldzie podnoszącej się z kolan.

– Nie, wszystko w porządku. Długopis mi upadł – skłamała, nie patrząc młodej kobiecie w oczy.

– Chciałam tylko zapytać, czy czegoś pani nie potrzeba. Może kawę zrobię? – spytała niepewnie, ale wójtowa machnęła ręką, udając, że skupia się na niezwykle ważnym mailu.

Drzwi ponownie się zamknęły. Matylda odczekała chwilę, a potem na palcach zbliżyła się do szaf stojących pod ścianą. Cichutko otwierała drzwiczki. Wszędzie były równiutko poustawiane i starannie oznaczone segregatory z dokumentami. Wsunęła rękę pomiędzy nie. Ledwo zmieściły się tam palce, a co dopiero butelka z alkoholem! Usłyszała otwierane drzwi i błyskawicznie zatrzęsnęła szafkę.

– Auć! – wrzasnęła, boleśnie przytrząskując opuszek palca.

– Pani Matyldo, wszystko w porządku? – Milena Turowska wyglądała na nieco zirytowaną. – Przed chwilą pytałam, czy czegoś pani nie potrzebuje.

– Długopis się wypisał, więc poszukiwałam innego. – Kłamstwa przychodziły jej z wyjątkową lekkością. – Nie chciałam pani angażować do tak błahego problemu. Wydawało mi się, że Władysław trzyma materiały piśmiennicze w tej szafce. Chyba kiedyś przy mnie wyciągał z niej jakiś ołówek.

– To niemożliwe – uśmiechnęła się sekretarka. – Artykuły biurowe są wyłącznie u mnie. Zaraz pani przyniosę długopis. I proszę się nie krępować, jeśli czegoś pani potrzebuje. Od tego jestem, aby pomagać!

Matylda w odpowiedzi pokiwała tylko głową, po raz kolejny nie

mając odwagi spojrzeć kobiecie w oczy.

Po chwili drzwi zamknęły się ponownie. Zostały jeszcze szafki pod oknem. Trzy. Niewielkie. Sołtyska otworzyła jedną cichutko. Jakies papiery i nic poza nimi. W drugiej to samo. Natomiast gdy otworzyła kolejną...

– O, Matko Boska! – wyrwało się jej.

W szafce bowiem stał cały arsenał. Były koniaki, dobre wódki i wina. Matylda błyskawicznie wszystko zamknęła i usiadła w fotelu. Chwilę później ponownie weszła Milena.

– Przyniosłam pani wodę – powiedziała, stawiając na biurku szklankę.

Sołtyska opróżniła ją jednym haustem.

– Dziękuję – powiedziała cicho, zamykając laptop.

– Skończyła pani pracę?

– Tak, wszystko zrobiłam. Dziękuję.

– Poczekaj pani na męża? Uprzedzam, że sesja może jeszcze długo potrwać. Zawsze tak się dzieje, gdy poruszane są istotne problemy.

Na przykład alkoholowe, Matylda dodała w myślach. Głośno zaś powiedziała:

– Nie będę czekać. Pojadę do domu. Mam tylko małą prośbę...

– Tak?

– Proszę nie mówić mężowi, że byłam. Dobrze?

Spojrzała na Milenę takim wzrokiem, że tamtej nie wypadało nic innego, jak zapewnić gościa, że nie szepnie ani słówka.

– Naturalnie, jak pani sobie życzy.

Matylda pomyślała, że tak oddanej i lojalnej pracownicy ze świecą szukać. Pożegnała się i ruszyła do domu z głową zaprzątniętą niewesołymi myślami. Autor zdjęcia i plakatu miał rację. Jej mąż popija. W dodatku doskonale ukrywa swój nałóg. Jeżeli udało mu się nawet ją nabrać, to problem jest znacznie poważniejszy, niż przypuszczała.

\* \* \*

– Coś ty nagle nabrał ochoty na spacer? – Barbara spojrzała podejrzliwie na męża.

– Duszno mi w domu. Na świeże powietrze chcę pójść. – Antoni

dla lepszego efektu odpiął górny guzik koszuli, aby zademonstrować, że nagle brak mu tlenu.

– A po co ci Melania? – Żona świdrowała go wzrokiem.

– Sama mówiłaś, że potrzebuje wyjść od czasu do czasu, a ty boisz się z nią po zmierzchu łązić. Gadać to ty potrafisz, a gdy proponuję, że pójdę, kręcisz nosem!

– Nie kręcę, tylko zaskoczona jestem. – Ton głosu Barbary złagodniał trochę. – Nigdy nie chciałeś jej nawet na kolana wziąć.

– Ludzie się zmieniają – odparł Antoni.

Żona miała ochotę podpytać, co spowodowało nagłą zmianę Woźnicy, ale się powstrzymała.

– Weź smycz, żeby ci nie uciekła – rzekła i podała mężowi skórzany pasek. – Nie schodź z nią na plażę! Pospaceruj najlepiej dookoła domu, maksymalnie przez kwadrans. Jest wietrznie. Może kubraczek jej założę?

Mąż miał na końcu języka, co myśli o ubieraniu kotów w ubranka, ale się powstrzymał. Zrobi wszystko, byle Barbara puściła go na ten spacer z Melanią.

Pięć minut później opuszczał dom przy wtórze zaleceń żony. Troszczyła się o to zwierzę jak o małe dziecko. Najwyższy czas skończyć z tą farsą, postanowił.

Od razu skierował się w najciemniejszy zakątek Pobierowa. Tam, gdzie lamp już nie ma. Pisał z tego powodu do wójta i kilku innych urzędników, które uznał za stosowne powiadomić. W tym momencie cieszył się, że nic w tej sprawie nie zostało zrobione. Podobno miała tam być budowana droga i dopiero potem powstałoby oświetlenie, ale Woźnica nie wierzył w nic, co wyszło z ust Matuszewskiego.

Dobrze, że wziął ze sobą latarkę, którą mógł oświetlać drogę. Dwa razy przypadkowo przejechał snopem światła po towarzyszącym mu kocie. Melania patrzyła wzrokiem, jakby wiedziała, w jakim celu i dokąd idzie. Jej spojrzenie nie było miłe. Antoni odniósł nawet wrażenie, że widzi w nim ostrzegawcze błyski. Wzdrygnął się jednak i szedł dalej.

Melania rzadko wychodziła na spacer, więc nie mogła znać okolicy. To ułatwiało sprawę. Kierował się w stronę opustoszałych koszar. Tam znajdowały się schrony bez okien, które doskonale nadawały się do

zamknięcia zwierzęcia. Pamiętał, jak oglądał te budynki za dnia. Wtedy nie robiły straszego wrażenia. Bałby się jednak pozostać tam nocą. Wystarczy nieopatrznie postawiona noga, aby wpaść do szybu i nigdy więcej się nie wydostać.

Antoni stawiał kroki ostrożnie. Podszedł do pierwszego schronu i podniósł klapę. Melania odruchowo cofnęła się i miauknęła ostrzegawczo.

– Nie podoba ci się nowy domek? – spytał szyderczo. – Szybko się przyzwyczaisz.

Otworzył klapę na oścież, aby przypadkiem nie zamknęła się sama. Smycz chwycił teraz także drugą ręką, próbując rozerwać w połowie.

– Musimy twojej pani powiedzieć, że okropnie się szarpałaś i uciekłaś – tłumaczył przerażonemu zwierzęciu.

Kotka jakby zrozumiała, co chce jej zgotować. Zaczęła głośniejsz miauczeć i wyrywać się, aby w końcu mocno podrapać Antoniego.

– Auć! – Przez środek palca biegła zakrwawiona linia. – Ty paskudny kocie!

Smycz wreszcie puściła i Woźnica wrzucił Melanię do schronu. Spadła na cztery łapy. Rozległo się głośne miauknięcie. Poświecił latarką.

– Takiego monstrum nawet diabli nie chcą wziąć – mruknął.

Już miał zamykać schron, gdy nagle w krzakach obok coś zaszeleściło. Obejrzał się wystraszony. Hałas przybierał na sile, a przerażony mężczyzna próbował dociec, co to takiego może być. Gdy usłyszał kwiczenie i pochrząkiwanie, wszystko stało się jasne.

– Dziki! – wrzasnął na całe gardło.

Rzeczywiście, po chwili z krzaków wyskoczyło stado pędzących zwierząt. Biegły prosto na Antoniego. Ten nie namyślał się długo. Wskoczył do schronu, zamykając za sobą właz. Melania miauczała jak zwariowana. Latarka przestała działać, bo spadła na ziemię i rozbiło się szkło. A Woźnica zastanawiał się, jak to jest dokończyć żywota w schronie, w którym nikt go nie znajdzie.

\* \* \*

– Amelka śpi. – Dorota przytuliła się do męża i znacząco pogładzi-



ła jego tors. Piotr jednak nawet nie podniósł wzroku znad gazety. Zjechała ręką niżej, dając do zrozumienia, na co nabrała ochoty.

– Kochanie, przeszkadzasz mi – powiedział, ściągając z siebie jej dłoń. – Dopiero zacząłem czytać ten artykuł.

Podniosła głowę z wyrazem świętego oburzenia.

– Nasze dziecko wreszcie zasnęło, a ty gazetą się zajmujesz zamiast mną?

– Patrzyłem w nasz kalendarz – zaczął. – Masz dni płodne. Powinniśmy powstrzymać się do piątku.

– Czy płodne, czy nie... zawsze się powstrzymujemy!

– Wiesz, co mam na myśli...

– Tak! Nie chcesz drugiego dziecka, choć kiedyś marzyliśmy o dużej rodzinie – przypomniała Dorota.

– To nie tak... Wiesz, że boję się o ciebie. Nie chcę, żebyś ponownie przechodziła przez to samo. – Piotr wtulił twarz we włosy żony.

– Pamiętam, jak wtedy cierpiałaś – powiedział łagodnie.

– A ja już nie – odparła.

– Poza tym kilka tygodni po porodzie wystąpił ten krwotok – tłumaczył dalej. – Wiesz, że masz genetyczną chorobę krwi i kolejnego porodu możesz po prostu nie przeżyć.

– To najbardziej pesymistyczna wersja. – Machnęła ręką.

– Ale realna. Myśląc o drugim dziecku, nie możemy nie brać pod uwagę twojego zdrowia, które jest równie istotne. Nie daj Boże, aby Amelka została bez matki, a ja bez żony! – Pocałował Dorotę.

– Czy to znaczy, że już nigdy nie będziemy się kochać?

– Będziemy, ale z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności – odparł, wstając. Podeszedł do szuflady i coś z niej wyciągnął. – To co, bananowe dzisiaj?

– Wiesz, że nie lubię... – Zanim skończyła zdanie, przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował.

Kilka minut później kompletnie zapomniała, że nie lubi owocowych prezerwatyw.

Zasnęła praktycznie od razu, a Piotr jeszcze długo rozmyślał. Cieszył się, że mają Amelkę. Chciałby mieć drugie dziecko, ale nie wyobrażał sobie kolejnego horroru związanego z porodem i położeniem żony. By-

łaby to ciąża podwyższonego ryzyka. Powinni cieszyć się tym, co mają i nie oczekiwać niczego więcej.

Usłyszał Amelkę popłakującą przez sen. Delikatnie wyciągnął ramię spod głowy żony i poszedł do dziecięcego pokoju. Córeczka zasnęła na nowo. Widać śniło się jej coś przykrego. Nawet takie małe dzieci mają już sny. Może wspominała dzisiejszy spacer po parku i pieska, który szczekał na jej widok trochę zbyt głośno?

Piotr popatrzył z rozrzewnieniem na kosmyk włosów opadający na czoło małej. Odgarnął go delikatnie. Wyczuła dotyk, bo uśmiechnęła się przez sen. Ten widok dodatkowo go rozczulił. Tak szybko rośnie! Jeszcze chwila, a będzie prowadził ją do przedszkola, a potem do szkoły. Aż nadejdzie czas, gdy przyprowadzi do domu narzeczonego, a tatuś stanie się zbędny.

Odegnął myśli o innych mężczyznach w życiu Amelki. Sio! Na razie on jest najważniejszy! Ona zaś jest najważniejsza dla niego!

\* \* \*

Zmęczona Aurelia weszła do apartamentu. Taka podróż to już wyzwanie ponad jej siły. W dodatku późną jesienią, gdy zmrok zapada wcześnie, a pogoda nie sprzyja dłuższej jeździe. Sama nie wiedziała, co ją podkusiło, żeby wrócić do domu. Pewnie ton głosu Christiana... Brzmiał tak, jakby za nią tęsknił! Zadzwoił w błażej sprawie, pytając o jakieś rozliczenia potrzebne dla księgowej. Wiedziała, że to tylko pretekst, bo wszystko znajdowało się w segregatorach poustawianych w biurze.

– Co słychać? – zapytał później.

Odparła, że wszystko w porządku.

– Kiedy masz zamiar wrócić?

Powiedziała, że jeszcze nie wie.

– Smutno tu bez ciebie – dodał na zakończenie i rozłączył się.

Wzięła to za objaw tęsknoty za nią. Christian nigdy nie był wylewny, emocjonalny również nie. To taki typowy chłodny Niemiec. Dlatego przez kilka lat związku nauczyła się zauważać uczucie niewypowiedziane wprost, a przemyczone między zdaniem. Jeszcze tego samego wieczora podjęła decyzję, że następnego dnia rano wyjedzie do Berlina. Miała

zamiar najpierw wpaść do mieszkania, aby zostawić bagaż, a następnie podjechać do firmy, by zobaczyć się z mężem.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby w domu nie podeszła do okna. Na tarasie stały suszarki z rozwieszonym praniem. Poza rzeczami Christiana było tam pełno fikuśnej damskiej bielizny! Mąż nieźle zabawia się podczas jej nieobecności! Nawet dba o higienę... kochanek! Ze wstrętem odnotowała, że musiały być co najmniej trzy! Majtki były w różnych rozmiarach, od wążiutkich po ikselkę! Z obrzydzeniem opuszczała mieszkanie. Nie ma jej w Berlinie zaledwie kilka tygodni, a on już znalazł pocieszycielki! Jeśli tak, to nic tu po niej!

Rozżalona i zapłakana wsiadła do samochodu. Nie wie, jak wyjechała z zakorkowanego miasta. Potem kilkakrotnie stawała na autostradzie, aby otrzeć łzy. Bezskutecznie, bo ciągle napływały do oczu. Droga do Pobierowa zamiast zwyczajowych trzech godzin, tym razem trwała prawie dwa razy dłużej.

Więc tak wygląda koniec jej małżeństwa. Nigdy by się nie spodziewała, że Christian ją zdradzi. To, co dzisiaj widziała, było ewidentnym dowodem.

Otwierała drzwi do apartamentu, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Mąż! Od razu odrzuciła połączenie. Po chwili całkowicie wyłączyła komórkę. Była tak zmęczona podróżą i tym, co zastała w Berlinie, że padła w ubraniu na łóżko. Ostatkiem świadomości zarejestrowała przejeżdżające przez Pobierowo wozy straży pożarnej i zasnęła jak kamień.

\* \* \*

– Byłam pewna, że mam wykorzystany cały urlop – mówiła Zoja. Sprzątała po kolacji. Ryszard także wrócił późno. Dzisiaj zajmował się Antosiem. Ogromnie tęsknił za tym smykiem.

– Ile dni ci zostało? – spytał.

– Szefowa mówiła, że osiem. Poprosiła, aby wziąć je od razu. Mam przekazać jej decyzję jutro. Chyba odmówię. Wolałabym trzymać to wolne na Boże Narodzenie, choć będzie problem.

– Dlaczego?

– Ula chciała na Święta wyjechać do syna, do Irlandii. Prosiła mnie

od dawna, abym na grudzień niczego nie planowała.

Ryszard zastanawiał się chwilę.

– Właściwie dobrze byłoby, gdybyś teraz wzięła wolne – stwierdził po chwili. – Moglibyśmy pojechać na kilka dni do Gostynia. Meteorology zapowiadają naprawdę piękne najbliższe dwa tygodnie. Takie spóźnione babie lato. Chodzilibyśmy na grzyby, które moglibyśmy od razu suszyć. Trzeba też zająć się drzewkami owocowymi, przyciąć je przed zimą i pomalować wapnem. Trawę bym skosił po raz ostatni i pomalował rynnę. Co ty na to?

Pod wpływem tak sugestywnej propozycji Zoja również się rozmarzyła.

– Powiem jutro szefowej, że się zgadzam – zdecydowała. Ty masz chyba kontrolną wizytę u pulmonologa, prawda?

Skinał głowę.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Spakujemy się i pojutrze rano wyjedziemy. Zadzwoń wcześniej do Matyldy. Warto byłoby kupić jakieś wino. Wypilibyśmy we czwórkę.

– Zrobię zakupy, gdy będę wracał od lekarza – obiecał Ryszard.

Kładli się do łóżka, rozmyślając o przyjemnie zapowiadających się najbliższych dniach.

\* \* \*

– Codziennie będziesz wracał tak późno? – Aldona pojawiła się w kuchni, gdy tylko rozbłysło tam światło. Za dwadzieścia minut północ, a Michał dopiero wszedł do mieszkania.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Ksiądz poprosił, abym pojechał razem z nim do noclegowni w sąsiednim miasteczku. Nie mogłem odmówić. Poza tym... musiałem.

Miała wrażenie, że zaciągnięty dług będzie spłacał do końca życia. Mało, podejrzewała, że to go nakręca! Że czuje się potrzebny, gdy pomaga innym, gdy proboszcz prosi go o pomoc, gdy rozwozi koce po bezdomnych lub rozdaje zupę biednym. Taki świecki ksiądz – jak go kiedyś w żartach nazwała. Teraz to nie były żarty. Aldona odnosiła wrażenie, że jej ukochany uważa, iż ma jakąś misję do spełnienia. Musi pomagać innym, nawet kosztem życia prywatnego. Wcześniej delikatnie sugerowa-

ła, że mógłby trochę przystopować i nie angażować całego swojego czasu na pomoc innym. Michał odpowiadał, że musi. Skoro on dostał pomoc, powinien to odpracować.

– Naszym kosztem? – pytała.

– Możesz jeździć ze mną – odpowiadał.

Pojechała dwa razy. Nie miała cierpliwości do wysłuchiwania zwierzeń bezdomnych alkoholików. Skoro nie pomógł im specjalista, to co ona z Michałem mogą zrobić? Mężczyzna jednak nie rezygnował. Wiedziała, że te wyjazdy dają mu satysfakcję. Niestety większą niż bycie głową przyszłej rodziny!

– Zmienisz chyba tryb życia, gdy na świecie pojawi się dziecko?

– Pytała, a Michał nie odpowiadał. Chował wzrok. Znała odpowiedź... Nie będzie miał zamiaru zrezygnować z tego, co robi. Z siebie. Dla niego życie i ta praca to jedność.

Aldona zasnęła błyskawicznie. Od kilku nocy spała wyśmienicie. Wstawała rano rześka i zadowolona. Nie gderała i nie narzekała na samotność, ciągle czymś zajęta. Michał jeszcze długo rozmyślał. Zastanawiał się, jak przekazać ukochanej wiadomość, że zaangażował się w kolejny pomocowy projekt. Tym razem chodziło o psychologiczne wsparcie skazanych. Co weekend wyjeżdżałby do zakładu karnego oddalonego o prawie trzysta kilometrów. Nie musi. Chce. Ma nadzieję, że jego słowa okażą się pomocą dla wielu zagubionych w życiu. On sam kiedyś otrzymał wyciągniętą dłoń i teraz się zrewanżuje. Czuł miłe podeksycytowanie w związku z nowym wyzwaniem. Uwielbiał czuć się potrzebny! Tylko...

Cieniem kładła się ciąża Aldony. To nie tak miało być. Nigdy nie przypuszczał, że czeka go w życiu rola ojca. Nie wiedział, czy jest gotów podjąć się jej. Ostatnio dość mocno uwierały go stabilizacja i związek. Kochał Aldonę, ale przerastały go obowiązki związane z rodziną i narastająca odpowiedzialność. Coraz częściej łapał się na myśli, że najlepiej czuje się, pomagając obcym. Widział efekty swojej pracy. W domu natomiast czekają go co dzień te same obowiązki i coraz bardziej zmęczona partnerka.

Na początku myśli, że na świecie pojawi się potomek, sprawiła mu radość. Jednak gdy fala euforii minęła, a Aldona co wieczór prowadziła

rozmowę o tym, co jest do zrobienia, kupienia i załatwienia zanim urodzi się dzidzius – zaczynał mieć dość wszystkiego. Z dnia na dzień coraz bardziej i bardziej. Odnosił wrażenie, że świat zamyka mu się w czterech ścianach małego mieszkania oraz dziecięcego pokoju. Zaczynał się dusić. Przecież ma jeszcze tyle celów w życiu, a Aldona ciągle powtarza, że dziecko jest najważniejsze!

Próbował poszukać wsparcia u proboszcza. Chciał się dowiedzieć, czy jego rozterki są grzechem. A może jest złym człowiekiem?

– Wątpliwości są wpisane w naturę każdego człowieka – odparł duchowny. – Przypomnij sobie Józefa, ojca Jezusa. Wątpliwości nie przeszkodziły mu być wspaniałym ojcem, cieślą, mężem. Jednocześnie też służył innym ludziom.

To pod wpływem tych słów zaproponował Aldonie ślub. Jednak w duchu modlił się, aby padła odpowiedź, że to zbyt wcześnie na decyzję. Padła.

Wsluchiwał się w spokojny oddech ukochanej i coraz bardziej się irytował na samego siebie. Nie tak to wszystko sobie wyobrażał.

\* \* \*

– Proszę podać rysopis Melanii. – Policjant zwrócił się do Barbary.  
– Wiek, wzrost i kiedy była ostatni raz widziana.

Kobieta paliła papierosa za papierosem.

– Melania zaginęła przed dwiema godzinami – zaczęła drżącym głosem.

Funkcjonariusz odłożył długopis.

– To jeszcze zbyt wcześnie na zgłoszenie.

Niezrażona kobieta kontynuowała:

– Ma trzy lata.

Posterunkowy Jaworski przybrał poważny wyraz twarzy.

– To już zmienia postać rzeczy. Proszę podać jej rysopis.

– Ma niewielką główkę z nieco większymi uszkami niż normalnie.

Piękne, białe ząbki! Na brzuszku jest delikatna plamka, takie znamię w kształcie półksiężyca.

Policjant notował.

– W co była ubrana?

– W czerwony kubraczek.  
– W jaki sposób wydostała się z domu? – Jaworski patrzył w notatki.

– Mój mąż ją zabrał! Przeczynałam, że drań coś kombinuje, gdy tylko zaproponował ten wieczorny spacer! Nigdy nie wychodził z nią sam, a tu nagle zapragnął dostarczyć jej świeżego powietrza! Widziałam przez okno, jak szarpał smyczą, gdy chciała pójść w kierunku, w którym chodzimy normalnie. On jednak skręcił w stronę jednostki wojskowej!

Posterunkowy robił coraz większe oczy.

– Pani mąż uprowadził dziecko na smyczy?

Barbara Woźnica spojrzała na policjanta z nieukrywaniem oburzeniem.

– Dziecko? Kto mówi o dziecku?! Melania to rodowodowy kot!

Zgromadzeni wokół mężczyźni przygotowani do akcji poszukiwawczej ryknęli gromkim śmiechem.

– A panom co tak wesoło? – Kobieta odwróciła się w stronę rozweselonej grupki. – Gdyby wam zaginął ktoś bliski, nie rechotalibyście jak głupki!

Belferski ton zrobił swoje. Strażacy umilkli.

– Proszę panią! – zaczął Jaworski surowo. – Nie wolno wzywać służb mundurowych dla zabawy!

– Co? Mnie ginie członek rodziny, a ten tu mówi, że dla hecy wzywam strażaków?

– Zgłosiła pani zaginięcie kotki!

– Zmieniam zdanie! Mąż mi zaginął! Moja Melania na pewno jest tam, gdzie on! Antoni wyszedł na spacer i... – Zatrzymała się na chwilę, aby pomyśleć, co chce dalej powiedzieć. – Stałam przy oknie, aby popatrzeć za nimi. W tym czasie podjechała rosyjska wołga i wyskoczyło z niej dwóch panów, wciągając moją Melanię i męża do środka. Odjechali w stronę jednostki wojskowej. Apeluje do panów, aby pojechali tam i sprawdzili, czy członków mojej rodziny nie dotknęła jakaś straszna tragedia.

Posterunkowy Jaworski patrzył zafascynowany. Cóż za aktorstwo i łatwość plecienia, co ślina na język przyniesie! Wszystko po to, aby pojechali szukać tego cholernego kota!

– Wie pani co... No dorosła kobieta, a zachowuje się jak nudząca się nastolatka. Nieuzasadnione wezwanie służb grozi kilkusetzłotową grzywną. A za takie uznaję właśnie to. Dodatkowo próbuje pani wprowadzić w błąd funkcjonariusza, a to może być już skierowane do prokuratury.

Na twarzy Barbary pojawił się cień strachu.

– Panie władzo, ja bardzo pana proszę... Martwię się o Melanię. Czuję, że stało się coś złego! Powinna już być w domu i wziąć leki, zjeść kolację... – Siąknęła nosem.

Policjant odszedł, nawet nie patrząc na żonę Woźnicy.

– Przejedźmy przez teren jednostki – polecił grupie policjantów i strażaków.

Pokręcił głową i wszedł do radiowozu. Samochód ruszył.

Co za stuknięta rodzina! On pisze skargi na wszystkich i wszystko, a ta wzywa policję i straż, żeby jej kotka poszukali. Nie dowierzał własnym myślom i temu, co przed chwilą usłyszał.

– Jesteśmy na terenie wojskowym. – Głos kierowcy wyrwał go z zamyślenia pięć minut później.

Wyszedł z samochodu. Rozdzielił ludzi i nim wskazał, w które miejsce mają się udać, usłyszał głos jednego ze strażaków.

– Z tamtego schronu słychać nawoływanie.

Po chwili z niewielkiej ziemianki wydobyli wystraszoną Melanię oraz pobrudzonego i podrapanego na twarzy Woźnicę.

– Ociągałicie się, co? – usłyszał. – Gdy człowiek naprawdę potrzebuje pomocy, to na policję liczyć nie może! Tyle lat oddałem służbie i co z tego mam? Ale czego oczekiwać po mundurowych w tej gminie! Wszystko to leniwe! Nie musicie mnie odwozić! Bez łaski. Sam trafię do domu.

Szarpnął naderwaną smyczą tak mocno, aż Melania zamiauczała z bólu.

– Chodź, diabelskie nasienie! Na zawsze powinnaś w tym schronie zostać! Podrapałaś mnie, ty cholerna zołzo, a na dodatek od Barbary mi się dostanie!

Szedł i rzucał inwektywami raz na kotkę, raz na funkcjonariuszy, którzy dopiero co go oswobodzili. Posterunkowy Jaworski westchnął.



Chyba zrobił błąd. Mogli nie przyjeżdżać od razu. Gdyby został w tym schronie na dłużej, może by skruszał i nauczył się szacunku do innych. Swoją drogą, był ciekaw reakcji żony Woźnicy.

– Podjedźmy jeszcze raz pod ich dom – zakomenderował kierowcy.

Na posesji ujrzeli Antoniego. Stał ze spuszczoną głową, a żona wymachiwała jedną ręką. Drugą tuliła do siebie kotkę. Jaworski opuścił szybę.

– Czy już wszystko u państwa w porządku?

– W jak najlepszym! – warknęła Barbara. – Dziękuję i dobranoc!

A ty, padalcu, zabieraj się do domu! Żebyś na oczy cię przez resztę wieczora nie widziała! Moja biedna koteczka, moje maleństwo... Ten brutal chciał ci krzywdę zrobić... Niech no tylko jeszcze raz spróbuje, a sam będzie wachał kwiatki od spodu! Do domu, Woźnica! Do domu!

\* \* \*

Matylda nie mogła zasnąć. Wierciła się na łóżku, przewracała z boku na bok. Daremnie. Sen nie nadchodził.

Władek rzeczywiście wrócił późno do domu. Podeszła, aby go pocałować.

– Co tobie tak na czułość się zebrało? – spytał zmęczonym głosem.

Mruknęła coś w odpowiedzi. Nie wyczuła alkoholu, ale może zdążył sięgnąć po miętowe cukierki. Właśnie sobie uświadomiła, że zawsze woził odświeżające pastylki w samochodzie. Była pewna, że robi tak dlatego, iż ciągle obraca się między ludźmi, prowadzi wiele rozmów w ciągu dnia i zależy mu na komforcie. A tu wszystko wskazuje na to, że stara się ukryć alkoholowy problem.

Ciągle miała przed oczami zdjęcie podsunięte jej przez panią Aurelię. Ciekawa była, kto je zrobił. Zresztą, to nieistotne. Jest problem i trzeba mu zaradzić. Ów problem musiał powstać w ciągu dwóch ostatnich lat! Na pewno zauważyłaby wcześniejsze symptomy uzależnienia. A może nie? Przypomniała sobie psychologa, do którego chodziła przed laty.

– Często nie zauważamy oczywistych rzeczy – tłumaczył. – Mózg, choć je widzi, wypiera z głowy. To tak, jak w dzieciństwie bawiliśmy się

w zamykanie oczu. Nie widzę innych, więc mnie też nie widzą. Osobę, która kamufluje picie, ciężko przekonać, że jest nałogowcem. Wydaje się jej, że ma wszystko pod kontrolą. Będzie zapewniać, że wystarczy jedna decyzja, aby przestać pić. Alkoholizm to głównie choroba duszy. Zawsze musi być jakiś powód, że sięga się po napoje procentowe. Zawiedziona miłość, problemy rodzinne, brak pracy... – Psycholog wyliczał i wyliczał.

Przypominała sobie to wszystko, bezskutecznie próbując zasnąć. Wiedziała, że nie zaciągnie Władysława do specjalisty. To było pewne. A skoro zaczął więcej pić od niedawna, to by znaczyło, że i problem jest świeży. Może ma jakieś kłopoty w pracy?

Nagle ją oświeciło. Woźnica! To on jest przyczyną wszelkiego zła! Odkąd pojawił się w Pobierowie, wójt nie ma spokoju. To nie chodzi o przypadkową osobę, ale o jej męża, którego kocha i któremu pomoże za wszelką cenę.

Najwyższy czas porozmawiać z trudnym obywatelem. Chociaż nie... do takiego chyba nic nie trafi. Może lepiej porozmawiać z jego żoną? Kobiety zazwyczaj są wrażliwsze i potrafią utemperować nawet najbardziej topornych mężczyzn. Tak, najwłaściwiej będzie wybrać się na spotkanie z Barbarą Woźnicą.

Po tej decyzji Matylda spokojnie zasnęła.

\* \* \*

Kolejny poranek wstał pochmurny, oni jednak mieli świetne nastroje.

– Przypomnę sobie, jak szukać gąsek – powiedział zadowolony Ryszard.

Przyjazd do domku to był dobry pomysł. Meteorolodzy zapowiadali piękne i słoneczne dni. Temperatura miała sięgać nawet piętnastu stopni! Przyjechali do Gostynia zaledwie wczoraj, a dzisiaj przepełniała ich energia. Zoja chciała zabrać się za przetwory i kompoty z późnych jabłek, on miał wykonać kilka niezbędnych prac i chodzić na grzyby.

Jak zwykle zaczął od sprawdzenia obejścia. Wszystko wydawało się w należyтым porządku. Furtka była zamknięta. Nikt nie ruszał skobla, sprzęty były w nienaruszonym stanie, studnia także funkcjonowała bez problemów. Zadowolony wrócił do domku.

– To ty zajmij się swoimi obowiązkami – rzucił do Zoi. – Ja wybiorę się na grzyby. Nie martw się, nie będę odchodził daleko.

Zabrał wiklinowy kosz, kozik i poszedł. Do lasu nie było daleko. Wystarczyło przejść przez kawałek pola znajdującego się obok ich posesji, aby po pięciu minutach zagłębić się w cień i leśną głuszę. Ryszard nigdy się nie bał nieznanymi terenów. Uważał, że gdy dobrze obserwuje się otoczenie, nie może być mowy o zgubieniu się.

Las pachniał i szumiał. Wcale nie delikatnie i nastrojowo, jak to ma miejsce latem. Odnosił wrażenie, że wiatr buszujący w koronach chce mu coś powiedzieć. Najpierw szumi zachęcająco, aby po chwili próbować przestraszyć. Ryszard nie należał do chojraków, jednak im bardziej zagłębiał się w las, tym uważniej rozglądał dookoła. Nie tylko po ziemi, w poszukiwaniu grzybów. Pierwszego zresztą wypatrzył już na początku sosnowego skupiska. Łepok podgrzybka był piękny, ciemnobrązowy. Choć był już początek listopada, to jeszcze można było bez większego problemu je odnaleźć. Po chwili natknął się na jeszcze kilka. Przekroił ogonek. Zdrowe! Namówi Zoję, aby ususzyli kilka sztuk. Będą jak znalazł do wigilijnego barszczu z uszkami. Na samą myśl o tej potrawie przełknął ślinę. Do Świąt pozostało jeszcze tylko kilka tygodni.

Odkąd jest z Zoją, Boże Narodzenie sprawia mu radość. Przez wiele lat było jedynie kilkoma wolnymi dniami wymagającymi zagospodarowania w jakiś z góry narzucony sposób. Ryszard wierzył w Boga, ale

po jaką cholere miał samotnie czcić Święta? Dla kogo ubierać choinkę, sprzątać mieszkanie, szykować prezenty? Od dwóch lat jednak wszystko się zmieniło. Na nowo odzyskał syna, Adriana. Jakim głupcem okazał się, niszcząc rodzinę po śmierci Krystiana, drugiego z bliźniaków. Z żoną i tak nie ułożyło się, ale szkoda straconych lat w relacjach z synem. Jest szczęściarzem, że ma okazję wszystko naprawić. Przybyła mu także wnuczka, nie mówiąc już o Zoi! Cieszył się teraz każdym dniem. W tym roku muszą zakupić nowe lampki na choinkę, bo stare się przepaliły, przypomniał sobie.

Wszedł jeszcze głębiej w las. Zrobiło się nieco ciemniej, ale tu również odnalazł podgrzybki. Stały jak wojsko na baczność w ubitej po przedwczorajszym deszczu leśnej darni. Pogoda płata figle! Nigdy nie przypuszczał, że w listopadzie może być tak ciepło. Komary powariowały i latają, jakby to była wiosna, a nie czas krótko przed zimą.

Dwa razy spojrzął w prawo. Czy lampki choinkowe aż tak bardzo utkwiły mu w głowie, że jedną widzi w środku lasu? Ciemnoczerwone, delikatne światełko przebijało przez gęstwinę świerkowych gałęzi. Przetarł oczy, ale omam nie zniknął.

Ryszard ruszył powoli w kierunku światełka. Wiatr szumiał coraz mocniej. Po chwili zatrzymał się.

– To znicz... – wyszeptał, rozglądając się dookoła.

Stał nad usypanym kopczykiem, obłożonym kamieniami. Wbity drewniany krzyż najlepsze czasy miał za sobą. Zardzewiała tabliczka jeszcze jakoś się trzymała.

– Paul Willems – przeczytał z trudem.

Przecierając dół tabliczki rękawem, ujrzał napis: „Gefallen 10 XI 1944”. To chyba data jego śmierci, pomyślał. Jutro minie okrągła rocznica!

Ponownie się rozejrzał. Ktoś musiał tu być przed chwilą i zapalić ten znicz. Dziwne, że nie usłyszał nawet pękniętej gałązki czy przedzierania się przez świerkowy gąszcz. Nagle poczuł się nieswojo. Może ten ktoś jest tu jeszcze? Obserwuje go teraz zza drzewa i czeka, aż sobie pójdzie?

Podniósł się i ruszył z powrotem do domu. Nadal nie opuszczało go uczucie, że ktoś uważnie mu się przygląda. Przyspieszył kroku.

Chciał jak najszybciej wydostać się z lasu. Zerknął w pośpiechu do koszyka. To, co ma, w zupełności wystarczy.

– Aleś zdyszany! – przywitała go Zoja. – Wyglądasz, jakby ktoś cię gonił.

Uśmiechnął się blado.

– Zjedz obiad, napij się i musimy jechać do sklepu do Gostynia – zarządziła. – Zabrakło mi cukru, a bez niego nie mogę zrobić musu jabłkowego. Zobacz, ile jabłek zebrałam.

Wskazała ręką stosik pod drzewem. Rzeczywiście, był całkiem okazały.

– To wszystko czeka na przerobienie jeszcze dzisiaj – opowiadała zadowolona. – Kilka słoików damy Matyldzie, parę dostanie też Ula i twój syn. Reszta zostanie dla nas. Całą zimę będę mogła piec szarlotki. Uwielbiasz je.

Humor nieco mu się poprawił. Po zjedzonym obiedzie zupełnie odzyskał dobry nastrój. Zoja przygotowała zrazy z ziemniaczkami, które uwielbiał.

– Możemy jechać – powiedział, wstając od stołu w maleńkiej kuchence.

Kwadrans później stali przed kasą wiejskiego sklepiku. Zoja nie mogła nadziwić się niższym niż w Szczecinie cenom.

– Może dobierzemy jeszcze śmietanę? – spytała. – Byłeś dzisiaj na grzybach, przyniosłeś pół koszyka, więc...

Nie skończyła, gdyż do rozmowy włączyła się młoda sprzedawczyni.

– Gdzie pan chodził? – zwróciła się do Ryszarda.

– Po lesie niedaleko ambony, która stoi przy wylocie z Gostynia. Byłem zaskoczony, że taka pogoda, a w lesie brak lokalnych grzybiarzy. Widać wybieraliście wcześniej to, co było wam potrzebne.

– Nie, mieszkańcy nadal chodzą na grzyby, tylko...

– Tylko co?

– Tylko nie zapuszczają się w te rejony, co pan – wyszeptała.

– Dlaczego?

– Bo, bo...

– Bo co?! – zirytowała się Zoja zbyt długim oczekiwaniem na od-

powieź.

– Tam ciągle pali się znicz...

– Gdzie? W lesie?

– Tak, widziałem go – przytaknął Ryszard. – Najpierw z daleka mi-  
gnęło mi jakieś światełko. Dopiero gdy podszedłem bliżej, rozpoznałem,  
co to jest. Znicz stoi na grobie poległego Niemca. Zginął w 1944 roku.  
Byłem ogromnie zaskoczony tym widokiem. Czułem czyjąś obecność,  
ktoś przecież przed chwilą zapalił światełko. Nie mógł daleko odejść.  
Jednak mimo tego, że nasłuchiwałem i rozglądałem się, nikogo nie zoba-  
czyłem.

– W imię Ojca i Syna! – Młoda sprzedawczyni zrobiła w powietrzu  
znak krzyża. – To on tam był!

– Kto?! – wykrzyknęli oboje.

– Duch tego Niemca! W listopadzie zawsze krąży dookoła swojego  
grobu.

Zoja i Ryszard spojrzeli po sobie, a potem wzrok skierowali na  
ekspedientkę.

– Żarty sobie pani robi? – Mężczyzna spojrzął na dziewczynę za  
ladą. Twarz miała bladą, jakby już teraz stanęła jej przed oczami zjawa.

– Nie! Już moja babcia opowiadała, że Paul od czasów wojny krą-  
ży po tych lasach. Nie zaznał spokoju w grobie. Zginął w lesie. To była  
pułapka.

– Proszę nam opowiedzieć – odezwała się Zoja.

– Paul Willems był pracownikiem tutejszego folwarku. Gdy wybu-  
chła wojna, właściciele długo nie mieli zamiaru opuszczać swojej posia-  
dłości. Spakowali się dosłownie w ostatniej chwili, gdy front zbliżał się  
w stronę Gostynia. Na furmanki wzięli tylko najbliższych. Paul został,  
przygarnięty przez polską rodzinę. Zakochał się w córce wybawicieli,  
Zofii. Ona także darzyła go uczuciem. Razem pomagali okolicznym sa-  
downikom w zbiorach owoców. Głównie jabłek, bo tego było tutaj pod  
dostatkiem. Ta zażyłość nie spodobała się młodym mężczyznom z Go-  
stynia. W listopadzie, pod pretekstem ostatniego grzybobrania, zwabili  
Paula do lasu i tam go zabili. Po wojnie mieszkańcy usypali mu grób  
w lesie i postawili tabliczkę sugerującą śmierć podczas bitwy. Od tego  
momentu działo się coś dziwnego. Ktoś postawił znicz, który na drugi

dzień płonął tak samo mocno, jak na początku. Gdy ktoś z krążących wtedy band wyrzucił go, na drugi dzień znowu stał zapalony. I tak jest do tej pory. Upłynęło już tyle lat od wojny, a w stronę grobu Paula Willemsa zapuszczają się jedynie nieliczni i najbardziej odważni. Albo głupi. Niektórzy mówią, że czują tam cały czas jego obecność.

– Co się stało z Zofią? – spytała Zoja cicho.

– W nocy po zabójstwie ukochanego popełniła samobójstwo. Powiesiła się na gałęzi jabłoni, z której po raz ostatni wspólnie zrywali jabłka.

Po plecach Zoi przebiegł dreszcz.

– Co ciekawsze, ta jabłonka stoi do tej pory. Nikt nie odważył się jej ściąć. Bywali właściciele, którzy chcieli przyciąć gałęzie przed zimą, ale zawsze zdarzało się im coś nieszczęśliwego. Jeden stracił palec, bo nie tak użył piły, inny złamał nogę, spadając z drzewa. Dlatego ta jabłonka stoi w stanie nienaruszonym od czasów wojny.

– Jabłonie rzeczywiście mogą żyć nawet do dwustu lat – potwierdził Ryszard. Po czym zwrócił się do Zoi. – Ta, która stoi na naszej działce, też jest już stareńka. Ale owoce rodzi wspaniale!

– Tak – przyznała Zoja. – Mają niesamowitą barwę. Takie krwisto-czerwone.

– Gdzie państwo dokładnie mieszkanie? – Atmosfera rozmowy powoli wracała do normy. Duchy przeszłości odchodziły.

– Kupiliśmy niedawno ten holenderski domek i ostatnią działkę. Gostyń siedemdziesiąt osiem.

Sprzedawczyni spojrzała na nich z przestraczem w oczach.

– To tam właśnie powiesiła się Zofia...

Dziewczyna znowu wykonała ręką znak krzyża. W kompletnej ciszy zabrali zapakowane zakupy i poszli do samochodu. Drogę także spędzili w milczeniu. Nic nie mówili, wysiadając z auta przed domkiem. Wzrok każdego z nich cały czas podążał jednak w stronę jabłunki. W świetle zachodzącego słońca, z gałęziami całkowicie pozbawionymi liści i nielicznymi jabłkami o barwie krwi, wyglądała wyjątkowo ponuro.

\* \* \*

– Jak czuje się Amelka? – spytała Matylda. Właśnie zadzwoniła

Dorota, aby potwierdzić świąteczny przyjazd.

Jednak nim odpowiedziała, w słuchawce dał się słyszeć radosny pisk małej.

– Alo! Alo! – Tak pocieszenie naśladowała mowę dorosłych, że obie kobiety się roześmiały. Po chwili pobiegła do swojego pokoju, aby zająć się tarmoszeniem szmacianej lalki.

– Słyszałaś. Mamy szczęśliwe i radosne dziecko. Mam nadzieję, że nadal będzie tak rosnać. – Po tych słowach dało się słyszeć głośne ziewnięcie synowej. – Mamo, przepraszam. Nie wyspałam się. Wczoraj długo siedziałam nad projektem ogrodu.

– Tłumaczyłam ci, że za wcześnie wracasz do pracy. Ty, z własną firmą, mogłaś pozwolić sobie na dłuższą przerwę. Amelka często budzi się w nocy, a ty razem z nią. W ciągu dnia nie masz jak odpocząć. Przemysśl to raz jeszcze.

– Mamo, wnet wszystko się unormuje – zapewniła Dorota. – Muszę zarobić przynajmniej na ubezpieczenie. Zaraz przyjdzie Gosia, opiekunka Amelki, a ja spróbuję zdrzemnąć się pół godzinki.

– Dobrze ci to zrobi. Jak sprawuje się ta dziewczyna?

– Wspaniale! Nasze dziecko szybko przyzwyczało się do niej. Ma już doświadczenie z takimi maluszkami. To studentka pedagogiki. Dużo spacerują, godzinami oglądają książeczki. Amelce z dnia na dzień przybywa nowych słów – opowiadała Dorota.

– Moja utalentowana wnusia! – Matylda puchła z dumy. Stanęła przed zdjęciem Amelki wiszącym na ścianie. Tak znacznie łatwiej się rozmawiało. – Władek też ogromnie za nią tęskni.

– Jak on się czuje? Ostatnio wspominałaś, że trochę chorował.

– Już jest wszystko w porządku. – Teściowa westchnęła prawie niedostrzegalnie. Teraz nie miała pewności, czy Władysław rzeczywiście rozkładał wirus, czy po prostu męczył kac.

– Mamo, przyjechalibyśmy kilka dni przed Świętami. Nie chcemy wybierać się na ostatni moment, bo drogi mogą być wtedy przepełnione.

– Bardzo rozsądnie.

– Niczego nie szykuj! Pomogę ci ze wszystkim, mężczyźni także zaangażujemy do pomocy. Nie wiem, czy uda się nam w tym roku zrobić dwanaście potraw. Amelka jest taka absorbująca!



Matylda nie przyznała się, że pierogi i uszka w hurtowych ilościach już od tygodnia leżą w zamrażalniku. Wykonała po sto sztuk świątecznych przysmaków.

– Nie przesadzajcie także z prezentami dla małej – kontynuowała Dorota.

– Co to, to nie! Mamy jedną wnusię i możemy rozpieszczać ją na wiele sposobów. – Matylda starała się mówić surowym tonem, jednak po chwili obie się roześmiały. Zakończywszy pogawędkę, sołtyska z uśmiechem wróciła do gotowania obiadu. W całym domu pachniało zupą pomidorową. Jeszcze chwila i będzie gotowa.

– Kurczę, śmietany nie mam! – rzuciła sama do siebie, zaglądając do lodówki.

Wyłączyła gaz, wzięła torbę i ruszyła do sklepu. Narzuciła na siebie jedynie polarową bluzę. Listopad był tak piękny, że można uznać, iż przyroda zwariowała. Na niektórych drzewkach owocowych pojawiły się zalążki liści i kwiatów. Uszła kilka kroków i musiała rozpiąć wierzchnie ubranie. W słońcu było jeszcze cieplej. Nieliczni, spacerujący po Pobierowie wczasowicze, chętnie wystawiali twarze do słońca.

Spojrzała na przeciwległy chodnik i aż stanęła w pół kroku! Pozostali także oglądali się za nietypowym widowiskiem. Trotuarem szła Barbara Woźnica. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie fakt, że miała na sobie nowe, grube futro! Twarz miała czerwoną, pot z niej spływał strużkami. W dłoni trzymała smycz z wrywającym się kotem, któremu nałożyła równie gruby, nowiutki kubraczek!

– Pani Barbaro! Dobrze się pani czuje? – W Matyldzie od razu włączył się instynkt pomocy. Idąca chodnikiem kobieta wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć z przegrzania.

– Tak – wyszeptała tamta słabym głosem.

Barbara Woźnica była wściekła na siebie. Futro, które założyła, dostała wczorajszego wieczora w prezencie od męża. Specjalnie wybrał się po nie do Szczecina. Atmosfera w domu – po ostatnim jego wyczynie z Melanią – była daleka od normalnej. Żona chodziła zachmurzona i obrażona, kotka prychała, a spotykani mieszkańcy rzucali kpiące spojrzenia. Nie pozostało Antoniemu nic innego, jak odpokutować. O to futro był męczony od dawna. Do tej pory uważał, że jest za drogie, ale w koń-

cu ugiął się pod ciężarem fanaberii swojej żony i własnej winy.

– W Pobierowie nie ma ostrych zim – argumentował nie tak dawno. – Gdzie ty je będziesz nosić?

Po akcji z kotem nie miał innego wyboru. Pojechał i kupił, z ciężkim sercem wykładając plik banknotów przed sprzedawcą.

Barbarę ogromnie ucieszył prezent od męża i od razu spojrzała na niego przychylniejszym wzrokiem. Była tak szczęśliwa, że postanowiła przygotować mu obiad. Znowu wyjechał wcześniej rano, bo miał do załatwienia jakieś sprawy w urzędach. Może i dobrze, przynajmniej mogła do woli przeglądać się w ogromnym lustrze w sypialni. Ubrana w futro, naturalnie. Gdy tak się podziwiała, przypomniała sobie słowa męża: „Zim tutaj nie ma”. To wtedy podjęła decyzję, że na wyjście po drobne zakupy założy swój prezent. Zrobiła makijaż, ułożyła włosy. Przecież spacer w takim futrze musi mieć odpowiednią oprawę! Nałożony na policzki róż nie zdał egzaminu. Nadal wyglądała zbyt blado. W ostatniej chwili przypomniała sobie słowa babci.

– Ani ty ładna, ani ty mądra – gderała, przyglądając się Barbarze, gdy tamta miała dwadzieścia lat. – Na rozum mężczyzny nie znajdziesz. Zanim pójdziesz na zabawę, nasmaruj policzki przekrojonym buraczkiem. Od razu zyskają kolor.

Babcia miała rację, bo podczas tej zabawy poznała Antoniego. Zwrócił uwagę właśnie na jej rumieńce. Zdrowa, polska, słowiańska dziewczyna!

Teraz też postanowiła się w ten sposób upiększyć. Przekroiła buraczka na pół i wilgotnym środkiem powiodła po policzkach. Melanii założyła kubraczek, na siebie włożyła futro i wyszły. Już po paru krokach obleciała ją chmara komarów.

– A sio, a sio! – Oganiała się od nich.

Przyspieszyła, mając nadzieję, że owady zostawi w tyle. Zanim doszła do centrum miejscowości, po plecach spływały jej strużki potu, włosy miała posklejane, a całą twarz zdawał się palić żywy ogień. Nie mogła złapać tchu. Na dodatek Melania wrywała się na wszystkie strony. Co za głupek z tego Antoniego! Nie mógł jej kupić futra na Gwiazdkę? Na pewno byłoby wtedy nieco chłodniej! Mógł też wcześniej, przed Wszystkim Świętymi! Pokazałaby się wszystkim na cmentarzu. A tak,

aby być zauważoną, musiała paradować przez środek Pobierowa w słoneczny dzień! W najbardziej ciepły dzień listopada! Ten Antoni jest kompletnie bez wyobraźni. Złość na męża aż kipiała w Barbarze. Na do-  
datek zbliżała się do niej sołtyska.

– Pani Barbaro! Dobrze się pani czuje? – zagadnęła.

– Tak – burknęła Barbara.

– Piękny dzień mamy, prawda?

Kobieta spojrzała na nią ze złością.

– Jak cholera! – wysapała.

– Nie lepiej rozpiąć to futro? – zasugerowała Matylda. – Byłoby nieco chłodniej i wygodniej. Poza tym róż skapuje pani z policzków.

– Róż?! – wrzasnęła Barbara.

Błyskawicznie rozpięła futro, dając sołtysce smycz do potrzymania. Ściągnęła je z siebie. Bluzka pod nim nosiła ogromne ślady od potu. Natomiast na kołnierzu palta pojawiły się różowe, drobne plamki.

– Już tego nie wyczyszczę! – lamentowała żona Woźnicy. – Co za głupek z tego mojego męża! Kupił mi futro, gdy na dworze tak ciepło!

Matylda z grzeczności nie wspomniała, że wcale nie musiała go dzisiaj zakładać.

– Tacy już są mężczyźni – rzuciła. – Kompletnie bez wyobraźni.

– Żeby pani wiedziała!

– Kupił i pewnie kazał je od razu nosić? – podsuwała sołtyska.

Barbara potakiwała, choć niezgodnie z prawdą.

– Taki już jest mój mąż! – Dawała upust złości. – Wszystko musi być po jego myśli! A jeśli nie jest, to nakręca się i... – Tu żona Woźnicy zrobiła pauzę.

– I co? Jest agresywny wobec pani? – Matylda ściszyła głos.

– Tylko raz spróbował! – Barbara spojrzała z wyższością. – I przez trzy dni nie szedł na służbę do straży, bo opuchlizna nie chciała zejść z twarzy!

– No to może donosy pisze? Jak na wójta? – zirytowała się sołtyska. Poczowała, że ta rozmowa prowadzi donikąd.

– Chyba czas zakończyć rozmowę z panią. Żegnam! – Barbara na nowo założyła futro, jednak tym razem nie zapięła go. Pociągnęła smycz i wraz z Melanią ruszyły w stronę domu, zapominając o zrobieniu zaku-

pów.

Matylda patrzyła przez chwilę za oddalającą się kobietą. Prawdopodobnie tą drogą nic nie wskóra. Wykształcona, a jednak bardzo prosta. Z daleka było widać, że na twarzy nie ma różu. O zgrozo, to był sok z buraka.

Pani sołtys zerknęła na zegarek. Musi się pospieszyć z tymi zakupami, bo po południu przyjeżdżają feministki ze Szczecina. Pierwsze spotkanie z mieszkankami mają już następnego dnia.

\* \* \*

– Nie boisz się spacerować pod tym drzewem? – Zoja z niezrozumiałym lękiem patrzyła na schylające się ku ziemi gałęzie jabłoni.

– Niby dlaczego? – Ryszard wzruszył ramionami. – Chyba nie wierzysz w te niestworzone historie?

– Nie jestem pewna – odparła. – Zazwyczaj w takich wiejskich opowiastkach jest ziarno prawdy.

– Zoju! Opowiadała nam to młoda dziewczyna z bujną wyobraźnią. Ludzie, którzy znali prawdę, zapewne już nie żyją. I te brednie o wiecznie płonącym zniczu w lesie... W pierwszej chwili sam się nabrałem. A dzisiaj śmieję się w duchu z własnej głupoty. Zresztą, co mamy do stracenia? Chodźmy tam! Założę się, że wczoraj ktoś ze mnie zakpił! Widział szwendającego się po lesie i żartów mu się zachciało.

– Nawet gdyby, to myślisz, że grzybiarze noszą ze sobą lampiony nagrobne do lasu? – wątpiła.

– Prędzej w to uwierzę niż w duchy! – zarzekał się. – Idziesz ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę lasu. Był piękny, słoneczny dzień. Od wielu lat listopad nie był taki ciepły. Zoja patrzyła przerażona, jak jego sylwetka się oddala.

– Zaczekaj! Ja także idę! – To nie odwaga ją popchnęła, ale strach, że nagle zostaje sama.

Dogoniła Ryszarda. W milczeniu zbliżali się do lasu. Dzisiaj było w nim mniej ponuro niż poprzedniego dnia. Poprzez konary drzew przedzierały promienie późnojesiennego słońca. Szli, rozsuwając gałęzie na boki, aby po pięciu minutach stanąć nad tajemniczym grobem.

– Płonie... – wyszeptała Zoja, rozglądając się na boki.

Las nie straszył dzisiaj, ale wyobraźnia działała. Zastłyszana dzień wcześniej opowieść także zrobiła swoje. Przed oczami stały jej sceny sprzed wielu lat, zwabienie Paula do lasu i zamordowanie go. Pewnie była tu gęstwina, w której się ukryli. Zupełnie jak ta po prawej stronie.

Zoja spojrzała na nią z lękiem. Czy jej się zdawało, czy gałęzie poruszyły się, choć dzień był bezwietrzny? Może to złudzenie? Nagle dostrzegła, że ruszają się coraz mocniej.

– Duuuch! – wrzasnęła i wtuliła się w Ryszarda.

W tym momencie spomiędzy drzew wybiegły dwie zalęknione sarny. Były przerażone nagłym krzykiem Zoi. Rozbiegły się, aby wyminąć stojących im na drodze ludzi.

– Są bardziej spłoszone niż ty – roześmiał się mężczyzna. – Widzę, że udzielił ci się wczorajszy nastrój. Zobacz! – Pochylił się nad zniczem. – Właśnie się wypala. To ten sam, który widziałem wczoraj, a nie jakaś wiecznie płonąca lampka. Ludzie na wsiach uwielbiają opowiadać nie stworzone historie.

– Dzisiaj jest rocznica śmierci Paula Willemsa. – Zoję na nowo obleciał strach.

– I co? Myślisz, że duch jego ukochanej pod postacią sarenki zapalił światełko?

Rzut okiem na bladą kobietę wystarczył, aby zrozumiał, że ona naprawdę w to wierzy.

– Kochanie, nie masz dziesięciu lat. Wyglądasz, jakbyś miała ochotę stąd uciec.

– Bo mam – odparła cicho, ciągle obawiając się podnieść ton.

– Zobacz, wypalił się. I po zniczu! Kto wie, może to był taki kilkuniedniowy i stał tu jeszcze od Wszystkich Świętych?

Zoja nieco się rozchmurzyła.

– Masz rację. Strasznie głupia jestem. Dałam sobie wcisnąć bajeczkę o duchu krążącym od wojny po lesie – roześmiała się. – Chodźmy do domu. Słońce powoli zachodzi i chłodno się robi.

– Zabiorę ten znicz na pamiątkę – powiedział Ryszard.

Długie cienie drzew towarzyszyły im, gdy wychodzili z lasu na łąkę. Przez chwilę obserwowali zachodzące słońce, a potem, objęci, ru-

szyli w stronę domu. Już wchodzili przez furtkę, gdy nagle Zoja zatrzymała się w pół kroku.

– Boże mój... – wyszeptała.

Ryszard powiódł wzrokiem w kierunku, w którym patrzyła. Światło było widoczne z daleka. Pod jabłonią płonął kolejny znicz.

\* \* \*

Aurelia wyciągnęła z szafy puchowy koc. Pomimo że był dzisiaj piękny, słoneczny dzień, wieczór nastał chłodny. Usiadła przed otwartym salonowym oknem, owinęła nogi i podniosła lampkę z wiśniową nalewką. Upiła odrobinę i zamknęła oczy. Przypomniła sobie listopad sprzed roku. Siadała wieczorami z Christianem i każde raczyło się ulubionymi trunkami. On likierem korzennym, ona nalewką wiśniową lub czekoladową. Jej mąż oglądał mecz, ona zaś przeglądała czasopismo lub czytała książkę. Milczeli, ale byli obok siebie.

Właściwie do tej pory dobrze jej było z Christianem. Pokochała go, mimo jego niemieckiej mentalności. Nie był wylewny, mało ją chwalił, natomiast zwracał uwagę, gdy coś było nie tak. Lubił regularny rytm dnia w domu i w pracy. We wtorki zawsze robiła zakupy na cały tydzień, w środy prała pościel, w czwartki sprzątała mieszkanie, a w piątki wieczorem każde z nich dzwoniło do rodziny i przyjaciół. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten nacjonalizm męża!

Po drugiej lampce nalewki była nie tylko zła na nacjonalizm, ale rozzalona z powodu kobiet, które błyskawicznie sprowadził sobie na jej miejsce.

– Ta jedna musiała mieć tyłek jak szafa trzydrzwiowa! – rzuciła głośno do siebie. – Kto to widział nosić majtki w rozmiarze iksel! Kompletne zapuszczenie! I mój mąż skusił się na takie coś?!

Po kolejnej lampce przypomniała sobie suszącą się bieliznę w rozmiarze mniejszym niż ona nosi. Rozpląkała się i nałała kolejną porcję kojącego płynu.

– Cham i prostak! Orgie uprawia w naszej małżeńskiej sypialni!

Próbowała wyobrazić sobie ten widok, ale nijak nie mogła. Nie dlatego, że była pozbawiona fantazji! O, nie! Tylko słowo „orgia” w ogóle nie pasowało do Christiana!

– Seks ostatnio także nie – rzuciła do siebie.

Po chwili nasza ją kolejna myśl. Może on podnieca się samym widokiem kobiecych majtek? Przecież żadnej kobiety nie zastała w ich berlińskim mieszkaniu, więc wszystko wskazywałoby na to, iż bieliznę kupuje sam. Jak nazywało się to zboczenie? Zaczynało się bodajże na „f”.

– Faszyzm! – język plątał się jej coraz mocniej. – Faszyzm!

Nalała kolejną porcję nalewki. Ostatnią, bo w butelce nie zostało kompletnie nic. Poczekała, aż kropla spłynie do lampki. Upiła słodkiego trunku. Przecież mógł powiedzieć, co tak naprawdę go podnieca! Nie byłoby problemu, paradowałaby wieczorami w najróżniejszych majtkach. Tylko tych z falbanką by nie założyła. Kiedyś nosiła, za młodych lat, ale nie podobały się jej. Każde inne może zakładać, nawet stringi czy bieliznę z koronką lub panty. Szkoda, że jej o to nie prosił. Codziennie mogłaby pokazywać mu się, w czym tylko miałby ochotę ją widzieć. Mogłoby razem wybierać się po zakupy, oglądanie katalogów z bielizną mogłoby być równie podniecające. Ile zyskałoby na tym ich życie erotyczne! Dlaczego jej, do cholery, nic nie powiedział?!

Wstała z fotela i chwiejnym krokiem podeszła do stolika. Wzięła do ręki telefon i z trudem odnalazła w książce adresowej numer do Christiana.

– *Hallo*, Aurelia – rzucił zmęczonym głosem. Tego dnia miał wyjątkowo dużo pracy, a studentka, którą najął do pomocy, nadawała się do rutynowych prac biurowych, a nie do poważniejszych zadań. Jego żona powinna być w biurze, zamiast wczasować się w Polsce.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi... – czknęła głośno, a potem się roześmiała z tego faktu – nie powiedziałeś, że... – Znowu czknęła i zachichotała.

– Aurelia? Dobrze się czujesz? – Christian nie podzielał wesołości żony. W dodatku miał wrażenie, że jest pod wpływem. Co się z nią dzieje w tej Polsce?

– Czuję się doooooobrze. – Po raz kolejny zabalgotało jej w przetyku.  
– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Czego? – ziewnął zmęczony. Nawet na piwo nie miał ochoty tego wieczoru.

– Że jesteś faszystą! – wybełkotała Aurelia.

To słowo aż zapiszczało w uchu Christiana. Wyjechała na kilka tygodni do Polski i mózg jej wyprali? A może problem narastał od dawna? Zanim opuściła mieszkanie, nazwała go nacjonalistą, dziś faszystą, a jutro co będzie? Może *Heil Hitler*?

– Dobranoc – powiedział i rozłączył się.

Oszupiała Aurelia odsunęła słuchawkę. Po chwili spróbowała się połączyć raz jeszcze, ale odezwała się tylko poczta głosowa. Nie miała ochoty w tak poważnej sprawie nagrywać się. Swoją drogą, dlaczego ją tak potraktował? Pierwsza wyciąga rękę na zgodę, chce zaproponować kompromis, a ten zwyczajnie ją lekceważy. W takim razie nie będzie już dzwonić do męża. Dawać pomoc i prosić, aby ją przyjął, to trochę za dużo.

Rozżalona wstała z fotela. Zerknęła na pustą butelkę, czknęła i poszła do sypialni.

\* \* \*

– Znośnie. – Arleta Ozór rozejrzała się po pokoju. Jej trzy towarzyski, słysząc słowa koleżanki, pokiwały aprobująco.

Matylda się nie odezwała. „Znośnie” nie zabrzmiało jak komplement. Było nijakie. Dwa ostatnie dni spędziła na przygotowywaniu apartamentów dla pań z organizacji feministycznej. Nie dość, że nie ściągnęły butów przed wejściem, to jeszcze zachowują się, jakby oczekiwały pokoju dla królowej!

– To Patrycja Miłek, Hanna Zwidek i Bogna Mazur. – Zostały przedstawione trzy towarzyski. – Wieloletnie członkinie naszej organizacji. Aktywne, czynne i wielce oddane idei.

Gospodyni przyglądała się im z rosnącym zainteresowaniem. Stały przed nią cztery panie kompletnie pozbawione kobiecości! Arleta Ozór miała krótkie włosy, przystrzyżone po męsku, ogromne okulary na nosie i tak przylegającą do ciała bluzkę, że można było policzyć każdą fałdkę nadmiernego tłuszczu. Patrycja Miłek nosiła dres, a wyglądem i posturą przypominała niemieckie zapaśniczki startujące na olimpiadzie w Moskwie. Z tyłu można było ją pomylić z mężczyzną. Hanna Zwidek ważyła chyba najwięcej. Matylda była pewna, że waga oscyluje w granicach stu trzydziestu kilogramów. Tłuste włosy związała w kucyk, czoło roilo



się od pryszczycy. Podobnie jak pozostałe, nosiła okulary. Sołtyska nie wiedziała, jakim cudem wciągnęła na siebie dzinsy. Wyglądała, jakby miała zaraz pęknąć. Natomiast Bogna Mazur miała włosy ścięte na języka, długą męską koszulę i krawat, a na dole spodnie w tak pstrokate barwy i wzory, że sołtyska musiała odwrócić wzrok. Miała nadzieję, że to tylko na podróż się tak wystroili, a jutro, podczas spotkań, zaprezentują się inaczej.

– Będziemy mogły wykorzystać jedno z pomieszczeń na przygotowania? – Głos Arlety Ozór wyrwał ją z zamyślenia.

– Oczywiście! Gdy tylko panie się rozpakujecie, zapraszam do salonu.

– Nigdy się nie rozpakowujemy. To dla nas strata czasu. – Usłyszała w odpowiedzi. – Dziewczyny, zabierzcie materiały i idziemy.

Każda wyciągnęła jakieś teczki wypełnione papierami i wszystkie zeszyły za Matyldą na dół.

– Nie żał pani czasu na takie dokładne sprzątanie? – Patrycja Miłek z lekką pogardą powiodła wzrokiem po pomieszczeniu.

– Lubię porządek – odparła urażona sołtyska.

– Nieprawda! To pani mąż lub partner lubi porządek, a pani dostosowała się do tego! – Tym razem odezwała się Hanna Zwidek. – Właśnie z takimi przekonaniem musimy walczyć! Jeżeli mężczyzna chce mieć czysto, niech sprząta sam!

Pozostałe trzy pokiwały głowami z aprobatą.

– Najgorzej jest przyzwyczaić chłopca do dobrego! – perorowała Arleta Ozór. – Przyjmuje to wtedy za normę.

– Tę wiedzę zdobyły panie z własnego doświadczenia? – Matylda siliła się na uprzejmość, choć słowa zabrzmiały nieco zgryźliwie.

– My doskonale obchodzimy się bez mężczyzn! – Usłyszała w odpowiedzi. – Jeżeli mamy tkwić w przypadkowych związkach, gdzie nie jesteśmy traktowane jak kobiety, a jedynie jak pomoce kuchenne, sprzątaczkę, kucharkę i kochankę, to dziękujemy! Mamy swój honor i odwagę! Musimy tego nauczyć kobiety na wsiach, kompletnie pozbawionych świadomości własnej kobiecości i siły. Żaden mężczyzna nie powinien nami rządzić! To, co zazwyczaj nazywamy miłością, jest mylnym przekonaniem. To kobieca uległość w związku, kuchni i łóżku! Trzeba z nią

walczyć. Od jutra zaczynamy prelekcje na ten temat tutaj, w Pobierowie. Mam nadzieję, że podbudujemy ego mieszkanek. Proszę nam wybaczyć, ale musimy zabrać się do pracy.

Matylda nie wiedziała nawet, co odpowiedzieć, dlatego bez słowa opuściła pokój. Odetchnęła w kuchni. Wcale nie czuła się niżej w swoim związku. Ona i Władysław mieli swoje role i wykonywali je bez oglądania się na siebie. Pary, gdzie kobiety nie mają prawa głosu, zostały w zamierzchłych czasach. Owszem, zdarzają się mężowie stosujący przemoc i terror, ale to wyjątkowe przypadki. I chyba do kobiet w takich związkach powinna być skierowana pomoc feministek!

Sołtycka zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, pozwalając na prelekcje i spotkania w Pobierowie. Nie miała jednak powodu, aby ich zabronić... Skoro już feministki tu przyjechały, bo dostały pieniądze z Unii Europejskiej, trzeba będzie to wykorzystać. Wykłady sobie, ale może ruszą tyłki i pomogą naprawdę potrzebującym? Matyldzie wpadł do głowy pewien pomysł. Chwyciła za telefon.

\* \* \*

Piotr z uwagą patrzył na siedzącego przed nim mężczyznę.

– Podsumujmy. Prosisz mnie, abym wraz z Dorotą zajął się twoją ciężarną żoną, bo ty musisz wyjechać na kilka dni? I takich wyjazdów będzie coraz więcej?

Michał przytaknął.

– Nie przesadzasz? Masz żonę w ostatnim trymestrze ciąży! Liczy na twoją obecność i wsparcie, a ty, zamiast go udzielić, nas o to prosisz?

– To nie tak... Chyba nie możesz tego zrozumieć. Ja duszę się w domu!

– Co za bzdury!

– Naprawdę się duszę... Nie nadaję się na głowę rodziny.

– Trzeba było myśleć o tym wcześniej! Po cholerę wracałeś do Wrocławia i wkroczyłeś w życie Aldony?

– Byłem jej potrzebny.

– Ty? Jej? Doskonale dawała sobie radę bez ciebie. Ty chciałeś czuć się jej potrzebny. I teraz, kiedy naprawdę masz ku temu okazję, bo wnet zostaniesz ojcem, szukasz wymówek, aby uciekać z domu.

– To nie ucieczki. Skazańcom także jestem potrzebny. Ja i moje dotychczasowe doświadczenie. Nawet nie wiesz, ile osób można w ten sposób naprowadzić na dobrą drogę. Ktoś kiedyś pomógł mi, teraz ja jestem winny przysługę innym.

– Swoj dług spłaciłeś już dawno – powiedział Piotr. – Twoim obowiązkiem jest być przy Aldonie. Ona potrzebuje pomocy!

– Nie zostaje przecież jej pozbawiona – tłumaczył Michał. – Moje wyjazdy będą zaledwie kilkudniowe.

– Gdy będziesz w pracy, ona będzie musiała sama opiekować się dzieckiem. Odnoszę wrażenie, że już jednym się opiekuje.

Mężczyźni patrzyli na siebie wrogo.

– Poprosiłem cię o pomoc, a nie o ocenę mojego zachowania. Jeżeli masz zamiar moralizować, to dziękuję, ale w życiu nasłuchałem się wiele. Trzeba było powiedzieć, że nie mogę na was liczyć i tyle.

– Ty rzeczywiście nie możesz na nas liczyć. – Piotr wstał z zamiarem wyjścia. Sięgnął po kurtkę. – Jednak dla Aldony i jej dziecka zrobimy wszystko. Zresztą, już robimy wiele. Szkoda, że nie ma takiego wsparcia od ciebie.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź Michała. Ten zamówił jeszcze jedno piwo i pograżył się w rozmyślaniach. Wydawało się, że dobrze zrobił, zwracając się przyjacielowi i prosząc go o pomoc. Nie miał pojęcia, dlaczego Piotr tak zareagował. Przecież będzie przy Aldonie. Może niekoniecznie fizycznie, ale duchowo zawsze może liczyć na jego wsparcie. To jest chyba nawet istotniejsze.

\* \* \*

– Jak to kompletnie uszło powietrze? – zaskoczona Zoja wpatrywała się w pojazd.

– Zobacz, ktoś zadał sobie dużo trudu. Przyszedł ze specjalnym kluczem, odkręcił nasadki, wcisnął bolec do środka i przez noc z obu przednich opon uleciało powietrze.

– Nie zostały przebite?!

– Nie. I dzięki Bogu! Wtedy mielibyśmy poważniejszy problem.

– A teraz nie mamy?

– Mamy – odparł Ryszard. – Ale mniejszy niż z przebitymi. Mogę

poprosić kogoś ze wsi o pożyczenie pompki samochodowej.

– Poczekaj, najpierw zadzwonię do Matyldy. Może Władek będzie miał.

Pół godziny później sołtyska Pobierowa parkowała przed ich domkiem. Wyciągnęła z bagażnika potrzebny sprzęt. Ryszard zajął się pompowaniem kół, a kobiety zasiadły na tarasie. Dzisiaj było znacznie chłodniej. Otuiliły kolana kocami.

– Co się właściwie wydarzyło? – spytała Matylda.

– Nie wiem. – Zoja wzruszyła ramionami. – Zbudziliśmy się i po śniadaniu mieliśmy zamiar pojechać do sklepu. Bardzo dobrze zaopatrzone jest ten mięsny w Gostyniu! Chciałam kupić trochę wędlin. Zawsze to taniej niż w Szczecinie. Podchodzimy do samochodu, a tam dwie przednie opony jak flaki. Ryszard sprawdził wszystko i mówi, że ktoś poodkręcał wentyle. To musiało stać się wieczorem, a powietrze uchodziło przez całą noc.

– Nie słyszeliście nikogo? – Matylda spojrzała zdumiona. – Nikt obcy nie kręcił się w pobliżu? Nie działo się nic zastanawiającego?

– Nie weźmiesz mnie za nawiedzoną idiotkę? – spytała Zoja. Rozmówczyni pokręciła głową. – Zatem słuchaj...

Zoja opowiedziała o wydarzeniach ostatnich dni.

– Podejrzewasz... ducha? – Matylda rozejrzała się z lekkim przestraszeniem, jakby nagle ktoś miał zmaterializować się za jej fotelem.

– Sama nie wiem, co myśleć. Dzieją się rzeczy niewytłumaczalne. W nocy nie śpimy, nasłuchując odgłosów zza okna. Niby nic strasznego, ale mam wrażenie, że ciągle ktoś chodzi po działce. Ryszard wstał i patrzył przez okno. Nie ma na posesji żadnej latarni, która oświetlałaby teren. Jesteśmy za bardzo na uboczu, aby docierała poświata z głównej drogi.

– To prawda.

– Nic zatem nie dostrzegł. Chciał wyjść na zewnątrz, ale go powstrzymałam. Wiadomo, kto tam się kręci i jakie ma zamiary? Może zwykły złodziejasek, który liczy na jakiś łup, a może... – zawiesiła głos.

– Podejrzewasz krążącego tu ducha? Wiesz, ja do tej pory brałam to wszystko za plotki. Przed dwoma laty był tu tylko sad. Potem pojawił

się nowy właściciel, który postawił ten holenderski domek. Ktoś mi opowiadał, że skarżył się sołtysowi Gostynia na nocne wizyty nieproszonych gości. Podobno kradli owoce z drzew, ruszali coś, ale nie przypominam sobie poważnego oskarżenia o kradzież. Było to jednak na tyle dokuczliwe, że właścicielom przestało się podobać przyjeżdżanie tutaj. Postanowili sprzedać ten domek za minimalną kwotę.

– I tak trafili na nas – dokończyła Zoja. – Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego na samym początku.

– Uwierzyłybyś? Zresztą, byłaś tak przekonana do tego miejsca, że nie dotarłoby do ciebie nic. Mnie traktowałabyś jak wariatkę wierzącą w plotki i niestworzone opowieści.

– To prawda. Na dodatek sama teraz je opowiadam – westchnęła Zoja.

Przypomniała sobie moment zakupu domku. Rzeczywiście, była tak do niego przekonana, że nawet wątpliwości Ryszarda na niewiele się zdały. Dla niej liczyło się tylko jego zdrowie. Odkąd przyjeżdżali do Gostynia, nadmorskie powietrze robiło swoje. Mężczyzna coraz rzadziej miewał ataki kaszlu, a wyniki odebrane od pulmonologa były naprawdę dobre. Pod tym względem zakup domku i przyjazdu tutaj się opłacały.

Ona także tu odżywała. Wdychała świeże powietrze, zapominała o pracy i trudnych klientach trafiających się ostatnio coraz częściej. Przyjemność sprawiało jej wędrowanie po okolicznych łąkach i lasach, zbieranie owoców i robienie z nich przetworów, odwiedziny w tutejszym sklepie, gdzie mogła skosztować każdej wędliny przed dokonaniem zakupu. Jakby czas się zatrzymał. Tylko ten duch... Odkąd usłyszała mrozącą krew w żyłach historię, była pewna, że coś nadprzyrodzonego chce ich stąd wypłoszyć. Zakłócili komuś spokój.

– Słucham? Co powiedziałaś? – zwróciła się do Matyldy. W zamyśleniu nie usłyszała jej słów.

– Zapraszam cię na wieczorne spotkanie do świetlicy w Pobierowie – powtórzyła sołtyska. – Organizują je feministki.

– Feministki? Co one tu robią?

– Chcą nawracać uciemienione przez mężczyzn mieszkanki Pobierowa. Przyjechały na tydzień. Dzisiaj mają pierwszą prelekcję.

– Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym się wybrała – po-

wiedziała Zoja. – Jaki jest temat spotkania?

– Bóg był kobietą.

Popatrzyły na siebie i roześmiały się głośno. Uszło z nich całe napięcie związane z nocnymi wizytami na posesji.

\* \* \*

Woźnica podniósł słuchawkę.

– Słucham! – rzucił oschłym tonem.

– Cześć, tato. Tu Leszek. – Usłyszał.

– Nie znam. Mam syna, który na chrzcie Lech dostał.

– Tato, ty znowu swoje... – Chłopak westchnął. – Jest mama?

– Nie ma. Poszła do fryzjera. Chciała zrobić fryzurę na jakieś wieczorne spotkanie w świetlicy.

– Trudno. Powiedz jej, że przyjadę dopiero na Boże Narodzenie.

Wcześniej nie dam rady wyrwać się z Poznania.

– Nawet na jeden weekend? – Antoni był zawiedziony. – Pewnie balujesz w każdy piątek i sobotę! Pamiętaj, nie prześlę ani grosza więcej! Nie będę sponsorem twojego pijaństwa i niecnych wybryków!

– O nic cię nie proszę – warknął syn. – I nigdy nie będę. Na swoje potrzeby sam zarobię. Zresztą, nie mogę przyjechać, bo dostałem całkiem dobrze płatny projekt. Będę go robił właśnie w weekendy. Planuję skończyć tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Woźnica wstrzymał powietrze. Przypomniawszy sobie ostatni doskonale płatny projekt syna.

– Co to tym razem będzie? – zapytał zbolalym, cichym głosem.

– Mam urządzić wnętrza kilku mieszkań w nowej kamienicy w centrum Poznania. Niedaleko akademika. Taki awangardowy pomysł – rzucił obojętnie.

Usłyszał, jak ojciec odetchnął z ulgą.

– Pamiętaj, że tacy nowobogaccy są najgorsi. Dorobili się na nie wiadomo czym i myślą, że rozumiemy pozjadali. Oby cię nie wycwanili!

– Daj spokój, tato. Dostałem niezłą zaliczkę, więc nie narzekam. Pozdrów mamę ode mnie. Melanię podrap za uchem. – Woźnica wzdrygnął się, gdy usłyszał ostatnie polecenie. – Zadzwoń za kilka dni.

Leszek się rozłączył. Odłożył telefon na szafkę i odwrócił do leżą-

cej na łóżku osoby.

– Nie powiedziałaś, że na Święta przyjedziemy razem?

– Jeszcze nie. Mamy nie było. Powiem jej podczas kolejnej rozmowy.

– Myślisz, że będzie miała coś przeciwko temu?

Wzruszył ramionami.

– Nie sędzę. Mam swoje lata i mam prawo chcieć układać swoje życie. Powinni się cieszyć, że ciebie mam. Że kocham i jestem kochany.

Wtulił się w ciepłe plecy. Nie miał ochoty jeszcze wstawać z łóżka. Może odpuszczą sobie dzisiejsze wykłady.

\* \* \*

Wiejska świetlica pękała w szwach. Bardzo rzadko dzieje się tu coś poza sezonem, więc spotkanie organizowane przez feministki przyciągnęło tłumy chętnych. Nie tylko kobiet. Pojawili się także mężczyźni. Z Matyldą przyszedł Władysław, z Zoją – Ryszard, parę innych mieszkanek także przyciągnęło swoich mężów. Szmer przeszedł, gdy do świetlicy wszedł Antoni Woźnica z Barbarą niosącą na rękach Melanię. Miał kpiący uśmieszek na twarzy. Rzeczywiście, siedł na spotkanie z myślą, że poprawi sobie nastrój wyżyciem się na tych babach. Jak każdy szanujący się patriota i nacjonalista, święcie wierzył w tradycyjny podział ról i obowiązków. Rozsiadł się zatem w pierwszym rzędzie, tuż obok żony.

– Przesuń się trochę – zażądała. – Tłamsisz Melanię. Ona potrzebuje przestrzeni.

Zerknął wrogo na kotkę, która zdawała się rzucać mu kpiące spojrzenie i posłusznie odsunął się. Nie będzie ryzykował kolejnego podrapania.

Przed publicznością stał długi stół. To do niego podeszły cztery kobiety. Antoni mało nie roześmiał się na ich widok. No tak, typowe feministki. Zero kobiecości i wybujałe ego na temat własnej wartości. Krótka przedstawiła je sołtyska Pobierowa. Jedna z pań wyszła na środek i zaczęła przemawiać. Opowiadała o idei, jaka im przyświeca. Woźnica ziewał po pięciu minutach.

– Cieszę się, że tak wielu mężczyzn jest tutaj – mówiła Arleta Ozór. – Widać, że przyszli po to, aby zrozumieć własne żony i partnerki.

Antoni łypnął okiem na Barbarę, która patrzyła w cztery prelegentki jak urzeczona.

– Temat dzisiejszej dyskusji brzmi „Bóg jest kobietą”. Nie możemy pojąć, dlaczego był on do tej pory wyobrażany jako mężczyzna. Przecież tak fantastyczne cechy charakteru mogła posiadać tylko kobieta! Będziemy podważać tę tezę krok po kroku, aż sami państwo się przekonacie, ile miliardów ludzkich istnień tkwiło w błędzie przez tysiące lat!

Woźnica nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Barbara zgromiła go wzrokiem. Za późno. Arleta Ozór także to dostrzegła.

– Widzę, że mamy pana, któremu zrobiło się wesoło – powiedziała, podchodząc do Antoniego. – Jaką rolę ma pan w domu? Męża czy samca?

Obecni w świetlicy popatrzyli z zainteresowaniem na Woźnicę.

– A czy to jakaś różnica? – zapytał spokojnie.

– Dla pana może nie, ale dla pana żony, owszem. Zresztą, zrobimy prosty test. W jakiej pozycji pan sika?

– Słucham?

– Jak pan sika? Na siedząco czy na stojąco? – rozwinęła swoje pytanie.

– Od wieków mężczyźni oddają mocz na stojąco! – zirytował się Antoni. – Co za głupie pytanie!

– Oddawali, gdy nie było toalet – skwitowała Arleta Ozór. – Proszę państwa, oto mamy przykład bezmyślnego męskiego samca, który w domu, zapewne mając do dyspozycji ładną toaletę, oddaje się sikaniu na stojąco.

– I co z tego? – Nerwowość Woźnicy rosła, a twarz przybierała kolor buraczkowy.

– Kto sprząta łazienkę? Żona?

Zanim odpowiedział, z miejsca podniosła się Barbara.

– Tak, ja sprzątam – zwróciła się do Arlety Ozór. – I dobrze, że zaczęła pani ten temat. Chciałabym wiedzieć, czym można zmyć taki zaschnięty mocz na kafelkach? Przyznam się, że sprzątam łazienkę raz w tygodniu i te siki zdążą już dobrze przywrzeć. Ciężko schodzą. Próbo- wałam mocniejszych środków, ale niszczę nimi dłonie. Poza tym wystar-



czy, że mąż uda się do toalety zaraz po wykonaniu przeze mnie generalnych porządków. Wysika się, mocz tryska, gdzie popadnie, a potem wszystko śmierdzi. Gorzej z nim niż z kotem! Po Melanii wyniosę zwierek, ale po Antonim?!

Zanim skończyła mówić, ludzie siedzący w sali zwijali się ze śmiechu. Woźnica najchętniej zaszyłby się w mysią dziurę.

– Wyjścia są dwa. – Arleta Ozór odwróciła się do koleżanek. – Patrycjjo! Ty chyba miałaś podobny problem, prawda? Powiedz państwu, jak go rozwiązałaś!

– Do czyszczenia używałam Mocznik Stop!, ale rzeczywiście, za bardzo zżerał ręce. Z kafelków poschodził też wzorek kwiatowy, a mieliśmy wyjątkowe i drogie płytki. Ten sposób nie zadziałał. Poskutkował za to drugi. Zagroziłam rozwodem.

Ludzie po raz kolejny wybuchli śmiechem. Jedynie Antoni siedział czerwony i pochmurny.

– Przepraszam, że się wtrączę! – Z głębi sali odezwał się Władysław. – Czy nie można po prostu poprosić pana Woźnicę, aby siadał na sedesie? Pani Barbaro, nie musi pani od razu się rozwodzić!

Kobieta wydawała się zadowolona z podsuniętego rozwiązania.

– Wójt ma rację, Antoni! To co, będziesz siadał na desce? To rozwiązałoby problem. Ja nie musiałabym wdychać nieprzyjemnego zapachu i sprzątać mogłabym nieco rzadziej.

Mieszkańcy pokładali się ze śmiechu, jednak Barbara zdawała się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

– To jak, zgadzasz się? Będziesz siadał na sedesie? – Była nieugięta.

Tego Antoni już nie mógł dłużej znieść. Przy wtórze kpin i ogólnej wesołości, wściekły na żonę i feministki, opuścił salę.

Wykład na temat nauczania mężczyzn siadania na desce klozetowej zamiast sikania na stojąco ciągnął się jeszcze długo. Tego wieczora mieszkańcy Pobierowa wracali ze świetlicy do domów w doskonałych humorach. Tylko Matylda zastanawiała się, co powiedzą jej wczasowiczki na jutrzejsze spotkanie, które zaplanowała.

\* \* \*



– Panie wójcie, telefon z województwa do pana. – Władysław usłyszał poważny głos sekretarki. – Mam łączyć?

– Naturalnie!

Chwilę później w słuchawce odezwał się głos Bartłomieja Rosickiego, wojewody. Po krótkiej wymianie uprzejmości przeszedł do rzeczy.

– Panie Matuszewski, co tam u was się dzieje? Co chwilę dostajemy jakieś pisma, że trzeba skontrolować gminę, wójta i wszystko, co z wami związane!

– Mamy takiego aktywnego mieszkańca, który koniecznie chce uprzyjemnić nam życie – odparł sarkastycznie Władysław.

– Nie tylko wam. U nas skarżą się i naczelnicy działów, i poszczególni urzędnicy. Otrzymują skargi na waszą opieszałość i wezwania do kontroli całej gminy. Czy ten – zrobił pauzę, aby odczytać nazwisko zapisane na kartce – Antoni Woźnica ma wszystko dobrze z głową? Może to byłoby powodem jego zachowania?

– Nie mam zielonego pojęcia, panie wojewodo. Co mam zrobić? Pójść do jego żony i przepytąć z przebytych chorób? A może wprost poprosić o żółte papiery? – Wójt zirytował się nieco.

– Ma pan rację, to głupie... Cóż, pod koniec tygodnia będzie wysłana delegacja z urzędu, aby skontrolować trochę dokumentów, *pro forma* naturalnie. Napisze się potem na odczepnego jakieś wnioski i wyśle do tego Woźnicy. Mamy szczęście, że opozycja polityczna nie zwerbowała tego aktywisty w swoje szeregi. Mogliby mocno podważyć zaufanie do pana w gminie.

Pożegnali się. Władysław siedział w ciszy i rozmyślał o słowach wojewody. Jego kolega się mylił. Zaufanie do wójta już było podważone. Po wczorajszym spotkaniu w świetlicy podszedł do niego stary Kucharz. Szanował tego człowieka od zawsze, był jednym z najstarszych mieszkańców gminy.

– Wstyd, panie wójcie – zaczął drżącym głosem, a dłonie zacisnął na drewnianej lasce. – Głosowałem na pana za każdym razem, ufałem jak synowi, a tu o takim świństwie się dowiaduję!

– O czym pan mówi, panie Kucharz? – Matuszewski zatrzymał się zaskoczony.

– O remoncie ulicy Orzeszkowej! Zabrakło asfaltu na wylanie końcówki, bo zażyczył pan sobie, aby zrobić mu podjazd!

Władysław nie wiedział, co powiedzieć. Było to tak absurdalne pomówienie, że należało machnąć ręką i pójść sobie. Niestety, wokół nich przystawali inni mieszkańcy i słuchali.

– A teraz słyszymy, że w Pobierowie ma powstać suszarnia odpadów. Nie zamierzał pan tego ogłosić publicznie? Pokątnie musimy się dowiadywać? – Stary Kucharz nie musiał wskazywać osoby, od której uzyskał owe informacje. Triumfujący uśmiezek stojącego obok Antoniego Woźnicy, wcześniej upokorzonego przez feministki, aż kłuł w oczy. – Nie spodziewałem się tego po panu. – Staruszek pokręcił głową i nie oglądając się na wójta, powoli odszedł.

Właśnie o tej scenie rozmyślał Władysław chwilę po telefonie wojewody. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Nie upublicznił jeszcze informacji o tym, że konieczna będzie kolejna kosztowna inwestycja. Od przyszłego roku wchodzi w życie nowa ustawa o ochronie środowiska. Gmina nie ma funduszy na jakąś ogromną budowę, a Matuszewski też nie zamierzał dodatkowo jej zadłużać. Dopiero pospłacali pożyczki. Konsultował zatem projekty tańsze, porównywał oferty i zasięgał zdania ekspertów, którzy potwierdzili jedną rzecz: nie ma gwarancji całkowitego pozbycia się smrodu z suszarni odpadów.

Władysław wiedział, że to będzie jedna z najtrudniejszych decyzji w jego karierze. Chciał jak najlepiej przygotować się do spotkania z mieszkańcami, dlatego w urzędzie powołał niewielką grupę lojalnych osób, odpowiedzialnych za tę sprawę. Nie powinna jeszcze ujrzeć światła dziennego. Celowo była ukryta pod projektem o nazwie „Przebudowa ulicy Bursztynowej”, aby nikt postronny nie miał do niej wglądu.

Zastanawiał się, kto mógł wynieść poufne informacje z urzędu. Do każdego z ludzi wybranych do tej sprawy miał stuprocentowe zaufanie. Jednak Antoni Woźnica w jakiś sposób dowiedział się o wszystkim. I to teraz, kiedy czeka jeszcze na raporty pomiaru zanieczyszczenia powietrza w gminach, w których takie oczyszczalnie istnieją! Bez tego nie może stanąć przed mieszkańcami. Co im powie? Może będzie śmierdziało, a może nie? Pobierowo do tej pory było kojarzone z czystą plażą i fantastycznym powietrzem. Jak będzie po wykonaniu inwestycji?

Gdy pomyślał, że stanie się wrogiem numer jeden mieszkańców, znowu zaczęła łapać go duszność. Sięgnął po tabletkę i poluzował krawat.

\* \* \*

Aldona zerknęła na zegarek. Michał powinien być już przed kwadransem. Jeżeli nie wyjadą natychmiast, spóźnią się na umówioną wizytę u ginekologa. Poprzednim razem jechała sama, gdyż w ostatniej chwili proboszcz poprosił go o pomoc w zawiezieniu rzeczy potrzebującym. Tłukła się więc kilkoma autobusami, aby dojechać do przychodni. Była zmęczona i zawiedziona. Odnosiła wrażenie, że każdy biedak i bezdomny jest ważniejszy od niej. To nie była zazdrość, ale żal, że Michał w taki sposób nie troszczy się o nią, bliską sobie osobę.

– Jesteś silna, dasz sobie radę – powtarzał, choć ostatnio brzmiało to smutno.

Kiedyś był dumny z jej samodzielności i zaradności, której nie utraciła mimo kalectwa. Imponowała mu, że radzi sobie sama ze wszystkim, potrafi załatwić wiele rzeczy i nie narzeka na zmęczenie. Żaliłaby się, gdyby zapytał. Powiedziała by o trudzie poruszania się z protezą i coraz większym brzuchem, o problemach z doniesieniem zakupów do domu, posprzątaniem mieszkania... Ale nie pytał. To było najsmutniejsze. Od tygodni nie zainteresował się, czy jej w czymś pomóc, czy coś załatwić, przywieźć, zawieźć, wykonać za nią. Przyzwyczała go, że sama wszystko robi, a on będzie miał czas na bycie dobrym.

Westchnęła, raz jeszcze zerkając na zegarek. Pół godziny temu miał po nią być. Już nie przyjedzie, pomyślała zrezygnowana. Wzięła przygotowany wcześniej plecak, włożyła kurtkę i wyszła. Akurat lunął deszcz. Zanim doszła do przystanku, była całkowicie przemoczona. But założony na protezę zsuwał się niebezpiecznie. Jeszcze chwila i spadnie. W ostatniej chwili stanęła pod wiatą, nim zsunął się całkowicie. Ludzie wydawali się jej nie dostrzegać. Nikt nie ustąpił miejsca na ławce. Musiała więc na stojąco zakładać but z powrotem. Nadjechał autobus, do którego weszła jako ostatnia. Ściśnięta przez innych pasażerów starała się chronić wystający brzuch. Przymknęła oczy i oddychała głęboko. Zamknięte okna nie wpuszczały świeżego powietrza do autobusu przesiąk-

niętego zapachem wilgotnych kurtek. Droga na ulicę Wilczą dłużyła się niemiłosiernie.

Dwadzieścia minut później wchodziła do poradni ginekologicznej.

– Pani termin minął dwie pacjentki wcześniej. – Wiekowa rejestratorka obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem znad okularów.

– Przepraszam za spóźnienie – kajała się Aldona. – Dwa autobusy mi uciekły. Musiałam czekać na kolejne.

– Nie mogę zaburzyć rytmu kolejki. – Pielęgniarka wskazała poczekalnię, w której siedziało osiem ciężarnych kobiet. – Przykro mi, ale jeżeli chce być pani dzisiaj przyjęta, musi pani poczekać do ostatniego pacjenta. Może to potrwać nawet trzy godziny.

– Trudno. Skoro nawaliłam, muszę ponieść konsekwencje.

Usiadła w samym rogu poczekalni. Znowu wezbrała w niej złość na Michała! Gdyby przyjechał po nią o umówionej godzinie, nie byłoby tego wszystkiego. Zapewne usiłuje teraz dodzwonić się do niej. Wyciągnęła telefon z plecaka. Przed wyjściem z domu wyciszyła dzwonek. O dziwo ekran był pusty. Nie dostrzegła żadnej wiadomości, żadnej próby kontaktu czy wyjaśnienia spóźnienia. Rozżalona wyłączyła komórkę całkowicie. Oparła głowę o ścianę, przy której siedziała i nie wiedzieć kiedy, zapadła w sen. Wtedy znowu je usłyszała. Niemowlę płakało przeraźliwie. Z daleka widziała drewniane łóżeczko. Zbliżyła się, aby jak najszybciej wziąć maleństwo na ręce. Pochylała się i... nie było dziecka! W uszach dźwięczał tylko rozdzierający płacz. Rozglądała się po pokoju, mając nadzieję, że może jakimś cudem znalazło się w innym miejscu, jednak w małym pokoiku nikogo poza nią nie było. Czuła, jak łzy lecą jej po policzkach.

– Proszę pani! Proszę pani! Wszystko w porządku? – Nad Aldoną pochylała się rejestratorka.

Ciężarna otworzyła oczy szeroko, uzmysławiając sobie, gdzie jest. Z ulgą stwierdziła, że to był tylko sen. Potarła dłonią po mokrych policzkach.

– Przepraszam, przysnęłam na chwilę – powiedziała zażenowana.

– To musiał być straszny sen – stwierdziła pielęgniarka. – Krzyczała pani tak głośno, że chyba w sąsiednim gabinecie słyszeli.

– Przepraszam... – powtórzyła.

– Doktor czeka.

Aldona z ledwością dźwignęła się z krzesła. Drzemka w niewygodnej pozycji zrobiła swoje. Bolały ją plecy, zeszywniał kark i chwycił skurcz w nodze. Z trudem dotarła do pokoju lekarskiego.

– Dzisiaj tylko USG – powiedział ginekolog, widząc, że pacjentka próbuje się rozebrać. – Proszę się położyć.

Po chwili przesunął zimną i moką głowicą po jej dużym brzuchu. Na ekranie widać było ruszające się dziecko. Machało rączką, jakby chciało przywitać się z mamą.

– Z maleństwem wszystko dobrze. – Lekarz sprawdzał jeszcze parametry wzrostowe i poziom wód. – Ustawilo się już główką do dołu. Prawdopodobnie nie zmieni pozycji do porodu. – Te słowa poprawiły Aldonie nastrój. Bardzo zależało jej, aby rodzić w naturalny sposób. – Jeszcze tylko sprawdzę łożysko. – Doktor przesunął głowicę.

Z uwagą przyglądał się ekranowi. Jedno miejsce szczególnie przykuło jego uwagę. Podniósł nawet okulary, aby lepiej widzieć. Po chwili pomyślał, że tylko mu się zdawało i stwierdził:

– Wydaje się wszystko w porządku. – Westchnął i pomyślał, że ma już dosyć pracy na dzisiaj, a zmęczenie powoduje omamy wzrokowe.

– Dziękuję, może pani wytrzeć brzuch. – Podał Aldonie kawałek papierowego ręcznika. Przez chwilę zastanawiał się, czy odnotować coś w dokumentach. Zrezygnował jednak z tego zamiaru. Pacjentka nie skarżyła się na nic, opuchnięta także nie była. – Widzimy się za tydzień na kolejnym kontrolnym badaniu. – Podał jej książeczkę ciąży.

Wracała do domu w strugach deszczu. Wyprawa do lekarza, która z pomocą Michała mogła trwać najwyżej godzinę, przeciągnęła się do pięciu! Co za duży dzieciak! A gdyby maleństwo było na świecie i potrzebowałyby jego pomocy? To co? Też by się nie zjawił? Wie doskonale, że Aldona nie ma prawa jazdy. Bała się zrobić je z protezą zamiast nogi. Ale jak widać, na pomoc ukochanego liczyć nie może. Będzie musiała poważnie z nim porozmawiać. Na pewno jest już w domu.

Pół godziny później przekraczała próg mieszkania. Nikogo tam jednak nie było. Włączyła telefon. Nadal żadnej wiadomości ani próby połączenia. Postanowiła sama zadzwonić.

– Witaj, kochanie! Coś ważnego? Bo zajęty jestem. – Odebrał po

ósmym sygnale, a w jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

– Gdzie ty jesteś? Miałeś przyjechać o jedenastej i zawieźć mnie do lekarza.

Cisza w słuchawce wskazywała na to, że zapomniał o obietnicy.

– Pojechałem do zakładu karnego, w którym mam mieć spotkania ze skazanymi – tłumaczył.

– Przecież masz tam być dopiero za kilka dni!

Nie potrafił powiedzieć, na czym polegał przymus pojechania już dzisiaj. Po prostu musiał. Właśnie wyszedł z rozmowy z jednym więźniem. Mężczyzna płakał, słuchając, że Michał wierzy w jego zmianę. Zaczął opowiadać o tym Aldonie, ale nie spotkał się ze zrozumieniem.

– Co mnie obchodzą łzy faceta, który za głupotę trafił za kratki? – zirytowała się. – Wracajmy do sedna! Obiecałeś, że zawieziesz mnie dzisiaj do przychodni i będziesz towarzyszył podczas wizyty. Nie dotrzymałeś słowa. Po raz kolejny w ciągu ostatnich tygodni.

– Jak cię znam, dałaś sobie radę sama. Jesteś silną kobietą – powiedział.

Zaniemówiła. Do tej pory nie usłyszała słowa „przepraszam”. Ton głosu Michała sugerował irytację z tego tylko powodu, że śmie zakłócać mu próbę zbawienia i naprawy świata! Jakby bez niego nie mogło się to odbyć! Jest niezastąpiony!

Irytacja... Nie powinno odczuwać się jej, będąc w związku z mężczyzną, którego się kocha.

– Kiedy wrócisz? – westchnęła.

Milczał.

– Aha, czyli nie wiesz – dopowiedziała za niego. – Nie wiem, czy mam ochotę żyć w ciągłej niepewności. Nie na tym polega związek. Ale chyba to nie jest rozmowa na telefon. Musimy ustalić jakieś zasady. Proszę, abyś przyjechał jak najszybciej. Czas poważnie porozmawiać i stworzyć ramy naszego funkcjonowania jako rodziny.

Rozłączyła się, nie dając mu dojść do głosu. Może nawet nie zamierzała nic mówić i niczego tłumaczyć.

\* \* \*

– Na pewno nie chcesz wracać? – Zoja spojrzała na Ryszarda z nie-



pokojem.

– Nie muszę. To ty jesteś wezwana.

Rzeczywiście, dzisiejszego poranka dostała niespodziewany telefon od szefowej. Ula, koleżanka z pracy, nagle się rozchorowała i potrzebne było zastępstwo. Właścicielka apteki nie chciała na tych kilka dni szukać kogoś obcego i przygotowywać go od początku. Przeprosiła, że zakłóca urlop i przedstawiła całą sytuację. Zoja obiecała, że wróci jak najszybciej, a jutro stawi się w aptecce przed ósmą.

Początkowo chciała, aby Ryszard ją zawiózł do domu, ale gdy zakłopotany przyznał, że nie jest pewny samochodu i wolałby zostać, aż sprawdzi go w warsztacie, zgodziła się, choć niechętnie. Wolałaby, aby jechali razem. Nie chciała zostawiać mężczyzny samego.

– Dzisiaj wstawię go do warsztatu w Gostyniu. Zrobią wstępny przegląd, sprawdzą raz jeszcze te koła – tłumaczył. – Na pewno wyjdzie nas to taniej niż w Szczecinie.

Co racja, to racja, pomyślała. Spakowała do torby kilka rzeczy. Resztę przywiezie Ryszard, gdy będzie wracał.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Z czym? Z samochodem? Jasne! – odparł, patrząc na nią zaskoczony.

– Nie o to pytałam...

– Moja kochana! – Przytulił Zoję. – Nie zaprzataj sobie główki żadnym duchem. Jedź i ciesz się kilkoma dniami beze mnie.

Odprowadził ją na przystanek. Wsiadała jako jedyna do prawie pustego autobusu. Szczęście, że poza sezonem cokolwiek kursowało w stronę Szczecina. Pomachał jej i powoli ruszył w stronę domku. Dzisiejszy dzień nie był już taki ładny. Wiało od rana. Jabłonka gubiła ostatnie liście. Słońce nie wyszło w ogóle. Była dwunasta, a miał wrażenie, jakby zaraz miała nastać noc. Niebo było pokryte grubą warstwą chmur. Dzień wcześniej słyszał ostrzeżenia o wichurze, która miała nadejść. Podobno listopadowe sztormy były tutaj najgroźniejsze.

Obszedł domek dookoła, próbując zabezpieczyć to, co mogłoby ulec zniszczeniu wskutek szalejącego wiatru. Niewiele tego było. Sprawdził folię, którą założył na tarasowych drewnianych meblach. Była dobrze przywiązana.

Wszedł do kuchenki i zrobił sobie kawę. Wyciągnął z lodówki kawałek ciasta, które Zoja zostawiła dla niego. Codziennie piekła jabłecznik. Jadł i słuchał odgłosów narastającej wichury. Nie włączył ani radia, ani małego telewizora. Wsłuchiwał się w naturę, groźnie grzmącą na zewnątrz. Kwadrans później ubrał się, wszedł do samochodu i ruszył do jedynej w Gostyniu warsztatu. Był umówiony na określoną godzinę, jednak gdy zbliżył się do właściciela, czekała go niemiła niespodzianka.

– Przykro mi. Bogaty klient miał wypadek w okolicy Pobierowa. Płaci każdą sumę, aby samochód zrobić mu jak najszybciej. Zwołałem wszystkich swoich pracowników. Jeżeli nic się nie wydarzy, to do jutra rana skończymy.

Ryszard nie był zadowolony, a mężczyzna tylko wzruszył ramionami.

– Biznes jest biznesem. Niech pan zostawi swój samochód. Zerkniemy do niego w wolnej chwili. Na pewno nie będzie to od razu. Jutro do pana zadzwonię i odbierze go pan sobie.

Zgodził się. Auto nie było mu dzisiaj do niczego potrzebne. Nie przewidział jednak wędrówki na piechotę. Był pewien, że przejazd potrwa najwyżej dwie godziny i wróci samochodem do domu. Teraz czekała go pięciokilometrowa wędrówka z końca Gostynia aż do ich posesji położonej praktycznie w polu. Wiatr przybierał na sile, do tego zaczęły padać pierwsze krople zimnego deszczu. Miał na sobie kurtkę, ale bez kaptura. Kompletnie nie przygotował się na pieszy powrót.

Myśl, aby wracać lasem, pojawiła się nagle. Po co ma robić duży łuk główną drogą, jeśli może ją sobie skrócić? Pod drzewami nie będzie tak mocno odczuwał ani wichury, ani deszczu. Przebiegł więc spory kawałek na przełaj, przez łąkę, aby po chwili znaleźć się w gąszczu drzew. Tu praktycznie panował już mrok. Konary nachodziły na siebie, tworząc zwartą i nieprzepuszczającą światła zaporę. Zastanawiał się, czy idzie w dobrym kierunku. Ich domek powinien być na północy. Musi więc iść w stronę morza, czyli w kierunku, z którego wiał teraz wiatr. Popatrzył na konary drzew i ruszył.

Było słychać stłumione wycie. Deszcz nie padał tak rześście, jak na otwartej przestrzeni. Ryszard szedł, potykając się o gałęzie, których nie mógł dostrzec. Buty nasiąkały wilgocią. W duchu zganił się za po-

mysł skrócenia sobie trasy. Może gdyby wracał główną drogą, ktoś by się zatrzymał i go podwiózł? Pewnie już dawno siedziałby z kubkiem herbaty w dłoniach! Jednak był już prawie w środku lasu i nie opłacało się wracać.

Światelko wyłoniło się nagle. Po prostu wyszedł z za drzewa, podniósł schyloną głowę i znalazł się nad grobem Niemca, jakby nogi same go tu przywiodły. Zadrżał, mając nadzieję, że to z zimna. Rozejrzał się niepewnie. Co innego oglądać to wszystko w środku słonecznego dnia, a co innego teraz. Nie chciał nawet zastanawiać się, w jaki sposób znicz pojawił się tutaj ponownie. Duch zmarłego – przypomniawszy sobie słowa młodej sprzedawczynie. Znowu ciarki przebiegły mu po plecach. Nie wiedząc dlaczego, błyskawicznie zrobił znak krzyża i ruszył dalej.

Wichura przybierała na sile coraz mocniej. W lesie słychać było już dudnienie i zawodzenie wiatru. Ryszard odetchnął, gdy wyszedł na otwartą przestrzeń. Jednak nie na długo. Podmuchy uderzyły w niego ze zdwojoną mocą. Nie pozwalały pójść naprzód, nakazywały zawracać, położyć się i przeczekać. Tu rządziła natura, a nie marny człowiek. Pomimo przeciwności z trudem posuwał się naprzód, bardzo powoli prac przed siebie. Prawie nic nie widział. Deszcz siarczyście zacinał z boku. Dopiero krótko przed domkiem dostrzegł jego kontury. To dodało mu sił. Od celu dzieliło go może dwieście metrów, gdy wiatr dmuchnął tak mocno, że prawie przewrócił Ryszarda na ziemię. Usłyszał głośny trzask i huk. Odczekał, aż krytyczny moment przejdzie i ruszył dalej. Po chwili był już u siebie.

Od razu zauważył, co się stało. Wiekowa jabłoń leżała powalona. Złamana została w połowie pnia, upadając najpiękniejszymi konarami na ziemię. Nie chciał do niej podchodzić, marząc o dostaniu się do środka i o gorącej herbacie w ciepłym domu. W ostatniej chwili ciekawość jednak zwyciężyła. Powoli zbliżał się do powalonego drzewa. Nagle stanął jak wryty. Niedaleko, w trawie, leżał palący się znicz. A przecież gdy wyjeżdżał do warsztatu, nie było go tutaj. Był tego pewny.

– O, mój Boże! – krzyknął sam do siebie, zaglądając pod konary jabłoni.

Pod nimi leżał człowiek. Nie ruszał się.

\* \* \*

– Dokąd zabiera nas pani w taką pogodę? – Cztery Gracje Pomorza patrzyły na Matyldę szeroko otwartymi oczami. Za oknem rozpętała się wichura, jakiej jeszcze nie widziały, a ta zmuszała je do wyjścia! – Myślałyśmy, że dzisiaj mamy wolne. Umówiła pani jakieś spotkanie?

Nie wyglądały na zachwycone. Miały ochotę posiedzieć dzisiaj po południu przy winie oraz chipsach i narzekać na cały męski ród. Niestety, pani sołtys pokrzyżowała ich plany.

– Jedziemy tam, gdzie na pewno przyda się wasza feministyczna pomoc – powiedziała Matylda. – Pojedziemy do Gostynia. To siedem kilometrów od Pobierowa. Odwiedzimy pewną panią.

– Czy nie mogła przybyć na wczorajsze spotkanie? – spytała zirytowana Arleta Ozór.

– Nie miała z kim zostawić dziecka. – Sołtyska nie patrzyła żadnej z nich w oczy. Krzątała się po pokoju.

– A mąż?

– Coś mu wypadło.

– Pewnie alkoholik – westchnęła Patrycja Miłek. – Miałyśmy rację z tą naszą akcją.

– Trzeba uzmysławiać kobietom, że ich los nie jest zależny od mężczyzny! – grzmiała Hanna Zwidek.

Matylda w milczeniu prowadziła samochód, pozwalając paniom pomstować na mężczyzn na czym świat stoi. Wichura szalała na zewnątrz. Sołtyska prowadziła samochód ostrożnie, jechała wolniej i dłużej niż zwykle. Po dwudziestu minutach wjechały na zaniedbane podwórze. Z rozlatującego się komina wydobywał się dym, jedyna oznaka życia. Wszystko dookoła sprawiało ponure wrażenie. Płot rozlatywał się, altanka była rozebrana do połowy, w kącie podwórza znajdowało się małe złomowisko.

– Niby facet jest, ale nie widać tu męskiej ręki – stwierdziła Arleta Ozór. – Nie widzę walających się butelek. Pewnie sprzedaje je w sklepie i kupuje kolejne jabole.

Matyldzie cisnęło się wiele słów na usta, ale powstrzymała je. Poczekała, aż wszystkie wysiądą z samochodu.

– Proszę, wchodzimy. – Pchnęła stare drzwi. Za nimi rozpościerała

się przybudówka. Śmierdziało w niej okropnie. Każda z Gracji wykrzywiła usta i zatkała nos.

– Jakby zwierzę tu padło – powiedziała Bogna Mazur.

Niezrażona Matyllda prowadziła je dalej. Minęły korytarz, aby po chwili znaleźć się w zaniedbanej kuchni. Jedynym sympatycznym akcentem był tu ogień buzujący pod kuchnią.

– Moja babcia taką miała – szepnęła Arleta Ozór, wpatrując się w ciepłe płomienie.

– Kasiu, jesteśmy! – Sołtyska zajrzała do pokoju przylegającego do kuchni.

Po chwili wyszła z niego młoda kobieta. Szczupła, z krótko obciętych rudymi włosami. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, chociaż zmęczone oczy sugerowały co innego.

– To Kasia, a to feministki z organizacji Gracje Pomorza. – Matyllda przedstawiła wszystkie obecne.

– Feministki? – spytała dziewczyna.

– Wiem, co pani sobie myśli – zaczęła Patrycja Miłek. – Przyjechaliśmy tu, aby pani pomóc. Proszę powiedzieć, jakie problemy ma pani z partnerem, a my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby nigdy więcej nie miała pani kłopotów z tym mężczyzną!

– Pomożemy znaleźć nowe mieszkanie, pracę, perspektywy – wymieniała Arleta Ozór. – Przecież kobiety muszą się wspierać! Żadna z nas nie jest zależna od jakiegokolwiek pana!

– Tak! Naszym celem jest dążyć do tego, aby wszystkie kobiety miały rozdzielność majątkową, własne konto i możliwość pójścia do pracy, tak chętnie blokowaną przez szowinistycznych mężów!

– Proszę opowiedzieć o swoich problemach. – Bogna Mazur wyciągnęła notes i długopis. Była gotowa do notowania szczegółów.

Kasia się roześmiała:

– Wy tak na poważnie?

– Jak najbardziej – odparła Hanna Zwidek z pełnym przekonaniem.

– Naszym celem jest uzmysławiać kobietom, że mają prawa, a nie tylko obowiązki. Nie chcą zajmować się domem – nie muszą! Chcą pracować w męskich zawodach – proszę bardzo! Mają prawo do takich samych zarobków i przywilejów!

– A pani pomożemy z tym wiarołomnym chłopem! Pogonimy go i już nigdy ręki nie podniesie! Załatwimy wysokie alimenty na dzieci, napiszemy odpowiednie pisma i...

– Dość! – Stanowczy głos Matyldy sprawił, że wszystkie spojrzały na nią zaskoczone. – Kasiu, pozwól, że ja wszystko opowiem.

Panie usiadły na zniszczonych krzesłach wokół stołu.

– Dziesięć lat temu w Gostyniu pojawiła się feministka starająca się nawracać kobiety. Szczególnie młode dziewczyny wkraczające w dorosłość.

– Miałam wtedy czternaście lat – dodała Kasia.

Gracje pokiwały głowami z aprobatą.

– To najlepszy wiek na wprowadzanie w arkana feminizmu – dodała Arleta Ozór.

– Dla kilku dziewcząt, szczególnie w takiej wsi, jak Gostyń, stała się swoistym guru – kontynuowała Matylda. – Zwierzały się jej ze swoich problemów rodzinnych, z dorastania, opowiadały o chłopcach.

Feministki były zachwycone koleżanką.

– Owa pani zabrała je nawet do ginekologa, aby urządzić lekcję na temat seksu. Każda wróciła do domu z tabletkami antykoncepcyjnymi. Przecież to normalne, że czternastolatki uprawiają seks. – Gracje niezownie skinęły głowami, choć z mniejszym niż dotychczas zapalem. – Skoro miały już zabezpieczenie, to mogły odważyć się na nieco więcej w kontaktach z mężczyznami – ciągnęła sołtyska. – Niestety, ich rodzice nie byli tak wyrozumiali i nie pozwalali na bezceństwa pod swoim dachem. Gdy o wszystkim dowiedziała się pani feministka, zaczęła używać swojego mieszkania na... młodzieńczą miłość. „Wszak młodzież ma prawo do seksu”, tak mówiła. Zgadza się, panie? – Wszystkie cztery wpatrywały się nieruchomo w Matyldę. Czekwały na ciąg dalszy. – Z tego przywileju skorzystała także Kasia. Do tej pory nie wiadomo, czy zapomniała wziąć tabletkę, czy nie zadziałały, bo po kilku miesiącach okazało się, że dziewczyna jest w ciąży. Zorientowała się dość późno. Był akurat drugi trymestr, piąty miesiąc. Rodzice Kasi wpadli w szal! Uważali, że skoro do wszystkiego przyłożyła rękę pani feministka, to ona powinna znaleźć rozwiązanie. Zaproponowała aborcję, ale pomysł natychmiast odrzucono. Kasia musiała donosić ciążę. Urodziła synka.

Proszę, popatrzcie na niego.

Udały się do pokoju obok kuchni. Stało tam ogromne łóżko, a na nim leżało duże dziecko.

– To Michaś – przedstawiła go Kasia. – Ma prawie dziesięć lat. Urodziłam go jako piętnastolatka. Nie wiedziałam, że jestem w ciąży, więc za dobrymi radami feministki korzystałam z życia. Bo przecież należało mi się! Chodziłam na dyskoteki, paliłam, piłam sporo, przyprawiając rodziców niemalże o zawał serca. Gdy okazało się, że noszę w sobie dziecko, padła propozycja aborcji. Było za późno, poza tym... nie miałabym serca. Do tego chłopak, z którym zaszłam w ciążę, zrobił dziecko również innej i tyle go widziałam. Pani feministka także bezradnie rozkładała ręce. Rodzice byli źli na nią. Uważali, że skoro namawiała mnie do seksu i udostępniała w tym celu swoje mieszkanie, musi odpowiadać w połowie za wszystko, co się stało. Wyprowadziła się stąd szybko, bez pożegnania. A ja zostałam z problemem, który wtedy tak naprawdę problemem jeszcze nie był. Dopiero gdy urodziłam dziecko... Michaś ma wady sprzężone. Jest niepełnosprawny. Nie chodzi, nie widzi, nie mówi. Choruje na wodogłowie i mózgowie porażenie dziecięce. Wymaga specjalistycznego leczenia i całodobowej opieki.

– Jak pani sobie radzi? – spytała wstrząśnięta Arleta Ozór.

– Pomagają mi rodzice, ale niewiele. Są starsi i schorowani. Mam za to wspaniałego męża.

– Męża? Przecież mówiła pani, że ojciec dziecka odszedł w siną dal! – Patrycja Miłek wyraziła zdziwienie.

– Ojciec Michasia odszedł, to prawda. Jednak gdy synek miał miesiąc, zaczęliśmy jeździć na rehabilitację do Gryfic. Tam poznałam Jurka. Pokochał mnie i moje dziecko. Pobraliśmy się, a Michaś oficjalnie stał się jego synkiem. Zresztą, zaraz będziecie miały okazję poznać mojego męża. Wjeżdża właśnie na podwórze.

Wszystkie skierowały wzrok w stronę samochodu. Wsiadł z niego przystojny mężczyzna. Ledwo przywitał się z kobietami, nie zastanawiając się, co cała grupka robi w jego kuchni. Minał je i wszedł do pokoju.

– Mój mały książę! Jak minął ci dzień? – Usłyszały cichy głos. Odpowiedzią było poruszenie na łóżku. – Tatusz już wrócił do syneczka. Rozmasujemy mięśnie? O tak, najpierw lewą stronę...

Kobiety usłyszały odgłosy plaskania dłoni o ciało chłopca. Dziecko wydawało pomruki, które początkowo wzięły za oznakę bólu.

– Ale mu się podoba! – Usłyszały od mamy Michasia.

Jej mąż wprawnie zajął się masażem. Nie zważał na zmęczenie po całym dniu pracy.

– Panie wybaczą, że je wyproszę – powiedziała Kasia. – Muszę podać Jurkowi obiad. Tak, jestem kurą domową i uwielbiam gotować oraz sprzątać. Nie jestem niezależna finansowo, nie mam własnego konta w banku. Moją pasją jest rodzina. I wiecie co? Dobrze mi z tym. Szkoda, że nie miałam tego rozumu dziesięć lat temu, kiedy jedna z was wpajała nam, że mężczyzna jest tylko dodatkiem do mojego szczęścia. Nieprawda. To musiała być bardzo niepewna siebie kobieta. Teraz to widzę, po tak długim czasie. Nieszczęśliwa i uważająca, że jest czymś lepszym od swojego partnera. W związku najważniejsza jest miłość i zaufanie do drugiej osoby, a nie przepychanki, kto dzisiaj zrobi śniadanie!

Gracje Pomorza siedziały w milczeniu. Nie wiedziały, co powiedzieć.

– Pojedziemy już. – Matylda wstała pierwsza. – Kasiu, dziękujemy ci za gościnę.

Sołtyśka uściskała młodą kobietę. Pozostałe panie także się pożegnały. Droga do Pobierowa upłynęła w kompletnej ciszy. Gdy dojechały na miejsce, rozeszły się do swoich pokojów. Nie miały ochoty nawet na małego drinka.

\* \* \*

Aurelia w ogóle nie chciała wychodzić dzisiejszego dnia. Wstała z łóżka około dziesiątej, zrobiła poranną kawę i, zawiedziona, odkryła brak mleka. Podobne pustki widniały w chlebaku. Chciał nie chciał, musiała wybrać się do pobliskiego sklepu po niezbędne produkty.

Ubrała się w ciepłą kurtkę, ale ledwo wyszła za drzwi, odczuła wicher. Jakże inną od ciepłych, letnich sztormów! Wiatr niemalże wył, jakby nakazywał jej zawrócić i nie wychodzić z domu. Postawiła kolnierz, narzuciła kaptur i ruszyła do niewielkiego marketu Pod Gruszą. Po sezonie letnim już nie było tutaj tak dobrego zaopatrzenia, ceny jednak pozostały niezmiennie. Zerknęła do portfela. Miała może dwadzie-



ścia złotych. Nie chciało się jej w taką pogodę szukać kantoru. Zresztą, szanse znalezienia w drugiej połowie listopada czynnego punktu wymiany walut w Pobierowie, równały się praktycznie zeru.

Sklep świecił pustkami. Była jedyną klientką. Znudzona sprzedawczyni wodziła za nią wzrokiem. Aurelia wybrała kilka bułek, mleko, pomidora i położyła wszystko na ladzie. Policzyła w myślach. Wystarczy jej jeszcze na kobiece czytadło. Sięgnęła po kolorowy tygodnik. Jej ulubiona aktorka przyciągała uwagę na okładce. Już podchodziła do kasy, gdy stanął tam także Woźnica. Nawet nie słyszała, kiedy wszedł do sklepu.

– Czyta pani takie gówno? – Pogardliwie wyduł usta, rzucając okiem na tytuł pisma.

– Dzień dobry. Też się cieszę, że pana widzę – odparła zaskoczona brakiem kultury u tego człowieka. Jeszcze niedawno jawił się w jej oczach niczym bohater.

– Dobry, dobry... – rzucił Antoni. – Szkoda pieniędzy na taki szmatławiec. Proszę, oto prawdziwa polska gazeta!

Z rozmachem położył na ladzie dziennik, z którego szyderczo uśmiechał się znany polityk. Może nawet nie był to kpiący uśmiech? Może ten człowiek inaczej nie potrafił? Aurelia nie wnikała. Wystarczyło spojrzeć na twarz na zdjęciu, aby odechciało się zaglądać do środka.

– Prostą kobietą jestem – powiedziała przekornie. – Mój mały mózdek nie jest w stanie pomieścić wielkiej polityki.

– Jej nie trzeba rozumieć. Zresztą, politykę należy zostawić prawdziwym mężczyznom. – Nieświadomie wypiął pierś, jakby był gotowy do przypięcia orderu.

– Co pan nie powie...

– Nie ma gorszej rzeczy, jak kobieta zabierająca się za rządzenie! Wy nie macie predyspozycji ani siły przekonywania! Wasz rozum nie jest w stanie ogarnąć niczego większego! Taka jest natura. Kobietom należy wydawać polecenia. Muszą robić tak, jak mężczyzna nakazuje, bo inaczej...

– Antoni! – rozległo się od drzwi sklepu, a mężczyzna aż skulił się w sobie. – Ile mam czekać na tym wietrze! Chcesz, żeby biedna Melania przeiębiła się? Co to, ligawy kupić nie potrafisz? Sprawdź tylko, czy

jest świeża! Wczorajszej nie podam mojej maleńkiej!

Aurelia i sprzedawczyni z zainteresowaniem przyglądały się przemianie Woźnicy. Nagle z szowinistycznego mężczyzny z radykalnymi poglądami stał się potulnym mężem.

– Już, kochanie, idę! – rzucił szybko banknot na ladę i tyle go widziały.

Ona też po chwili wyszła na opustoszałą ulicę. Wiatr skutecznie zniechęcił mieszkańców do opuszczania domów. Często zastanawiała się, co robią ci ludzie po sezonie. Część na pewno ma normalną, całoroczną pracę i dorabia sobie jedynie wynajmem. Ale pozostali, dla których zarobek zaczynał się w maju, a kończył we wrześniu? Czym teraz się zajmują? Może czytają książki, robią zaległe remonty, haftują, wykonują robótki na drutach? Może spotykają się na cotygodniowych pogaduszkach u kogoś w domu? Chętnie dołączyłaby do takiej grupy, bo okropnie nudzi się jej samej. Musi zapytać sołtyskę. W końcu ona powinna wszystko wiedzieć najlepiej.

Skręciła w odpowiednią uliczkę. Wichura przybierała na sile. Aurelia z niepokojem zerknęła na niebezpiecznie się kołyszące gałęzie. Przyspieszyła kroku. Wjazd na posesję Matyldy był otwarty. Czowała w powietrzu spaliny. Widać gospodyni dopiero wróciła.

Zadzwoiła do drzwi, nikt jednak nie otwierał. Ponownie wcisnęła guzik. I jeszcze raz. Może jest w garażu, pomyślała Aurelia i skierowała się do otwartego pomieszczenia.

– Pani Matyldo! – zawołała od drzwi.

Jakiś odgłos dobiegł ją od przodu samochodu. Podeszła, aby lepiej widzieć.

– Pani Matyldo, to ja – zaczęła i nagle przerwała, bo zorientowała się, że to nie gospodyni jest w garażu. Przed samochodem siedział, oparty o maskę, wójt Matuszewski! Próbował się podnieść, ale nie był w stanie. – Dobrze się pan czuje?

Stała w pewnej odległości, nie podchodząc. Pociągnęła nosem. Nie czuła trunku, ale dałaby sobie głowę uciąć, że to on jest przyczyną takiego stanu pana Władysława. Mężczyzna niemrawo ruszał ręką w pobliżu szyi, jakby chciał poluzować krawat. Bełkotał słowa, których w ogóle nie rozumiała. Próbował wstać, ale nogi odmawiały posłuszeństwa.

– Upił się – powiedziała do siebie Aurelia. – A więc to prawda, że jest alkoholikiem...

Westchnęła i zbliżyła się, aby pomóc Matuszewskiemu. Jeszcze raz wciągnęła powietrze. Nadal nie wyczuwała alkoholu. Nagle ją olśniło. Błyskawicznie wyciągnęła telefon i wystukała numer alarmowy. Przedstawiła się, słysząc głos dyspozytora.

– Tu Aurelia Menzel. Proszę o jak najszybsze przysłanie karetki.  
– Podała ulicę i numer. – Wydaje mi się, że pacjent ma udar!

\* \* \*

Z trudem odsunął gałęzie. Przygnieciony nimi staruszek patrzył na niego ze strachem.

– Człowieku, co ty tutaj robisz? Mogłeś stracić życie! – Zdenerwowany Ryszard pomagał mu wstać. Twarz mężczyzny była podrapana ostrymi końcówkami. Miał szczęście, że dotknęły go czubki gałęzi, a nie główny konar. – Wichura szaleje, powinien pan być w domu i czekać, aż skończy wiać, a nie włóczyć się po ogródkach! Powinienem karetkę wezwać! Starszy pan, a taki nieodpowiedzialny! – Zanim Ryszard skończył mówić, coś go tknęło. – Właściwie co pan robi na naszej posesji? Tędy nie wiedzie żadna ścieżka!

Staruszek nie miał najmniejszego zamiaru odpowiadać. Wyjątkowo żywotny, jak na swój wiek, chwycił kostur, którym najprawdopodobniej podpierał się podczas marszu, podniósł torbę leżącą do tej pory na ziemi i miał zamiar odejść. Ryszard pozwoliłby mu na to, gdyby nie fakt, że w momencie podnoszenia torby, wysypały się z niej znicze.

– Co to ma znaczyć? – Próbował wyszarpać ją staruszkowi.

– Puść to! – Tamten wreszcie się odezwał. Podniósł kostur i zaczął okładać nim młodszego mężczyznę. – Puść to!

Ryszard jednak nie ustępował. Siłą pociągnął mężczyznę w stronę domku.

– Mamy sobie wiele do wyjaśnienia. Albo porozmawia pan ze mną, albo zaraz wzywam policję, bo obcy wtargnął na moją posesję!

Opór nieco zelżał i starzec dał zaprowadzić się na miejsce. Usiadł i nagle przygarbił się, jakby uszły z niego wszystkie siły. Łzy potoczyły się po pomarszczonej twarzy. Otarł je trzęsącą się ręką.

– Proszę. – Ryszard postawił przed nim nalaną z termosu herbatę. Nie wiedział, czy wichura nie spowoduje przerw w dostawie prądu, więc zapobiegawczo wcześniej przygotował ciepły napój.

Staruszek z ledwością podniósł kubek do ust. Upił parę łyków.

– Tyle lat się udawało – powiedział cicho.

– To pan stawiał te znicze w lesie i pod jabłonką. Prawda?

Tamten tylko pokiwał głową. Ryszard przyglądał mu się z rosnącym zainteresowaniem.

– Ludzie lubią fantastyczne historie o duchach i nieszczęśliwej miłości – powiedział, dolewając staruszkowi herbatę.

– Słyszał je pan już? – Starszy człowiek podniósł wzrok.

– Tak, w tutejszym sklepie – odparł gospodarz i streścił, co powiedziała sprzedawczyni. – Trudno mi było w to uwierzyć, choć wszystko rzeczywiście wskazywało na ingerencję sił nadprzyrodzonych – ciągnął Ryszard. – I od tylu lat zapala pan znicze w tych dwóch miejscach?

Po co? Aby podtrzymywać legendę o duchu Niemca?

– To nie był zwykły Niemiec... To był mój ojciec.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili staruszek opowiadał dalej.

– Z opowiadań matki wiem, co zdarzyło się tamtego dnia. Prawdę wyjawiała mi dopiero, gdy skończyłem dziesięć lat, a ona umierała. Przez ten czas byłem wyzywany od bękartów, którzy nie wiedzieli, kim jest ojciec. A był nim ten Niemiec! Podobno przystojny i niezwykle męski. Zawrócił w głowie wielu Polkom w Gostyniu. Upodobał sobie szczególnie dwie. Moją matkę i Zofię. Z tamtą był mniejszy problem. Niezameżna i wolna. Moja matka jednak została wojenną wdową. Jej mąż zginął na froncie, sama wychowywała dwoje dzieci. Paula skierowano do niej, aby pomagał przy żniwach. Wieczorami częstowała go kolacją. Raz czy dwa został na noc. Moja matka zakochała się, ale wiedziała, że nie może liczyć na akceptację tego związku. Jak to? Ona, wdowa po polskim żołnierzu, teraz pokochała Niemca? Tego ludzie nie rozumieją! Zaraz po zakończeniu żniw zakazała odwiedzin u siebie. Paul zaczął spotykać się z Zofią. Początkowo potajemnie, jednak w małej społeczności nic się nie ukryje na dłużej.

Staruszek umilkł.

– Gdy Polacy dowiedzieli się, że Paul spotyka się z Zofią, zwabili

go do lasu i zabili – dopowiedział Ryszard.

– Tak. Dziewczyna naprawdę go kochała i nie wyobrażała sobie życia bez Paula. Tego samego dnia powiesiła się na tej jabłonce. Tej, która dzisiaj padła... Moja mama także przeżywała śmierć Niemca. Tym bardziej że krótko przed nią zorientowała się, że jest w ciąży. Wie pan, co to znaczyło dla samotnej matki? Nigdy nie zdradziła, kto jest moim ojcem. Przyjęła na siebie kpiny i bluzgi społeczeństwa. Umarła, gdy miałem dziesięć lat. Krótko przed śmiercią powiedziała mi prawdę i prosiła, abym dbał o grób ojca. Przyrzekłem jej to.

– Cały czas pan tu mieszkał?

– Prawie. Z przerwą na seminarium.

– Jest pan księdzem?

– Emerytowanym. – Staruszek smutno się uśmiechnął. – Do tego ostatnimi laty postrzegany jako dziwadło. Niegroźny, ale nie do końca normalny. Nie wyprowadzam z błędu. Błąkam się po lasach, rozmawiam sam ze sobą i nikt nigdy nie podejrzewał, że to ja zapalam znicze na grobie ojca.

– Nie zdziwię się, jeżeli pomysł z duchem także wyszedł od księdza – powiedział zamyślony Ryszard.

– To prawda – westchnął gość. – Gdy tylko powróciłem w te tereny w sutannie, starałem się przekonać mieszkańców, że Niemcy nie byli złem. Ono tkwi w każdym człowieku, niezależnie od narodowości. Bolały mnie określenia hitlerowiec, szkop bądź jeszcze gorsze. W końcu we mnie też płynie niemiecka krew, choć nie mogłem się do tego przyznać. W kazaniach próbowałem tłumaczyć Niemców, ale donoszono na mnie do Komitetu i co chwilę ktoś dewastował plebanię. Podobnie jak grób mojego ojca. Ludzie nie chcieli tam nawet krzyża! Dlatego wymyśliłem historię o duchu. To chyba była moja największa porażka. Wierni zamiast w moje słowa, uwierzyli w ducha. – Staruszek pochylił głowę, jednak przez sekundę można było dojrzeć lśniąco w oczach łzy. – Nikt nie zapuszczał się w te rejony lasu, gdzie był grób mojego ojca – ciągnął.

– No dobrze, to rozumiem – stwierdził Ryszard. – Ale dlaczego odstraszał ksiądz ludzi od tej posesji?

– Od posesji nie... Chroniłem tylko tę jabłoń. Mamie zależało, żeby ją pod nią pochować. Jej pogrzebem zajmował się taki stary pijak.

Nie było wtedy w okolicy zakładu pogrzebowego, który wszystkim by się zajął. Mówimy o latach powojennych. Mama jeszcze przed śmiercią ustaliła z nim, że najpierw usypie grób na cmentarzu, a pod osłoną nocy przeniesie trumnę pod tę jabłonkę. Pomagałem mu. Gdy już wszystko było zrobione, zapłaciłem za tę nietypową fatygę. Stary Michalak zresztą krótko potem zmarł. Wątroba nie wytrzymała ciągłego picia.

Znowu zapadła chwila ciszy. Starzec poruszył się, odchrząknął i dokończył:

– Dopiero kilka lat temu ta działka została wystawiona na sprzedaż. Bałem się, że właściciel zetnie drzewo i przeora ziemię. Na szczęście płonąca znicz i historia o duchach skutecznie odstraszały ludzi.

– Teraz wszystko rozumiem – powiedział Ryszard.

– Nastaliście wy, nowi właściciele. A ja zostałem przyłapany na wszystkim. Może pan oddać mnie pod sąd i przenieść trumnę na cmentarz. Ja już jestem zmęczony. Tyle lat dbałem o wszystko właściwie na darmo. Ten grób i pamięć były moim jedynym dziedzictwem. Nie miałem własnej rodziny, poświęciłem się Bogu, a nie wywiązałem z zadania ani jako syn, ani jako kapłan.

Staruszek zgarbił się jeszcze bardziej.

– Gdzie ksiądz w ogóle mieszka? – nieoczekiwanie spytał Ryszard.

– Mam pokoik na plebanii. Nowy proboszcz był zmuszony przygarnąć mnie. Mieszkam tak kątem już dziesięć lat. Nie wymagam zbyt wiele. Potrzebuję trochę jedzenia i spanie. Najczęściej uciekam w las albo tutaj. Nikt nie chodzi za mną, nie pyta o nic. Nikt nie zauważyłby, że zniknąłem. Do dzisiaj.

– I co ja mam teraz zrobić?

– To, co podpowiada panu sumienie. Ja przyznałem się do wszystkiego, choć byłem pewny, że tajemnicę zabiorę do grobu. Mam siedemdziesiąt lat i już niedługo pożyję.

Ryszard wyglądał przez okno. Milczał. Dało się słyszeć wiatr, jakby nad domkiem przetaczały się tabuny powietrza.

– Nawet nie mam jak księdza odwieźć dzisiaj – powiedział. – Samochód wstawiłem do warsztatu, a niebezpiecznie jest wychodzić w taką pogodę. Mogę zaproponować nocleg tutaj. Położy się proboszcz na moim łóżku, a ja wyciągnę materac ze schowka.

– Nie chcę robić kłopotu. – Staruszek się poderwał.  
– Kłopot to będzie, jeśli ksiądz wyjdzie. Nie będę wzywał policji.  
Wszystko się wyjaśniło. Sam nie wiem, jak postąpiłbym w podobnej sytuacji, obarczony rodzinną tajemnicą. Być może podobnie.  
– Każdy z nas ma taki zakamarek duszy, do którego nikogo nie wpuszcza. Czasami nawet Bóg nie ma tam dostępu. A pan w ogóle wierzący jest?  
– Tak, ale nie praktykuję.  
Proboszcz pokiwał tylko głową.  
– Kiedyś zareagowałem na te słowa i próbowałem nawracać teoretycznego wiernego. Teraz jednak nie mam do tego najmniejszego prawa. Tyle lat grzeszyłem...  
– Nie nazwałby tego grzechem. To było raczej chronienie rodzinnej tożsamości. Wyrzuty sumienia, szczególnie te bezpodstawne, nie są właściwą metodą. Wiem to po sobie. Po śmierci syna doprowadziłem do zniszczenia małżeństwa i zaniechałem kontaktów z bliskimi na wiele lat. Po tym czasie, gdy zrozumiałem swoje błędy i starałem się je naprawić, bliscy mają swoje życie, do którego nie powinno już być dla mnie wstępu.  
– Ta kobieta, która tu była, to nie pana żona? – spytał ksiądz.  
– To długa historia. Należę nam herbaty, wyciągnę kanapki i opowiem.  
Długo w noc toczyła się rozmowa dwóch mężczyzn. Zasnęli, gdy wichura zaczęła słabnąć.

\* \* \*

– Antek! Aaaaantek! – nie lubił, gdy żona zwracała się do niego w taki sposób. Zawsze powtarzał, że na chrzcie dostał Antoni! Brzmiało dostojniej od wiejskiego skrót. Kiedy słyszał to zdrobnienie, wiedział, że zaraz posypią się pretensje. Siedział cicho w salonie i się nie odzywał.  
Spokój nie był dany na długo. Usłyszał w przedpokoju stukot obcasów Barbary.  
– Tu jesteś! Dlaczego nic nie mówisz, kiedy cię wołam?!  
– Zaczytałem się. – Wskazał na zamkniętą gazetę leżącą na kolanach.

– To doskonale! Mam dla ciebie świetną i wartościową lekturę! – rzuciła na stolik kilka broszur. – Wyszedłeś tak wcześnie z tego spotkania z feministkami, a tam toczyła się naprawdę ciekawa dyskusja! Te kobiety wiele robią dla nas, Polek! Tylko my tego nie doceniamy! O, popatrz choćby tutaj.

Otworzyła jedną z ulotek, której tytuł brzmiał „Jak zapobiegać gwałtom?”.

– Zobacz, poza typowymi informacjami, czym jest gwałt, bo wyobraź sobie, że wielu facetów nie wie, jest taka dobra rada: „Zawsze noś przy sobie gwizdek. Gdy będziesz miał ochotę kogoś zgwałcić, gwizdź z całych sił. Na pewno ktoś cię usłyszy i zapobiegnie nieszczęściu”.

Antoni z przestachem przyjrzał się żonie. Wyprali jej mózg na tym spotkaniu, czy to był proces długotrwały, aczkolwiek niedostrzegalny dla niego? Cenił feministki, które przed latami wywalczyły prawa wyborcze dla kobiet, jednak te, które działały w czasach obecnych, postawiły sobie za cel walkę z odwieczną naturą. A tego nie popierał!

– Zobacz, a tutaj prezentują, jak można wyrażać swoją religijną wolność. Dlaczego mamy modlić się „Ojcze nasz”, skoro to matka jest najważniejsza w życiu dziecka? Brytyjskie feministki zaproponowały modlitwę, która rozpoczynałaby się od słów „Matko nasza, która jesteś w niebie”.

– Stuknięte babochłopy – wyrwało mu się.

– Uważałabym na twoim miejscu na to, co mówisz. – Popatrzyła groźnie na męża. – Wiele kobiet nie zdaje sobie sprawy, że tego typu określenia są ich psychicznym gwałtem.

Woźnica chciał dodać coś jeszcze, ale powstrzymał go wyraz twarzy Barbary.

– Tutaj masz kolejny ciekawy projekt. Rola kobiety stomatologa. „Jak po zaciśniętych ustach rozpoznać ofiarę przemocy domowej” – przeczytała napis z ulotki. – Wyobraź sobie, że jest wiele dzieci i kobiet, które przychodzą do dentysty i boją się otworzyć buzię. Wiesz, o czym to świadczy?

Antoni wolał pokręcić przecząco głową niż po raz kolejny narazić się żonie.

– To nie świadczy o strachu przed wiertłem! To sugeruje głęboko



skrywaną przemoc w rodzinie! Mężczyźni stomatologowi nigdy taka idea nie powstałaby w głowie. Kobięcie – i owszem!

Z tym zgodził się w zupełności. Żaden facet nie wymyśliłby większej bzdury.

– Feministki wystąpiły zatem z projektem, aby każde dziecko i każda kobieta, bojące się otworzyć usta w gabinecie, od razu były objęte pomocą policyjną, adwokacką i psychologiczną. Przecież to jest coś wspaniałego! Takie przeciwdziałanie patologii od podszewki!

Antoni spojrział na nią, jakby zmysły postradała.

– Mają więcej podobnych pomysłów? – spytał zgryźliwie. Wstał, nie da rady słuchać dalej tych bredni.

– Poczekaj! Ja właściwie w innej sprawie przyszedłam. Przyniosłam ci zakres twoich obowiązków domowych.

– Słucham? – Aż się obejrzał.

– Musimy ustalić pewne reguły, żebyś nie była pokrzywdzona.

– Przecież prawie niczego w domu nie robisz! Dwa razy w tygodniu przychodzi pani Kazia, która sprząta!

Barbara popatrzyła wrogo na męża.

– Feministki ostrzegały, że taka będzie reakcja każdego mężczyzny. Zasypiecie nas dowodami, że nasze obowiązki to żadna praca, ale przyjemność, na którą łaskawie nam pozwalacie! Wiedziałam, że będziesz taki sam!

Wycelowoła oskarżycielsko palec.

– Mamy równe prawa! Tak samo odpowiadasz za porządek w domu, za gotowanie czy zakupy, jak i ja! Proszę, tu jest twoja lista zadań. – Wręczyła mu zapisaną kartkę. – Przeczytaj to sobie i najlepiej, żebyś nauczył się tego na pamięć. A teraz idę gotować. Będę piekła boćczek.

– Mmm, pycha! – Woźnica się rozmarzył na samo wspomnienie przysmaku.

Żona popatrzyła na niego z litością.

– To nie dla ciebie. Melania potrzebuje większej ilości kalorii. Zima się zbliża!

Poszła do kuchni, a on ze złością chwycił kawałek papieru, który zostawiła. Miał ochotę podrzeć go na drobne skrawki, szczególnie po

przeczytaniu punktu pierwszego. „Zobowiązuję Cię do wynoszenia żwirku po kocie i czyszczenia jej kuwety” – zapisane było wielkimi literami.

\* \* \*

Matylda zdenerwowana krążyła po szpitalnym korytarzu. Odwracała się na każdy dźwięk otwieranych drzwi.

– Niech pani usiądzie. – Aurelia położyła jej rękę na ramieniu.

Sołtyska posłusznie usiadła. Była wdzięczna tej kobiecie za nieoczekiwane zjawienie się w jej garażu i wezwanie karetki. Władysław przechodził właśnie badania. Samo słowo „udar” brzmiało tak groźnie...

– Pracowałam kilka lat jako opiekunka osób starszych. Zajmowałam się również ludźmi po udarze. Wszystko zależy od czasu. Im szybciej dostarczy się chorego do szpitala, tym lepiej. Pojawiłam się na miejscu może dwie minuty po zdarzeniu.

Matylda wydawała się lekko uspokojona. Jednak wystarczyło kolejne skrzypnięcie drzwi, aby poderwała się na nogi. Tym razem był to lekarz, który badał jej męża.

– Co z Władkiem? – Podbiegła do doktora.

– Miał sporo szczęścia. Prawdopodobnie wyjdzie ze wszystkiego bez najmniejszego szwanku. Palec Boży...

Pani sołtys głośno odetchnęła.

– To było ostrzeżenie. Jeżeli wójt nie zmieni trybu życia na mniej nerwowy, może wnet dopaść go powtórny, ale już znacznie poważniejszy atak. Wykonaliśmy tomografię komputerową głowy. Udar niedokrwienny. Zastosowaliśmy od razu dożylne leczenie trombolityczne. Ma na celu rozpuszczenie skrzepliny, która blokuje tętnicę. W ciągu najbliższych godzin będziemy obserwować pacjenta i oceniać, jakie konsekwencje to zdarzenie pociągnie za sobą. Być może konieczna będzie rehabilitacja. Jednak z mojego doświadczenia... – Lekarz na chwilę się zamyslił. – Jeżeli jest pani osobą wierzącą, to proszę podziękować temu aniołowi, który czuwał nad mężem. Pomoc zjawiła się wyjątkowo szybko i wszystko wskazuje, że pacjent wyjdzie z udaru zupełnie zdrowy. To się zdarza niezwykle rzadko. Widać komuś tam, na górze, bardzo zależy, aby pan Władysław funkcjonował długo i szczęśliwie.

Matylda zamknęła oczy, jakby w duchu zmawiała modlitwę.

– Kiedy mogę go zobaczyć? – spytała.

– Za jakiś kwadrans. Najpierw przewieziemy go do innej sali.

W tym momencie pielęgniarki i pozostali lekarze kończą badania.

Zostawił obie kobiety i zniknął za drzwiami oddziału. Matylda

usiadła z ogromnym westchnięciem. Czuła, jakby powietrze z niej uszło. Od momentu telefonu Aurelii funkcjonowała jak wyzuta z jakichkolwiek innych myśli. W głowie tkwił wyłącznie Władysław i pytanie „Co z nim?”. Dopiero teraz poczuła, w jakim napięciu trwała przez ostatnią godzinę.

- Może kawę przyniosę? – zaproponowała jej towarzyszka.
- W holu widziałam automat.
- Proszę nie robić sobie kłopotu – powiedziała cicho sołtyska.
- Ja również potrzebuję kofeiny. Tak wietrzny dzień, jak dzisiejszy, sprawia, że ciśnienie mi wariuje. Zasnę, jeśli natychmiast nie napiję się małej czarnej. To co, mam przynieść?
- Poproszę.

Aurelia wsiadła do windy i oparła głowę o przytwierdzone do ściany lustro. Ją również cała sytuacja kosztowała wiele nerwów, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że najważniejsze jest opanowanie. Dopiero teraz poczuła, jak cała drży. Co za nieszczęście mogłoby się stać, gdyby przyszła kwadrans za późno! Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała, w jakim celu chciała odwiedzić Matyldę. Chyba przeznaczenie poniosło ją tam.

Przez ostatnie długie minuty obserwowała reakcję żony wójta. Zdenierwowana nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie kontrolowała się i obgryzała paznokcie, rozmyślając, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami oddziału. To musi być prawdziwa, dojrzała miłość.

Aurelia westchnęła. Przed jej oczami pojawił się Christian. Co się z nimi porobiło? Pokochała go takiego, jakim był. Z całą tą misiową posturą, uwielbieniem piwa, odmiennymi poglądami. Powinna z nim spędzać dni i noce, a nie każde osobno! Uwielbiała przy nim zasypiać, nawet jeżeli śmierdział chmielowym napojem.

Wysiadła z windy i zerknęła na komórkę. Cisza. Żadnej wiadomości ani telefonu. Odszukała numer Christiana. Odczekała dziesięć sygnałów i rozłączyła się. Nie chce z nią rozmawiać. Przykre. W przypiływie impulsu napisała: „Kocham Cię. Mocno tęsknię”. Schowała telefon, wzięła z automatu dwie kawy i pojechała z powrotem na górę.

\* \* \*

– Co będziemy robić dziś wieczorem? – Cztery Gracje patrzyły po sobie.

Ich gospodyni nagle została wezwana do szpitala. Próbowaly dozwonić się do niej, aby ustalić, co się dzieje, ale nie odbierała telefonów. W końcu zrezygnowały. Nie miały na dzisiaj zaplanowanego żadnego spotkania. Może i lepiej... Wystarczyły im odwiedziny u pani Kasi i jej niepełnosprawnego syna. Szalejąca za oknem wichura nie zachęcała do spacerów, choć zapewne sztormowy Bałtyk wyglądał pięknie.

– Pójdę znaleźć sobie coś do czytania – rzuciła jedna.

Druga poszła zerknąć na wiadomości w telewizji. Dwie kolejne zaszyły się w swoich pokojach.

Prawda była taka, że każda z nich potrzebowała wieczornej izolacji od pozostałych. Wizyta nimi wstrząsnęła. Teoria, którą głoszą, nijak się miała do rzeczywistości. Arleta Ozór, najbardziej zapalczywa z nich, wspominała swoją ciążę. Była wtedy na studiach, świat stał przed nią otworem. Była uzdolniona i marzyła o stypendium na zagranicznej uczelni. Związku z Pawłem, docentem, nie traktowała poważnie. Ot, taka odskocznia od nauki i uniwersyteckich murów. Zerwała z nim, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży. Usunęła ją. Zabieg, wykonany w przypadkowym gabinecie, spowodował komplikacje. Nigdy już nie miała mieć dzieci. Z mężczyznami także układało się różnie. Byli tacy, co wytrwali z nią dwa lata, inni odchodzili po sześciu miesiącach. W tym momencie była zupełnie sama. Zaangażowała się w ruch feministyczny, aby bronić kobiety przed... Sama teraz nie była pewna przed czym. Ich nie trzeba było bronić. Wiele z nich miało wystarczająco dużo siły, aby o siebie zadbać. Arleta Ozór zrozumiała, że obrzydzała im mężczyźni. Sama zrezygnowała z prawdziwej miłości, aby w duchu przez resztę życia cierpieć i nigdy nie przyznać się do tego. Nie mogła pozwolić sobie na słabość, każdego dnia udowadniając, że kobiety są silne i niezależne.

Patrycja Miłek rozmyślała o swoim czternastoletnim synu. Wychowywała go razem z mężem, ale nie traktowała jak dziecko. Był dla niej partnerem, doskonale zastępującym wiecznie zapracowanego Marcina. To z nim wypływała w rejsy organizowane przez Gracje Pomorza i dumna stała obok swojego dziecka trzymającego ster. Mężowi nigdy nie proponowała wspólnego wyjazdu. On sam także nie wyszedł z podobną

propozycją. Żyli razem, a wszystko robili oddzielnie. Tylko dziecko wyszło im wspólne, choć całkowicie zagarnęła je Patrycja. Obowiązkami dzielili się sprawiedliwie, do rodzinnej kasy dokładali po połowie. Powinna być szczęśliwa, że ma męża wychowanego w feministycznym duchu! Dzisiaj jednak widziała innego mężczyznę, który z miłości do kobiety stał się ojcem niełatwego dziecka. Czułym, opiekuńczym, wyrozumiałym, troszczącym się o syna i żonę, bez jednego słowa skargi! Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Marcina. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Stało się coś? – spytał zaniepokojony.

– Nie, dlaczego?

– Gdy wyjeżdżasz, dzwonisz tylko, aby poinformować, kiedy wracasz. W Pobierowie masz być do końca tygodnia, więc zakładam, że coś złego się wydarzyło. Wiem, że masz napięty terminarz, spotkanie goni spotkanie, więc...

– Nic się nie stało – przerwała mu. – Po prostu chciałam cię usłyszeć. – W słuchawce zapadła cisza. – Halo, Marcin, jesteś tam?

– Tak, jestem – odparł cicho.

– Chciałam usłyszeć twój głos i powiedzieć, że bardzo za tobą tęsknię – powiedziała.

– Ja za tobą też, kochanie. Nawet nie wiesz, jak mocno. Chciałbym, żebyś już wróciła.

– Jutro przyjadę. Skrócę pobyt.

– Co przygotować ci na kolację?

– Nic. Zrobimy ją wspólnie, jak kiedyś.

Po chwili pożegnała się i rozłączyła, siedząc jeszcze długo w ciszy.

Hanna Zwitek jednym okiem zerknęła na wiadomości. Nie lubiła siedzieć w ciszy, dlatego zaraz po wejściu do salonu włączyła telewizor. W jej niewielkim mieszkanku w Szczecinie odbiornik zawsze był włączony. Wyłączała go, gdy musiała wyjść. Skutecznie zagłuszał samotność. Był lekiem na bezsenne noce, na Święta w pojedynkę. Tym razem głos prezenterki przyciągnął jej uwagę.

– Agnieszka Rosicka stanęła na czele Zespołu do Spraw Kobiet z Obszarów Wiejskich i Małych Miasteczek. Ma zamiar skupić się na pomocy rodzinom, w których panuje przemoc oraz na stosowaniu rów-

nego prawa wobec kobiet i mężczyzn, nagminnie łamanego w niewielkich miejscowościach.

Przerwała słuchanie na tym zdaniu i zamyśliła się. Nigdy nie było jej dane przekonać się, jak wygląda życie z mężczyzną. Despotyczny ojciec skutecznie zniechęcił do podejmowania prób poszukiwania tego jedyne. Z góry założyła, że faceci to trudna płęć, genetycznie nastawiona na agresywne przedstawianie swoich argumentów. W miejscach publicznych wyszukiwała panów i wyzywająco patrzyła im w oczy, jakby doszukując się w nich czegoś złego i nienawiści. Ba! Może dziwnie to brzmiało, ale była zadowolona, gdy jej genetyczna teoria agresji miała odzwierciedlenie w rzeczywistości. Dzisiaj również liczyła, że tak się stanie. Czekala aż mężczyzna, którego dom odwiedziły, stanie przed nią, a ona spojrzy mu prosto w oczy i wyczyta w nich zło. Stało się jednak inaczej. Takiego oddania i miłości nie widziała dawno. Hanna Zwitek po raz pierwszy od wielu lat wyłączyła telewizor i siedziała w ciszy, od czasu do czasu przerywanej szumem narastającego za oknem wiatru. Kochała morze, jednak gdyby mogła, to jeszcze tego wieczoru pojechałaby do Szczecina.

Bogna Mazur patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nie podobało jej się to, co widziała. Krótko przystrzyżone włosy, uczesane na irokeza. Fryzura miała manifestować niezależność i samodzielność, ale jedynie szpeciła ją. Przypomniła sobie, jak lubi swoje włosy. Zaplatała je w warkocze, robiła misterne koki i inne fryzury. Rafał bardzo je lubił... Pamięta, jak okręcał je sobie na dłoni i przyciągał jej głowę do pocałunku. Nie przejmował się, czy znajdują się akurat w miejscu publicznym, czy w domu. Teraz zgaśniłaby go za to, twierdząc, że dla kobiety takie zachowanie na ulicy jest uwłaczające. Ale Rafała już nie ma.

– Te babsztyłe cię zmarnują! – twierdził, gdy poinformowała go, że wstąpiła do studenckiej grupy feministycznej.

– Wyrażaj się – warczała wtedy na niego.

Skoro źle mówił o jej znajomych, być może niewłaściwie wypowiedziada się o niej. Koleżanki tylko utwierdzały ją w tym. Dodawały, aby broń Boże nie zgadzała się na ślub, bo po nim będzie jeszcze gorzej! Rzeczywiście, gdy zaproponował małżeństwo, kategorycznie odmówiła. Ponawiał próbę jeszcze dwa razy, jednak z coraz mniejszym zapalem.

Bezskutecznie. A potem samo wszystko jakoś się rozpadło. Zaraz po zakończeniu związku to przyjaciółki z organizacji feministycznej stanęły za nią murem, pomagając przetrwać przykry czas. Skutecznie, choć nieświadomie, zniechęcały do kolejnych poszukiwań. Dla nich każdy mężczyzna był złem wcielonym.

Bogna całkowicie zrezygnowała z kobiecego image'u. Włosy ścięła na krótko, obnosząc się z męską fryzurą. Twarzy nie malowała od dawna. Pewnie droga maskara wyschła zupełnie. Dzisiejszego wieczoru jednak zateśniła za dawną sobą w krótkiej spódniczce odsłaniającej zgrabne i opalone nogi, z ciekawą fryzurą i odpowiednią biżuterią. Zerknęła w lustro i zamknęła oczy. Jak mogła doprowadzić się do takiego stanu? Chwyciła leżący na półce grzebień. Nieważne, do kogo należy! Przejechała kilkoma ruchami po głowie, wygładzając to, co sterczało, utrwalone żelam. Wyglądała teraz okropnie, jakby wpadła pod rynnę pełną wody. Włosy miała ulizane, a po twarzy ciekły łzy. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz płakała. W tych słonych kroplach zawarte było wszystko. Tęsknota za minionymi latami, za kobiecością, żal z powodu samotności i ogromny ból po Rafale. To nie musiało tak się potoczyć.

\* \* \*

Aldona zamknęła drzwi. Zatem tak wygląda koniec miłości. Zatrząskuje się za nią wrota, jakby tylko na chwilę zawitała, w odwiedzinach i przez jakiś czas czuła się wspaniale. Proszę, tu kawka, herbatka, a może serniczka nałożyć? W myśl starej zasady, gościem jest się przez trzy dni. Później trzeba przejąć na siebie rolę domownika. Troszczyć się o wspólne dobro i włączyć w obowiązki. Aldona miała wrażenie, że Michał chciał być wyłącznie gościem.

Wrócił kilka dni temu i od początku wspominał o kolejnym wyjeździe.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo ci ludzie potrzebują dobrego słowa.  
– Jadł przygotowany przez nią obiad i opowiadał.

Mówił o skazańcach, których poznał, o ich winach i błędach, ale Aldonę niewiele to obchodziło. Po pięciu minutach powiedziała mu to wprost.

– Dobrze, mogę nie opowiadać. – Wzruszył ramionami, nieco za-



wiedziony. Tak bardzo chciał podzielić się z nią tym, że jest potrzebny!

– Nie o to mi chodzi – westchnęła. – Nie chcę, żebyś w ogóle to robił.

– Dlaczego? – Jedzenie nagle przestało mu smakować.

– Wnet urodzi się dziecko. To na nim powinna być skupiona uwaga.

– Przecież jest. Wszystko kręci się wokół dziecka.

– Nie wszystko. Tylko ja. Urządzam pokój, kupuję ubranka, robię zapas pieluch i kosmetyków, odkładam pieniądze... – wymieniała.

– Ty jesteś tutaj gościem. Wpadasz z pracy późnym wieczorem, a zdarza się coraz częściej, że i w nocy. Jeździsz z księdzem po bezdomnych alkoholikach, bezskutecznie próbując nawrócić ich lub zbawić. Teraz doszły weekendy w zakładzie karnym.

– Przecież ci ludzie mnie potrzebują!

– My też! Ja i dziecko, które urodzi się za kilka tygodni! Nie wystarczy być dawcą nasienia, trzeba być ojcem! – Tych ostatnich słów nie zamierzała powiedzieć, ale za późno. Padły.

– Zatem masz mnie za nieroba i darmozjada, który nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności? – Wstał i zaczął chodzić po kuchni.

– Nie! To wcale nie tak! Uważam, że na jakiś czas powinieneś zawiesić swoją charytatywną pomoc i skupić się na tym, co najważniejsze: na dziecku i rodzinie. Na mnie również. W ciągu ostatnich tygodni zaniedbałeś wszystko: obowiązki domowe, zawożenie mnie na wizyty lekarskie – wyliczała.

– Przecież dałaś sobie radę.

– Tak, ale z wielkim trudem! To nieważne. Istotniejsze jest, że obiecałeś coś i nie dotrzymałeś słowa. Nie chciałabym, abyś był taki wobec naszego dziecka. Ono ma liczyć na ojca w każdym momencie, a nie zastanawiać się, gdzie go szukać. Nie raczysz zadzwonić ani powiadomić, gdzie jesteś.

– Aldona, nie za bardzo rozczulasz się nad sobą? – Stanął przed nią rozżłoszczony. – Mieszkasz w dużym mieście, wszędzie możesz dostać się autobusem czy taksówką.

– To kosztuje.

– Tobie chyba tylko o pieniądze chodzi, prawda? Chciałabyś, że-

bym wyłącznie zarabiał forszę. Niestety, ja myślę o ludziach, szczególnie tych, którzy potrzebują mojej pomocy. Wiedziałaś o tym, wiążąc się ze mną.

– Z pieniędzmi doskonale radzę sobie sama – powiedziała zimno.  
– To, co zarabiasz, idzie na paliwo potrzebne na dojazdy do noclegowni w całym województwie i do więzienia! Przestań zatem pleść takie bzdury! Chodzi mi o coś innego. Gdy poznałam cię, wiedziałam, jak ważny jest dla ciebie drugi człowiek i pomoc. Teraz jednak ona stała się całym twoim życiem, mnie i dziecko spychając na margines. Nie widzisz tego?

– Nie wymagasz chyba, żebym codziennie wracał o szesnastej i szczęśliwy, trzymając cię za rączkę, oglądał ulubiony serial? – zakpił.

– Nie – westchnęła. – Mnie nie jesteś w ogóle potrzebny. Jak już zauważyłeś, radzę sobie doskonale. Tylko dziwnie się czuję, wiedząc, że mieszkasz tu, a ciebie nie ma. To nie hotel czy noclegownia. Czas podjąć jakieś decyzje. Uważam, że powinieneś zachowywać się tak, jak na głowę rodziny przystało. Powinieneś być obecny przy nas każdego dnia i pomagać w prozaicznych zapewne dla ciebie sytuacjach.

– Musiałbym wtedy zrezygnować ze wszystkiego, co robię – powiedział cicho. – Nie chcę i nie mogę. Jestem potrzebny innym.

– Tu także jesteś potrzebny. Musisz wybrać. Albo ja i dziecko, albo noclegownie i zakłady karne. – Aldona popatrzyła na niego uważnie, rzucając wszystko na jedną szalę. Nie musiał nic mówić. Znała odpowiedź. – Śpij dzisiaj na kanapie. – Wstała z fotela i pogładziła się po brzuchu. Dziecko zaczęło mocniej kopać. – Rano pomogę ci spakować rzeczy.

Milczał. Zostawiła go i poszła do sypialni. Zanim położyła się, wzięła tabletkę i momentalnie zasnęła. Noc minęła bez żadnych snów. Rano wstała wypoczęta, ale wypalona, bez jakichkolwiek emocji. Michał był już spakowany. Cały jego dorobek mieścił się w dwóch dużych torbach. Nie przywiązywał wagi do rzeczy czy pamiątek.

– To... do widzenia – rzucił od drzwi.

Żadnej propozycji, aby zadzwoniła, gdy zacznie rodzić, żadnego pogłaskania brzuszka na pożegnanie, przytulenia jej... Jakby tych dwóch wspólnych lat w ogóle nie było.

Zamknęła za nim drzwi i wróciła do salonu. Usiadła w fotelu. Ma-

luch zaczął kopać, domagając się porannej dawki kalorii. Jeszcze nie zdążyła zjeść śniadania. Chciała wstać i przygotować sobie jedzenie, ale zamiast tego wybuchła niepowstrzymanym szlochem.

\* \* \*

Początek grudnia był deszczowy i nieprzyjemny. Wiało i padało na przemian. Brak słońca sprawiał, że dni wydawały się jeszcze krótsze. Zoja nie lubiła w takie poranki wychodzić do pracy. Miała ochotę zakopać się pod kołdrę i przeczekać do wiosny.

Ryszard wrócił z Gostynia tydzień temu.

– Jak długo można robić przegląd auta? – zżymała się, gdy po raz kolejny przekładał termin przyjazdu. Była nie tyle zdenerwowana, ile za-niepokojona. Bała się, że przyjdzie nieoczekiwane załamanie pogody i w holenderskim domku zostanie go zima. Wolą, aby wracał jak naj-prędzej.

– Wiesz, jak to jest z warsztatem na wsi – zwodził.

W rzeczywistości samochód od kilku dni stał na posesji. Ryszard był jednak mocno zajęty i nie w głowie był mu powrót. Zabezpieczał domek przed zimą, aby spokojnie mógł w nim mieszkać starszy lokator. Nie powiedział Zoi o swoim pomysle. Pewnie byłaby przeciwna. On jednak ogromnie polubił emerytowanego księdza Witolda. Dzień po ich pierwszym spotkaniu odprowadził staruszkę na plebanię. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na to, że nie spędził nocy w swoim pokoju! A gdy zerknął do pomieszczenia przeznaczonego dla duchownego, aż za głowę się zła-pał. Rozwalające się łóżko, nieumyte szyby w oknach, nieprzebrana po-ściel, choć zapewne nowy proboszcz miał gospozię. Dobytek księdza Witolda mieścił się w jednej walizce.

– Zabieram stąd księdza – powiedział do młodego duszpasterza, gdy spotkał go w drzwiach.

– Skoro było mu tu źle... – Tamten wzruszył ramionami.

I tyle! Nawet nie zapytał, dokąd ani dlaczego! Przyjął to jako oczy-wisty fakt. Nie zainteresowała się także obecna na plebanii gospodyni.

– Bardzo dobrze, że pan go zabiera – gderała. – Utrapienie tylko z tymi starymi księżmi! Niepokorne to takie, nie docenia, że nowy go-spodarz nastał! Kuria powinna zająć się nimi, a nie na młodego probosz-

cza to zwala! A co, on od pilnowania starego jest? Bywają całe tygodnie, że nie widzę księdza Witolda! Robi, co chce, łązi, gdzie chce i tylko po ubywającym z garnka jedzeniu orientuję się, że tu był! Mógłby zniknąć, a nikt nie zauważyłby tego! Zdziwaczał do reszty. Dobrze, że pan go zabiera. Ale nie sądzę, aby mógł go upilnować. Jest jak kot, łązi własnymi drogami.

Dopiero gdy wrócili, dotarło do Ryszarda, co zrobił. W domku letniskowym nie da się przetrwać zimy. Ale na probostwo ksiądz Witold także wrócić nie może. Co robić?

Ryszard zadzwonił do dawnego znajomego.

– Ciężko będzie znaleźć miejsce na zimę – tłumaczył tamten.  
– Jednak skoro mówisz, że to wyjątkowa sytuacja, to przywieź go, ale dopiero około piętnastego grudnia. Wtedy będę miał pokój dla niego, czysty i odremontowany.

Ksiądz Witold przyjął tę nowinę z obojętnym spokojem. Całe dni spędzał obok pnia po upadłej jabłonce. To tam przed wielu laty pochował matkę. Nie zapuszczał się już do lasu. Przygarbił się jeszcze mocniej.

– Muszę wracać do Szczecina – powiedział Ryszard. – Zrobię dzisiaj księdzu duże zakupy. To, co się da, upchamy w zamrażalniku. Przywiozę konserwy i puszki. Te dwa tygodnie powinien ksiądz tu przetrwać.

Tamten pokiwał tylko głową, zgadzając się na wszystko. Ryszard nie miał jednak pewności, ile z tych informacji dotarło do staruszka. Wydawał się myślami błądzić w ogóle gdzie indziej.

– Wrócę około dwunastego – powiedział, wsiadając do samochodu.  
– Przez tych kilka dni musi ksiądz sam zostać. Proszę dzwonić w razie potrzeby. – Kupił duchownemu stary, ale działający telefon komórkowy.

– Dziękuję panu za wszystko. – Ksiądz miał zmęczony, niewyraźny głos. – Jest pan dobrym człowiekiem. Bóg to wynagrodzi.

Ryszard jechał do Szczecina z duszą na ramieniu. Dopiero teraz dotarło do niego, jak nieodpowiedzialnie się zachował. Przecież staruszek może nie wyłączyć piecyka i cały domek pójdzie z dymem! Może nie zamknąć drzwi i do środka dostanie się ktoś niepowołany! Może...

Otrząsnął się. Wiele rzeczy może się zdarzyć. Co do jednego był pewny: księdza nie można było zostawić na plebanii. Najbezpieczniej

czuł się na ich posesji.

Początkowo chciał powiedzieć Zoi prawdę, ale potem zrezygnował z tego pomysłu. Ona ma wystarczająco dużo zmartwień, aby jeszcze zaprzętać sobie głowę lokatorem w holenderskim domku. Dla uspokojenia samego siebie, codziennie dzwonił do księdza Witolda, nim ukochana wróciła z pracy.

– Co robimy na Święta? – Zoja usiadła wieczorem nad kartką. Miała zamiar zanotować harmonogram prac i listę zakupów. – Ostatnim razem była zupa owocowa, to może w tym roku przygotuję barszczyk? Do tego uszka, pierogi z kapustą, krokiety, kompot z suszu... – wymieniała i wymieniała, ale Ryszard ledwo słuchał.

– Może zaprosimy kogoś na Boże Narodzenie? – wypalił nagle. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Zapewne masz na myśli Adriana? Musiałbyś wcześniej zadzwonić do syna i dowiedzieć się, czy nie ma innych planów.

– Nie o niego chodzi. – Pokręcił głową. – Ma swoją rodzinę i nie potrzebuje nas. Chciałbym, aby na Święta przybył ktoś, kto na pewno spędzać je będzie samotnie. Nie ma bliskich, jest starszy, schorowany.

Zoja z zaskoczeniem spojrzała na ukochanego.

– Skoro chcesz... – Nie wydawała się przekonana do słuszności tego pomysłu. – Gdzie mielibyśmy szukać tej osoby?

– Może sama do nas przyjdzie? – Ryszard wstał, sugerując, że temat zakończony. – Do Bożego Narodzenia jeszcze trzy tygodnie, sporo czasu na przygotowania. Aha, niedługo będę musiał pojechać na jeden dzień do Gostynia.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Dzwonił mechanik, że ma oryginalną część do chłodnicy, którą wymieniał w listopadzie. Na jakiś czas założył zawory innej marki, ale już dostał te właściwe. Pojadę do tego warsztatu.

– Czy to ma sens? – Spojrzała na Ryszarda. – Tłuc się taki kawał na wymianę kawałka jakiegoś plastiku? Nie mogłeś tego zrobić na miejscu, w Szczecinie?

– Skoro wstawiłem samochód tam, to zostanę przy tym warsztacie – odpowiedział stanowczo. – Przy okazji sprawdzę, co z domkiem.

– Może ja wezmę wolne na ten dzień? – Zoja zapaliła się do pomysłu.

słu. – Pojechalibyśmy razem!

– Co byś tam robiła? – Sprowadził ją na ziemię. – Czekala na tym zimnie, aż skończą pracę?

– Oglądaliśmy wczoraj prognozę pogody. Znowu ma przyjść fala ciepła. Będzie ponad dziesięć stopni. Może liście pograbię lub drzewka pobielę wapnem?

– Najlepiej, jeżeli zostaniesz w domu, szczególnie w ten przedświąteczny czas. Jak cię znam, wnet zabierzesz się za gruntowne porządki i będziesz się cieszyła z każdej chwili bez mojej obecności. Zobaczysz, jak będę sam, to szybciotko obrócę.

– Masz rację – westchnęła. – Pracy jest dużo, a ja marzę o wyjeździe.

Wzięła kartkę i dopisała do niej jeszcze dwa punkty.

– Jutro kupię kartki bożonarodzeniowe i porozsyłam je. W grudniu poczta zawsze działa opieszale.

\* \* \*

– Do widzenia. – Matylda pożegnała fizjoterapeutkę i weszła do domu.

Była zadowolona z tej dziewczyny. Codziennie pokonywała drogę z Gryfic do Pobierowa i przez godzinę ćwiczyła z Władysławem. Robiła tak od dwóch tygodni, czyli od momentu powrotu męża do domu. Dzięki Bogu, udar nie pozostawił praktycznie żadnych skutków. Przez chwilę przypomniała sobie strach, jaki towarzyszył jej, gdy po raz pierwszy zobaczyła go po zdarzeniu. Kłębowisko rurek i przewodów nie nastrojało optymistycznie, choć lekarz mówił, że to standardowe monitorowanie serca, komór i tętnic.

– Sprawdzamy, czy w innych miejscach nie ma zatorów – przekonywał. – Gdy upewnimy się, pacjent zostanie odłączony od całej tej aparatury.

Nastąpiło to już kolejnego ranka. Matylda odetchnęła, gdy zobaczyła Władysława leżącego na łóżku i słabo uśmiechającego się do niej.

– Napędziłeś mi takiego stracha... – powiedziała cicho.

– Sobie również – wyszeptał z trudem.

Do pokoju weszła lekarka. Żona wysłuchała informacji o stanie

zdrowia pacjenta i lekach, jakie są mu podawane.

– Czy będzie musiał brać je do końca życia?

– Tylko profilaktycznie, przeciwzakrzepowo. – Usłyszała. – Niezbędne będą regularne badania, sprawdzanie poziomu cholesterolu i wydolności serca. Pan Władysław musi zmienić tryb życia na mniej nerwowy. Nitrogliceryna nie rozwiąże problemu.

– Nitrogliceryna?! – Matylda spojrzała zdumiona. – Mój mąż jej nie brał! Nie było nigdy problemów z sercem!

– Miał początek choroby wieńcowej. Tak wynika z dokumentacji dostarczonej nam przez lekarza rodzinnego.

– Kochanie, później wszystko ci wyjaśnię. – Z łóżka dobiegł szept winowajcy.

– Myślę, że do końca tego tygodnia wypiszemy pana Władysława do domu – kontynuowała lekarka. – Czekamy jeszcze na wyniki badań laboratoryjnych. Gdy będą dobre, pacjent wróci do Pobierowa. Odwiedzać was będzie rehabilitantka z naszego szpitala. Niedługo, może przez miesiąc. Pokaże, jakie ćwiczenia wykonywać, aby organizm całkowicie wrócił do normy. Jesteśmy pod wrażeniem. Naprawdę rzadko zdarza się, aby pacjent wyszedł z udaru bez najmniejszego szwanku.

– Kiedy mogę wrócić do pracy? – spytał Władysław.

Matylda zgromiła go wzrokiem.

– Na pewno nie w tym roku. – Usłyszeli. – Zaraz wypiszę panu zwolnienie do końca grudnia. Co będzie dalej, okaże się po kontroli lekarskiej i przestrzeganiu naszych zaleceń. Nie muszę chyba przypominać, że często po pierwszym udarze następuje kolejny, o ile nie zmieni się trybu życia.

Lekarka popatrzyła jeszcze w dokumenty i zostawiła ich samych.

– Co z tą nitrogliceryną? – Matylda naskoczyła na męża. – Dlaczego o niczym nie wiem?

– I nie dowiedziałybyś się, gdyby nie długi język tej doktorki – odparł z przekąsem.

– Chyba powinnam o tym wiedzieć? Chodzisz do przychodni za moimi plecami? A co z zaufaniem? – wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu.

Aż uniósł się na poduszce.

– Ty mówisz coś o zaufaniu? Ty, która myszkowałaś po moim gabinecie, gdy ja miałem zebranie Rady Gminy?

Z jednej strony ogarnęła ją złość na asystentkę Władysława, z drugiej jednak Milena Turowska nie raz okazała lojalność swojemu zwierzchnikowi i należało spodziewać się, że wszystko mu powie.

– Dobra, opowiedz wszystko od początku – westchnęła.

Matuszewski z trudem streścił narastające problemy z upierdliwym mieszkańcem, urzędowe kontrole i strach pracowników. W rewanżu Matylda opowiedziała, że podejrzewała męża o alkoholizm.

– Szkoda, że nie wyjaśniliśmy sobie tego od razu – powiedziała na zakończenie, całując Władka.

– Twoje obawy są rozwiane, moje natomiast narastają coraz bardziej – przyznał. – Przez kilka tygodni będę na zwolnieniu, a Woźnica ma pole do popisu. I to jeszcze w sytuacji, kiedy musimy podjąć trudną decyzję budowy tej osuszarni.

Żona pokiwała głową ze zrozumieniem. Znała temat z wielokrotnych rozmów przeprowadzanych wieczorami z innymi samorządowcami. Władysław solidnie przygotowywał się do nowej inwestycji. Dyskutował z urzędnikami, specjalistami od ochrony środowiska, a wnet chciał zwołać wiejskie zebranie i przedstawić sprawę mieszkańcom. Uprzedził go Woźnica.

– Sama rozumiesz, skąd ten stres – dodał na zakończenie.

Od dwóch tygodni salon w ich domu zamieniony był w biuro. Przy dużym drewnianym stole Władysław pracował. Żona pilnowała, aby robił to maksymalnie przez trzy godziny dziennie. Wcześniej rano posłaniec z urzędu przywoził korespondencję i dokumenty, potem zajmował się nią wójt. Dzięki takiej pracy udało się uniknąć zaległości. Punkt dwunasta w domu zjawiała się rehabilitantka i przez sześćdziesiąt minut ćwiczyła razem z Władysławem. Dzisiaj Matylda zostawiła ich oboje i poszła do sklepu po pieczywo. Plakat, wiszący na drzwiach, zauważyła w ostatniej chwili.

*Nie możemy dopuścić, aby Pobierowo śmierdziało! Nasz wójt chce puścić gminę ze ściekami! Jeśli stworzy tu oczyszczalnię, nie przyjedzie do nas żaden turysta! Trzeba odwołać źle rządzącego włodarza! Zapraszam wszystkich mieszkańców na zebranie wiejskie dzisiaj o 18.00.*



– Czy to prawda? – Matylda nie zauważyła, że obok niej stanęła właścicielka sklepu. – To prawda, że w Pobierowie ma powstać suszarnia odpadów pościekowych?

– Owszem, takie są plany związane z wejściem nowej ustawy o ochronie środowiska – powiedziała ostrożnie.

– Zatem Woźnica ma rację? Zawsze broniłam wójta, ale jak zafunduje nam smród, to wszyscy pójdziemy z torbami!

– Proszę przyjść na dzisiejsze zebranie – poprosiła Matylda. – Mąż nie będzie mógł uczestniczyć, bo jest na zwolnieniu lekarskim, ale ja postaram się być.

– Pewnie ucieka przed problemem – rzuciła kobieta z powątpiewaniem.

Matylda nie miała ochoty wprowadzać osoby postronnej w ich prywatną sferę. Pożegnała się zatem szybko, raz jeszcze prosząc o przyście na spotkanie. Dopiero gdy odeszła od sklepu na odległość gwarantującą spokojną rozmowę, wyciągnęła telefon.

– Pani Mileno, tu Matylda – odezwała się, gdy usłyszała w słuchawce znajomy głos. – Wiem doskonale, że jest pani sumienną i lojalną pracownicą, oddaną mojemu mężowi, jest jednak pewna sprawa, do której musi mnie pani dopuścić.

Przez dziesięć kolejnych minut tłumaczyła wystraszonej dziewczynie, w czym rzecz. Odetchnęła, gdy usłyszała zapewnienie, że poślaniec z urzędu odwiedzi ich po południu i przywiezie dokumenty, jakich oczekuje. Matylda rozłączyła się i wybrała kolejny numer. Zanim doszła do domu, przeprowadziła trzy ważne rozmowy. Była gotowa na wieczorne spotkanie. Były tylko Władysław o niczym się nie dowiedział. Gotów pójść na zebranie mimo kategorycznego nakazu unikania stresów.

\* \* \*

Dorota podała kolację i oboje z zadowoleniem zabrali się za pachnącą zapiekankę. Obok, na specjalnym krzeselku, siedziała Amelka. Wymachiwała swoją łyżką i nim trafiła nią do buzi, nakarmiła dwa pluszaki towarzyszące jej przy posiłku. Zaśmiewała się przy tym, ukazując nowe

zábki. Rodzice przyglądali się jej z zadowoleniem, aby po chwili wrócić do rozmowy.

– Wyjechalibyśmy do Pobierowa dwudziestego grudnia – powiedział Piotr, patrząc na kalendarz. – Mama mówiła, że Władek czuje się całkiem dobrze, jednak nie chciałbym nadwerężyć ich gościnności.

– Jestem tego samego zdania. – Dorota nałożyła sałatkę na talerz. – Amelka jest bardzo absorbująca, a dziadek ją uwielbia. Będzie chciał bawić się z nią, nosić na barana i szaleć. To może się odbić na jego zdrowiu.

– Mama ogromnie wystraszyła się tym udarem.

– Nie dziwię się.

Kolejne minuty jedli w milczeniu przerywanym śmiechem dziecka.

– Jutro zatelefonuję do mamy. – Piotr otarł usta serwetką. – Dzisiaj próbowałem dodzwonić się do Michała. Robiłem porządki wśród płyt i znalazłem dwie należące do niego. Muszę je zwrócić. Zawsze powtarzasz, żeby wszelkie zobowiązania regulować w starym roku. A tu już kolejny nadchodzi.

– I co? Kiedy wpadniesz do niego?

– Nie wiem, nie odbierał telefonu. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Może obraził się za szczere słowa podczas poprzedniej rozmowy?

– Nie sądzę. Zadzwoń zaraz do Aldony.

Chwilę później wykręcała numer do przyjaciółki. Trochę trwało, aż tamta zdecydowała się odebrać. Zanim zdążyła wypytać, co się dzieje z Michałem, usłyszała:

– Nie ma go już. Jestem sama. Ja i dziecko.

Towarzyszył temu głośny szloch. Dorota nie zastanawiała się długo.

– Posprzątaj po kolacji, wykup Amelkę, ja wrócę późno. – Mężowi wystarczył rzut oka na minę żony, aby ocenić, że sytuacja wymaga jej obecności.

Pół godziny później tuliła zapłakaną Aldonę do siebie. Pozwalała jej wyrzucać z siebie przykre słowa i żal do świata.

– Może to jakieś nieporozumienie i jutro wróci? – Próbowała bezskutecznie pocieszyć przyjaciółkę.

– Tacy jak Michał odchodzą na zawsze. Wydawało się, że miłość

i dziecko będą tym, co przyciągnie go do domu i rodziny. Wręcz przeciwnie. Przez dwa lata, mimo najróżniejszych sygnałów, starałam się stworzyć mu bezpieczne miejsce, do którego chciałby wracać. Zrezygnował z pielgrzymek, ale dalej szukał pomysłu na siebie. Od jakiegoś czasu wiedziałam, że nie nadaje się na wspólne, codzienne życie, jednak nadal łudziłam się.

Aldona pociągnęła nosem.

– Płaczę, bo czuję jednocześnie i żal, i ulgę. Tęsknię za nim, ale wiem, że natury nie zmienię.

– Może i lepiej, że to wszystko stało się teraz – powiedziała zamysłona Dorota. – Gdyby dziecko było na świecie, chyba trwałabyś we wszystkim nadal.

– Pewnie tak. Jeszcze tłumaczyłabym to jego dobrem. – Aldona uśmiechnęła się przez łzy. – Cieszę się, że przez dwa ostatnie lata miałam Michała. Dostałam od niego prezent na resztę życia.

Dalej siedziały w milczeniu. Dorota rozmyślała o swoim małżeństwie. Ze wzlotami i upadkami, ale jednak szczęśliwym i opartym na miłości. Może przyjdzie czas, że przyjaciółka trafi na odpowiedniego mężczyznę? Życzyła jej tego z całego serca.

Spojrzała na leżącą na kanapie ciężarną. Zasypiała. Była zmęczona ostatnimi przeżyciami. Dłonie trzymała na brzuchu, jakby chciała chronić maleństwo przed wszelkim złem tego świata. Będzie dobrą matką.

Dorota westchnęła i wyciągnęła telefon. Musi napisać wiadomość do Piotra, że dzisiaj nocuje poza domem.

\* \* \*

Aurelia Menzel z zadowoleniem rozejrzała się po mieszkaniu. Uwielbiała Adwent! Od tylu lat żyła w Niemczech, że przejęła tamtejszy sposób celebrowania tego wyjątkowego czasu. Choć pogoda za oknem wyglądała bardziej na jesienną niż zimową, w jej apartamencie czuć było Boże Narodzenie. Na parapetach postawiła świeczniki, na drzwiach wejściowych zawiesiła wieniec, firanę zmieniła na taką z ornamentem gwiazdkowym. Poustawiała aniołki, renifery i małe mikołaje. Ile rzeczy można kupić w takim małym miasteczku jak Gryfice! Kiedyś to było nie do pomyślenia! Teraz, gdziekolwiek weszła, to zaopatrzenie było tak do-

bre, jak w niemieckich sklepach. W księgarni dostała piękne kartki bożonarodzeniowe i opakowania na prezenty. A w jednym z supermarketów udało jej się kupić pierniczki i kawę z cynamonem. Jej zapach właśnie roznosił się po mieszkaniu. Christian bardzo lubił ją pić.

Rozejrzała się i nagle ogarnął ją smutek. Czy to wszystko ma sens, gdy mąż osobno i ona daleko? Zawsze wspólnie celebrowali Adwent. Siadali wieczorami, zajadając smakołyki i pijąc korzenną herbatę lub cappuccino. Bardzo często spotykali się z przyjaciółmi. Dla Niemców ten czas oczekiwania był znacznie ważniejszy niż dwudniowe Święta! Chodzili na koncerty, wystawy, jarmarki z niesamowitą atmosferą i grzanym winem. Spotykali się z bliskimi i znajomymi. Tego jej w Polsce brakowało. Przypomniała sobie scenę z księgarni. Aurelia taka radosna oglądała te wszystkie cudeńka prezentowane na półkach, że dopiero w ostatniej chwili doleciał do niej strzępek rozmowy sprzedawczyni i klientki.

– Nie lubię Bożego Narodzenia. Tyle człowiek się narobi, a dzieciaki przyjadą, wszystko zjedzą i pojadą. Do tego prezent trzeba dla każdego, a ostatnio życzą sobie coraz droższe.

– W październiku spłaciłam pożyczkę za poprzednie Boże Narodzenie i już musiałam wziąć kolejną – odpowiedziała zrezygnowana klientka. – Do tego tyle pracy mnie czeka! Generalne sprzątanie, dwanaście potraw do przygotowania... Ech, bez sensu to wszystko.

Aurelia stanęła przy ladzie. Wykładała na blat towar.

– Przepraszam, że się wtrączę. – Uśmiechnęła się. – A nie można zamiast tylu potraw zrobić połowę? Przecież i tak nikt tego nie przeje. Zamiast drogich prezentów polecam przygotowanie czegoś samodzielnie. Taka technika modna ostatnio – *decoupage* – daje ogromne pole do popisu. Próbowwały panie?

– Pięćdziesiąt cztery złote za wszystko. Boże Narodzenie musi być tradycyjne. Przynajmniej w Polsce jest to ważne – rzuciła zgryźliwie, widząc, że z portfela Aurelii wystają banknoty euro.

Wiedziała, że przekonywanie rozmówczyń nie ma najmniejszego sensu, więc się pożegnała i wróciła do siebie. Dopiero w domu na nowo poczuła świątecznego ducha.

Po południu miała wszystko gotowe. Jutro nada wypisane kartki.

Jedną wyśle także Christianowi. Przygotowała małe upominki dla Matyldy, lekarza i niektórych sąsiadów. Ten zwyczaj także przejęła od Niemców. Święta są doskonałym momentem na podziękowanie tym, którym należy się dobre słowo. Zrobiła sobie pachnącą orzechami kawę i już miała usiąść w fotelu, gdy usłyszała dzwonek. Przez chwilę pomyślała, że to może Christian. Otworzyła drzwi i mina jej zrzęda. Na progu stał Woźnica.

– Doobry – rzucił, patrząc z niesmakiem na wieniec. – Co to za badziewie?

– Słucham?

– To. – Ruszył ozdobę tak mocno, że spadły z niej dwa małe dzwoneczki. – Po cholere przywiesza pani na drzwiach takie zachodnie gówno? Polskie tradycje są zupełnie inne.

– Advent to dla mnie czas radości! – huknęła na niego tak głośno, aż echo poniosło po klatce. – Czy ja wyznaczam panu, co ma robić w tym czasie?

– Dobrze już, dobrze – próbował ją udobruchać. Od spotkania z feministkami w świetlicy wiejskiej czuł lekki respekt przed samotnymi kobietami. Nie wiadomo, do czego takie są zdolne. Ta cała Aurelia mieszka w Pobierowie już trzeci miesiąc i chłopa nie widać. Też pewnie wojuje z mężczyznami. – Niech pani przywiesza sobie na drzwiach choćby głowę jelenia, mnie nic do tego.

– I słusznie!

– Od rana obchodzę każdego mieszkańca i zapraszam na dzisiejsze zebranie.

– W jakim celu? – spytała nieco ciszej, nadal złowrogo spozierając na Antoniego.

– Nie wiem, czy pani słyszała o pomysle wójta, aby wybudować osuszarnię ścieków w Pobierowie. Zapewne wziął za to sporą łapówkę, bo tylko pieniądze mogą przekonać, aby w miejscu wypoczynkowym postawić smrodliwą inwestycję. Gdy powstanie, turyści nie będą tutaj przyjeżdżać i nasza miejscowość zbankrutuje! Na spotkaniu będę namawiał za odwołaniem wójta złodzieja i...

– Ma pan dowody? – spytała Aurelia.

– Na co?

– Na łapówki i te pomówienia, które pan snuje. Bez dowodów jest to zwykle oszczerstwo, które można skierować na drogę sądową.

Woźnica popatrzył na nią ze złością.

– Coś, co jest oczywiste, nie potrzebuje dodatkowych dowodów. Matuszewski jest osobą sprawującą urząd z ludzkiego wyboru. Owszem, musiało zamrozić trochę mieszkańców Pobierowa, gdy powierzali mu tę funkcję, jednak...

– Dobrze, będę wieczorem – przerwała mu.

– O osiemnastej! – krzyknął, zanim zamknęła mu drzwi przed nosem.

Co za człowiek, pomyślała. Zawistny, upierdliwy i niespełniony politycznie.

Przypomniała sobie wójta. Coraz bardziej przekonywała się do jego osoby. W salonie nadal stał ogromny bukiet kwiatów, które wysłał jej w podziękowaniu za pomoc udzieloną mu podczas udaru. Jego żona już zaprosiła ją na Święta, choć Aurelia jeszcze nie była pewna, gdzie je spędzi. To dobrzy ludzie. Wybierze się na zebranie. Tematu nie zna dokładnie, ale postara się bronić Matuszewskiego przed coraz mniej podobającym się jej Woźnicą.

\* \* \*

Świetlica wiejska pękała w szwach. Antoni był ogromnie zadowolony. Efekt jego działań przeszedł najśmielsze oczekiwania. Na spotkaniu zjawili się nie tylko stali mieszkańcy Pobierowa, ale także właściciele hoteli i pensjonatów, którzy byli uzależnieni od liczby turystów w sezonie.

Woźnica wiedział, że wójta nie będzie. W małej miejscowości wieści szybko się rozchodzą. Słyszał o chorobie i miesięcznym zwolnieniu z pracy. Żadnej innej osoby na zebraniu, poza Matuszewskim, się nie obawiał. Po pierwsze, nie wysyłał informacji o spotkaniu do urzędu. Bo i po co? To jego wiec! Gdyby włodarze gminy chcieli zorganizować swój, już dawno by to zrobili. Po drugie, nawet gdy zjawi się jakiś urzędnik, to nie będzie miał takiej siły przekonywania jak wójt.

Odchrząknął i poprosił o ciszę. Nastąpiła momentalnie.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – zaczął. – Zebraliśmy się, aby

podjąć jakąś decyzję w sprawie osoby, która najbardziej szkodzi naszej gminie, a już na pewno mieszkańcom Pobierowa. To wójt Matuszewski! – Gdyby mógł, wyplułby to nazwisko, zamiast je wymówić. – To on jest winny temu, że spotykamy się w tej świetlicy. Ma zamiar wybudować w naszej miejscowości oczyszczalnię ścieków. Czyszczone będą metodą suszenia gówna, mówiąc w skrócie. Nie muszę tłumaczyć, z czym to się wiąże! Z ogromnym smrodem we dnie i w nocy! Który turysta przyjedzie tutaj, gdy powstanie taki obiekt? Po to będzie płacił grube pieniądze, aby czuć odór jak z publicznej toalety?!

W tłumie zaszemrało. Ludzie potakiwali głowami, przyznając mu rację. Podniecony tym widokiem kontynuował:

– Nie chcę wyrokować, ale zapewne taka decyzja była mocno posmarowana. – Tu przedstawił scenkę wkładania koperty z pieniędzmi do kieszeni marynarki, a kolejne osoby przytaknęły z aprobatą. – Musimy powiedzieć „dość” korupcji i samowoli! Musimy zlikwidować system, w którym władza pragnie dla siebie korzyści finansowych, zamiast zająć się potrzebami społeczeństwa, czyli nas! Wójtowi Matuszewskiemu mówimy „nie”! On chce doprowadzić gminę do ruiny, a sam buduje pałace!

– Gdzie? – odezwał się donośny kobiecy głos. – Gdzie są te pałace?!

Woźnica popatrzył w prawo. Aurelia Menzel!

– To nie jest akurat przedmiotem naszego spotkania. – Próbował zbyć ją lekceważącym machnięciem ręki, ale się nie dała. Co za natrętna mucha!

– Przecież to pan zaczął ten temat.

– To była przenośnia, ale nie wszystkie kobiety są w stanie ją zrozumieć – rzucił kpiąco. – Wracając do sedna: nie możemy pozwolić na pogrążenie Pobierowa! Gównom mówimy stanowcze „nie”! – Ze środka sali dały się słyszeć pojedyncze oklaski. – Proszę, tu mam listę, na którą mają wpisać się wszyscy ci, którym leży na sercu dobro naszej miejscowości. Każdy chce odwołania wójta, który działa przeciwko mieszkańcom, prawda?

Pomruk, który przeszedł po sali, można było różnie interpretować.

– Od razu odwoływać? – zapytał jakiś mężczyzna. – Znam wójta od lat i wiem, jak wiele dobrego zrobił dla gminy. Teraz ma do podjęcia

trudną decyzję i...

– Dlaczego w takim razie nie ma go tutaj? – Antoni podniósł głos.  
– Nie ma odwagi spojrzeć wam prosto w oczy?

Tym razem pomruk aprobaty był głośniejszy.

– Pozwolą państwo, że ja zabiorę głos. – Usłyszał nieoczekiwanie.  
Do stolika, przy którym siedział Woźnica, przeciskała się Matylda.

– Nie chcemy słuchać jakiejś baby. – Antoni nie spodziewał się  
sołtyski na zebraniu. – Poza tym, to ja zorganizowałem spotkanie.

– Na plakacie figuruje jako wiejskie. Miałam prawo przyjść i wy-  
powiedzieć się.

– Mężulek stchórzył, co? – rzucił pogardliwie.

Matylda nie zaszczyciła go jednak spojrzeniem. Wykorzystała, że  
ludzie skupili na niej uwagę.

– Drodzy państwo! Nie da się dłużej trzymać tego w tajemnicy.  
Władysław nie może być obecny na zebraniu, bo kilka dni temu prze-  
szedł udar. – Po sali rozeszło się współczujące westchnięcie, a kobieta  
została zasypana pytaniami o stan zdrowia męża. – Na szczęście był nie-  
groźny, a pomoc przyjechała bardzo szybko – uspokoiła zebranych.  
– Władysław pracuje teraz w domu, choć musi ograniczyć stres. Ostatnio  
miał go bardzo dużo. Nie będę mówić, z czyjego powodu. – Wymownie  
spojrzała na Antoniego, który, próbując zachować spokój, nadal uśmie-  
chał się kpiąco.

– Stan zdrowia wójta nie jest przedmiotem naszego spotkania – po-  
wiedział.

– Już przechodzę do rzeczy – zwróciła się do mieszkańców. – Dwa  
miesiące temu samorządowcy dowiedzieli się, że za rok wchodzą w ży-  
cie nowe przepisy o ochronie środowiska i coś z osadami pościekowymi  
trzeba będzie zrobić. Buduje się w tym celu suszarnie. Każda miejsco-  
wość, w której są zakłady wodociągowe, musi taką posiadać. Nasza tak-  
że. Mój mąż od dłuższego czasu, wraz z pracownikami, analizował, któ-  
ra oczyszczalnia byłaby najlepsza. Proszę, tutaj mam projekty.

Matylda podeszła do tablicy i przypięła magnesami dwie duże kart-  
ki.

– Najtańsza jest suszarnia słoneczna. – Wskazała jeden z plakatów.  
– Nie gwarantuje ona jednak całkowitego wykluczenia przykrych zapa-



chów, a zaledwie w dziewięćdziesięciu procentach.

– Pan Woźnica mówił, że ma być zasmrodzone całe Pobierowo i to tak, że nie będzie można oddychać! – rzucił ktoś z zebranych.

– To może niech pan Antoni zaprezentuje jakieś dane? – zaproponowała pani sołtys. – Na jakichś przecież musiał się opierać, opowiadając takie rzeczy.

Ludzie skupili wzrok na poczerwieniałym nagle Woźnicy.

– Cóż, żadnych statystyk prezentować nie będę. Oczyszczalnia wiąże się ze smrodem i to chyba oczywista oczywistość dla wszystkich. Nie będziemy mieszkańcom robić wody z mózgu i twierdzić, że szambo pachnie perfumami.

– Technika poszła zdecydowanie do przodu. – Matylda wskazała drugi afisz. – Jedną z możliwości jest suszarnia termiczna, niwelująca prawie wszystkie zapachy, ale koszt jej budowy przekracza możliwości gminy i konieczny byłby kredyt. Wójt rozmawiał w tym tygodniu z dwoma bankami, aby uzyskać jak najkorzystniejsze oprocentowanie.

– Szmer aprobaty przeszedł po obecnych. Nikt nie zwracał uwagi na Woźnicę zaciskającego pięści. – Jako sołtyska Pobierowa proponuję wybrać się na wycieczkę. Może w niej wziąć udział każdy, kto wyrazi taką wolę. Pojedziemy do miasta, w którym już istnieje taka oczyszczalnia wykorzystująca technologię suszenia osadów ściekowych i na własnej skórze, choć właściwie na nosach, przekonamy się, jak jest naprawdę.

Ludzie zaczęli bić brawo.

– Zaraz, zaraz – próbował przekrzyczeć wszystkich Woźnica.

– Naprawdę wierzycie tej babie?

– Proszę powściągnąć język – odezwał się jakiś mężczyzna. – Baby to ma pan w nosie. Nie wolno nikogo obrażać.

Antoni machnął ręką z lekceważeniem.

– Przyszła sobie niezaproszona na moje spotkanie i wcisnęła wam bajeczkę o chorym wójcie! Bujda! Przecież to zwykły alkoholik i łotr.

Proszę, wpiszcie się na te listy. – Wymachiwał białymi kartkami.

– Im więcej głosów zdobędziemy, tym łatwiej uda się nam odwołać tego nieudacznika!

Matylda miała dość.

– Drodzy mieszkańcy! Ja mogę być opluwana przez tego pana, bo

nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Ot, tyle jego, co sobie pogada. Jednak jeśli ktoś zaczyna obrażać bliską mi osobę, w dodatku sprawującą swój urząd z waszego wyboru... Władysław wiele lat służył tej gminie. Rozkwitła pod jego rządami. Mój mąż z radością jeździł każdego dnia do pracy. Od kilku miesięcy sytuacja się jednak zmieniła. Powiem otwarcie, że za sprawą tego oto pana – wskazała Antoniego – mój mąż jest kłębkim nerwów. Każdego tygodnia ów pan pisze tyle pism, wniosków i zażaleń, że pracownicy nie robią nic innego, jak tylko skupiają się na odpowiadaniu mu. Mało tego, informuje o wszystkim inne instytucje i nasyła kontrole. Zestresowani urzędnicy zamiast zajmować się czymś konstruktywnym, piszą odpowiedzi na absurdalne pytania.

– Na przykład: „Jakim prawem wójt wymienił żarówki w ulicznych lampach z białych na żółte? Czyżby dostał łapówkę od producenta?” – Obok sołtyski stanęła Milena Turowska z przygotowanymi notatkami. – „Wójt w miniony piątek wyszedł z urzędu o 15.58, choć powinien o 16.00. Jak można tak lekceważyć mieszkańców gminy?”. I następane: „Skąd wójt ma pieniądze na nowy płot wokół domu?”. Tych pism jest naprawdę cała masa. Podałam tylko przykłady z ostatniego tygodnia.

– Czy pan zwariował? – Doktor Waldemar ze zdumieniem popatrzył na Woźnicę. – Słyszałem o tych pismach, ale nie przypuszczałem, że są tak idiotyczne!

– Jestem mieszkańcem Pobierowa, więc mam prawo interesować się wszystkim, co dzieje się w tej miejscowości! – krzyknął Antoni. – A obowiązkiem urzędasów jest odpowiadanie na każdy z moich listów!

– Urzędników, nie urzędasów. Proszę nie obrażać pracowników administracji publicznej – powiedziała Matylda srogo.

– Słyszałem o pewnym takim przypadku w Wielkopolsce. – Doktor ponownie zabrał głos. – Jakiś burmistrz miał identyczny problem. Upierdliwy petent przynosił wręcz całe naręczna pism i listów, pełne głupot i absurdalnych problemów. Ktoś wpadł na pomysł, aby rozdawać żółte papiery takim pieniaczom. Można ubezwłasnowolnić takiego obywatela, nie traktując poważnie jego bzdurnych postulatów. Zastanawiam się, czy nie zgłosić takiego wniosku na najbliższej sesji Rady Gminy – zakończył ostro.

Z tłumu dochodziły głosy aprobaty.

– To świetny pomysł!

– Wiedziałem, że ten Woźnica ma nierówno pod sufitem!

– Przypomnijcie sobie akcję z nim i kotką w schronie! Już wtedy miałem podejrzenia!

Antoni zebrał puste kartki, które przyniósł ze sobą i rzucając przekleństwami na prawo i lewo, usiłował opuścić salę.

– Jesteście durnymi ludźmi i wybieracie durnia na wójta!

Nikt jednak nie przejmował się jego słowami. Ludzie zgromadzili się wokół Matyldy, dopytując na przemian o zdrowie wójta i o suszarnię osadów pościekowych. Byli też tacy, którzy gratulowali jej opanowania.

– Wielokrotnie podczas dzisiejszego wieczoru miałam ochotę dać temu panu w twarz – przyznała Aurelia Menzel.

– Agresja nie jest rozwiązaniem – uśmiechnęła się Matylda. Była wyczerpana po dzisiejszym dniu. Mieszkańcy powoli rozchodzili się do domów, choć zapewne ten wieczór na długo będzie żył w ich rozmowach podczas najbliższych spotkań. Sołtyska była zadowolona. Nie tylko dlatego, że obroniła dobre imię Władysława. Cieszyła się, że sprawuje swoją funkcję w miejscowości, która ma takich wyjątkowych mieszkańców. Wracała pełna euforii. Jeszcze trochę i wreszcie będzie Boże Narodzenie. Wstąpiła w nią iskrząca się nadzieja.

\* \* \*

Ryszard prowadził ostrożnie. Miał zimowe opony, a tu jakby wiosna przyszła. Nie spodziewał się takiej połowy grudnia. Gdzie te lata, kiedy śnieg padał już od końca listopada, a w Wigilię ludzie kopali tunele, aby dostać się do kościołów na pasterkę? Odeszły w zapomnienie. We wczorajszych wiadomościach pokazywali, jak przyroda powariowała z powodu nieoczekiwanego ciepła. Jabłonki po raz drugi kwitły, tulipany wypuszczały pędy, a zwierzęta, normalnie przesypiające zimę, nie mają zamiaru udać się na spoczynek! Zaraz jednak przypomniał sobie księdza Witolda. Właściwie to dobrze, że tegoroczna zima przypomina wiosnę. Duchowny nie ma problemu z zimnem ani śniegiem. Dwa dni temu dzwonił do niego, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Staruszek opowiadał o złym samopoczuciu.

– Ale nie wychodził ksiądz nigdzie? – spytał zaniepokojony Ryszard.

– Nie. Zrobił pan takie zapasy, że na długo wystarczą – odpowiedział, jednak słabszym głosem niż zazwyczaj.

– Odwiedzał ktoś okolicę? – Po udarze Władysława Ryszard odebrał klucze od Matyldy, zapewniając, że ktoś miejscowy będzie doglądał dobytku. Nie chciał, by wydała się jego tajemnica związana z księdzem.

– Nikt tu nie zagląda. Nie widziałem żywego ducha od kilku tygodni. – Ostatnie słowa powiedział tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

– Czy coś księdza boli? – zaniepokoił się Ryszard.

– To chyba osłabienie – odparł tamten. – Zazwyczaj dopada mnie o tej porze roku.

– Mam wezwać lekarza?

– Nie, to przejdzie. U medyka nie byłem od lat. Właściwie dla nikogo w tym Gostyniu nie istnieję. Uważają mnie za niegroźnego wariata, którego jednak trzeba unikać.

– Gdyby ksiądz poczuł się gorzej, proszę do mnie zadzwonić.

– Dobrze.

Wczoraj też do niego telefonował. Wystraszył się, bo pierwsze trzy próby połączenia pozostały nieodebrane. Odezwał się dopiero za czwartym razem. Głos miał jeszcze słabszy i cichszy niż poprzednio.

– Wezwę karetkę – zapowiedział Ryszard.

– Nie... Nie ma... takiej potrzeby... To chwilowe... Zaparzyłem herbatę i zaraz zjem kolację... To postawi mnie na nogi...

Tego ranka wyjechał ze Szczecina najwcześniej, jak się dało. Podjechał jeszcze pod całodobową aptekę i kupił kilka preparatów wzmacniających, coś na przeziębienie i zestaw witamin. Ze spiżarki wziął syrop malinowy i z czarnego bzu. To szybko pomoże księdzu Witoldowi. W schronisku ciężko o takie rzeczy. Po znajomości zdobył miejsce dla duchownego i nie chciałby więcej nadwerężyć uprzejmości i dobrego serca kierownika.

Słońce przedzierało się przez chmury. Z głównej drogi zjechał w lokalną do Kamienia Pomorskiego, a stamtąd do Gostynia. Kolejny plus tej wyjątkowo ciepłej pogody. Polna droga dojazdowa była przejezdna i pokonał ją bez problemu. Zaparkował przed bramką. Zerknął

w stronę domku, licząc, że na powitanie wyjdzie ksiądz Witold. Niestety, nie pokazał się. Ryszard żałował, że wczorajsza rozmowa została tak szybko zakończona i nie zdążył przekazać, o której dzisiaj przyjedzie. Może emerytowany proboszcz poczuł się na tyle dobrze, że wyruszył na spacer do lasu, do grobu ojca? Miał nadzieję, że nie. W takim wieku o zasłabnięcie łatwo.

Ryszard wypakował drożdżówki, po które raniutko skoczył do osiedlowego sklepiku. Zerknął w stronę drzwi. Czy mu się zdawało, czy były uchylone? Im bardziej się do nich zbliżał, tym większy ogarniał go niepokój. Ewidentnie były niedomknięte!

– Proszę księdza, jestem! – krzyknął, popychając je. Specjalnie zachowywał się tak, aby nie wystraszyć staruszka nagłym pojawieniem się. Nie usłyszał jednak odpowiedzi.

– Księżu Witoldzie, przyjechałem. – Postawił zakupy na kuchennym stole. Przeszedł do sypialni obok, sprawdzając niewielki pokoik. Nigdzie nie było duchownego.

Ryszard wrócił do kuchni. Na zlewie zauważył szklankę z herbatą. Była nienaruszona. To chyba nie ta sama, o której wspominał poprzedniego wieczoru?

– Proszę księdza! – krzyknął ponownie, choć właściwie bezcelowo.

Zaczęła ogarniać go złość. Czyli staruszek wyszedł mimo złego samopoczucia! Do tego był na tyle nieodpowiedzialny, że zostawił otwarte drzwi, przez które każdy mógł dostać się do środka i wynieść choćby lodówkę! Zżymał się sam na siebie. Głupio postąpił, biorąc księdza do domku. Może rzeczywiście był wariatem, za którego uważali go mieszkańcy Gostynia? Włóczył się po lasach i polach, rozmawiając z Bogiem, wracając na plebanie tak, że nikt nie był pewny, czy tam jest, czy nie. Kto wie, co takiemu człowiekowi przyjdzie do głowy! Do tego w środku jest straszny zaduch.

Ryszard odwrócił się, aby otworzyć okno. Wtedy zauważył księdza Witolda. Leżał przy pniu jabłunki.

– Jezus, Maria! – wykrzyknął i błyskawicznie wybiegł z domku. Po chwili pochylał się nad duchownym. Nie musiał być medykiem, aby stwierdzić, że nie żyje.

– Boże mój... – wyszeptał, obracając lekko zmarłego. Powieki

miał półprzymknięte. W rękę trzymał różaniec. Koraliki były zdarte do żywego drewna od wieloletniego używania. Kto wie, może to jeszcze pamiątka po matce? Uzmysłowił sobie, gdzie się obaj znajdują. Ksiądz Witold zmarł tuż obok swojej pochowanej po kryjomu matki. Ona wydała go na świat, potem chroniła przed ludzką hańbą i teraz znowu są razem.

To wtedy wpadł na ten pomysł. Jakże szalony i niosący za sobą poważne konsekwencje. Jeżeli go nie zrealizuje od razu, myśl z wariackiej zrobi się normalna, a wtedy... Wtedy ksiądz Witold nigdy obok matki nie spocznie.

Przesunął zmarłego na bok i poszedł do schowka po łopatę. Ziemia nie miała jeszcze okazji, by w tym roku zamarznąć. Gleba była wysuszona i nadspodziewanie lekka. Jednak po kwadransie zaczynało brakować mu sił. Zawziął się i pracował dalej. Koszula lepiała się od potu, komary siadały na nim co chwilę, ale nie ustawał. To musiał być naprawdę duży dół. Po godzinie bolał go każdy mięsień, ale nie podejmował się tym. W końcu przestał, oceniając, że jest wystarczająco głęboki.

Ułożył duchownego na dnie. Założył mu jedną dłoń na drugą, splatając je różańcem. Sprawdził kieszenie spodni. W jednej znalazł portfel, którego jedyną zawartością było czarno-białe zdjęcie matki. Położył je pod różańcem. Wrócił na chwilę do domku i przyniósł stamtąd wysłużony modlitewnik pozostawiony na kuchennym stole. Ułożył go obok zmarłego. Zmówił szybką modlitwę i zabrał się za zakopywanie grobu. Wyrównał wszystko. Jedyne plac czarnej ziemi wskazywał, że było tu coś robione. Na spulchnionych grudach położył gałęzie złamanej jabłoni. Stwierdził, że niczego już nie widać.

Wątpliwości, czy zrobił dobrze, ogarnęły go, gdy tylko usiadł przy kuchennym stole. Jakie to było nieodpowiedzialne! Przecież ktoś w końcu się zorientuje, że ksiądz nie żyje. Owszem, nie dostawał żadnych uposażeń, ale przecież człowiek nie może tak zniknąć bez śladu. Co będzie, gdy go oskarżą?

„Byłem niewidzialny, odkąd przeszedłem na duchowną emeryturę. Młodzi proboszczowie nie lubią opiekować się starymi. Nie chcą pisać w ich imieniu pism do kurii. Stary ksiądz to piąte koło u wozu. Dlatego rano wychodzę tam gdzie mnie potrzebują. Idę do lasu i rozmawiam z każdym drzewem. Długo modlę się nad grobem ojca czy pochowaną

pod jabłonią matką. Żywi mnie już nie potrzebują”. Ryszard przypomniał sobie te słowa oraz fakt, jak obecny duszpasterz odetchnął z ulgą na wieść, że Ryszard zabiera księdza Witolda z plebanii. Nawet nie zapytał dokąd! Ucieszył się, że pozbył się zbędnego ciężaru. Jednak to była dobra decyzja.

Dziwnie się czuł teraz sam w tym miejscu. Jeszcze wczoraj mieszkał tu duchowny, a dzisiaj nie żyje. Ryszard nie odczuwał strachu. Raczej ulgę, że ksiądz spoczął obok osoby, która była mu najbliższa. Wy tłumaczył sobie, że zrobił dla niego to samo, co on dla swojej matki.

Wszedł do pokoiku, który przez tych kilka dni zajmował ksiądz. Ściągnął pościel z łóżka i postanowił zabrać ją do Szczecina. Dopiero wtedy dostrzegł torbę z rzeczami zmarłego. Zupełnie o niej zapomniał! Przejrzał jej zawartość. Było tam trochę ubrań, jakieś buty i sutanna. Odda to do schroniska. Właściwie i tak będzie musiał tam podjechać i powiadomić, że sprawa jest nieaktualna. Przez drogę obmyśli, jaki powód podać, bo przecież nie powie, że podopiecznego właśnie zakopał pod jabłonką!

Spakował wszystko i jeszcze raz sprawdził, czy w domku nie ma śladu po obecności księdza. Nie było. Włożył rzeczy do samochodu, odłączył prąd i wodę. Nie wiadomo, kiedy przyjadą z Zoją do Gostynia. Ostatni raz zmówił modlitwę nad grobem i dziwnie spokojny ruszył w drogę powrotną do Szczecina.

\* \* \*

Aldona rozejrzała się po mieszkaniu. Do Bożego Narodzenia zostało zaledwie kilka dni. Wypadałoby zrobić jakieś porządki. Jedynym pomieszczeniem, które lśniło nieskazitelną czystością, był pokój dziecka. Co drugi dzień przecierała w nim kurze i oglądała równe stosiki dziecięcych ubranek, ułożone w kolorowej komodzie. Chyba tutaj postawi tę niewielką choinkę, którą ma schowaną w kartonie. Miała być niespodzianką dla Michała.

Odgoniła od siebie wspomnienie ukochanego. Przeszła do pokoju dziennego. Niewielkie okna były bardzo zabrudzone. Wypadałoby je umyć. Przypomniała sobie, co niedawno mówiła Dorota.

– Ciężarne mają zakaz jakichkolwiek poważniejszych prac. – Groziła palcem przyjaciółce, gdy tamta zapomniała się i przesunęła łóżeczko. – Nie wolno ci myć okien, wieszać firanek, zaglądać przez dziurkę od klucza...

– A to ostatnie dlaczego?

– Dziecko urodzi się zezowate. Nie możesz też myć progów, bo będzie łyse.

– Dziewczynkom to nie grozi – roześmiała się Aldona.

– Nie kuś losu! Przypadkiem nie wystraszyć się i nie złapać gdzieś na ciebie! Murowane jest wtedy znamię w tym miejscu.

– U mnie?

– Zgłupiałaś? U dziecka!

Śmiały się wtedy obie. Do porządków przedświątecznych należy jednak podejść poważnie. Jeżeli będzie robiła wszystko powoli, z przerwami na odpoczynek, to przygotowuje mieszkanie tak, aby było piękne. Co z tego, skoro Boże Narodzenie spędzi w nim sama? Mama chciała z nią zostać, gdy tylko się dowiedziała o odejściu Michała. Nie potępiła go ani słowem, skupiając się jedynie na córce i dziecku.

– Zrezygnuję z tego wyjazdu. Egipt nie zając, wyjadę innym razem – zapowiedziała.

– Nie zgadzam się, mamo! Masz jechać i dobrze się bawić. To niepowtarzalna okazja. Tyle czasu odkładałaś na podróż, że nie możesz teraz jej odwołać. Ja dam sobie radę. – Aldona rzeczywiście w to wierzyła.

– Nie możesz Świąt spędzić samotnie!

– To tylko symboliczna samotność. Myślami będę z wami. Mam



też maleństwo w brzuszku. Myślę, że taka chwila wytchnienia dobrze nam wszystkim zrobi. Pod koniec stycznia, gdy dziecko przyjdzie na świat, życie nabierze rozpędu i wtedy z pewnością będę potrzebowała wypoczętej babci.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

– Tak! Nie będzie was tylko przez dwa tygodnie. Sylwestra spędzimy już razem – przekonywała matkę do podróży.

Wczoraj pożegnała ją na lotnisku.

Rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu i obmyśliła plan. Najpierw ściągnęła firanki. Nie były długie, więc całkiem sprawnie jej poszło. Nastawiła pranie i zajęła się myciem szyb. Po pierwszym oknie zrobiła niedługą przerwę. Później wyczyściła dwa kolejne i rozwiesiła wyprane firanki. Odczuła lekki ból w tyle pleców.

– Położę się na chwilę – powiedziała na głos sama do siebie.

Zasnęła w ciągu dwóch minut. Sen przyszedł od razu. Ten sen... Znow była w pustym dziecięcym pokoju. Niemowlę rozpaczliwie płakało. Zbliżała się do łóżeczka, pragnęła wziąć maleństwo w ramiona i uspokoić je, ale gdy po nie sięgała, materacyk był pusty. Żal, jaki ją ogarnął, nie dał się opisać słowami. Narastał od środka, aż bolał.

– Auć! – Zbudziła się nagle z głośnym krzykiem.

Sen minął, ból jednak pozostał. Wstała z kanapy i wtedy poczuła ciecz na udzie. Wąska i ciepła stróżka zrobiła sporej wielkości plamę na dresowych spodniach. Do tego po chwili znowu poczuła ból w dole pleców. Wiedziała, co to oznacza.

Torbę miała spakowaną od początku grudnia. To było jedno z zadań w szkole rodzenia, do której uczęszczała. Michał miał chodzić tam razem z nią, nie zjawił się jednak ani razu. Obok przyszykowanych rzeczy leżała książeczka z zarejestrowanym przebiegiem ciąży i wszystkie dokumenty.

– Dziecko spieszy się na świat, a ja śmierzę płynem do mycia szyb – mruknęła pod nosem, usiłując zmyć z dłoni chemiczny zapach. Dopiero po chwili zauważyła absurdalność sytuacji. Aż parsknęła śmiechem.

Zadzwoiła do ginekologa.

– To trzydziesty piąty tydzień, ale proszę się nie denerwować – po-

wiedział do słuchawki. – Mam akurat dyżur w szpitalu, więc proszę przyjechać. Ojciec dziecka również będzie? Pielęgniarki mogą przygotować pokój do porodu rodzinnego.

– Ojca nie będzie – powiedziała twardo i dobitnie. – Przyjadę najprawdopodobniej sama.

Lekarz wypytał jeszcze o częstotliwość skurczów i zakończyli rozmowę. Już odkładała telefon, gdy w przypływie impulsu postanowiła zadzwonić do Doroty.

– Naprawdę? Zaczęło się?! – pytała tamta podekscytowana, jakby sama miała za chwilę urodzić. – Jadę do ciebie! Amelka jest z opiekunką, bo miałam dzisiaj po urzędach pobiegać, ale one nie uciekną! Jutro będą stały w tych samych miejscach.

– Nie musisz... – zaczęła Aldona, ale przyjaciółka przerwała jej.

– Ale chcę! Już wyjeżdżam, spotkamy się na miejscu.

Połączenie zostało przerwane. Przyszła mama wezwała taksówkę i po dwudziestu minutach była w izbie przyjęć. Na szczęście prawie nie było pacjentów. Pielęgniarka zabrała ją na oddział położniczy, gdzie opiekę nad nią przejął ginekolog.

– Rozwarcie na dwa centymetry – powiedział. – Poród może potrwać kilka godzin. Zlecę siostram, aby podłączyły panią do KTG.

Już po chwili wokół brzucha płątały się kabelki i elektrody. Z maszyny wychodził zapis częstotliwości i siły skurczów oraz serca maleństwa.

– Tu jesteś. – W drzwiach stanęła Dorota. W jednej ręce miała kwiaty, a w drugiej baloniki z Kubusiem Puchatkiem.

– Nie za wcześnie z tym? – roześmiała się Aldona.

– Oj, tam, nie będę dwa razy obracać. – Przyjaciółka także się uśmiechnęła. – Powiedz, jak się czujesz? Mocno cię boli?

– Na razie jest znośnie. Chciałabym, aby już było po wszystkim.

– Już niedługo będziesz tuliła córcię do siebie. No właśnie...

Co z imieniem? Mieliście zastanawiać się nad nim w Boże Narodzenie.

– Dorota powiedziała te słowa, nim zdążyła ugryźć się w język.

– Mieliśmy... Ale już nas nie ma. Sama zdecydowałam. Jestem ja i Ewa. Będzie dla mnie świątecznym prezentem, choć miała narodzić się dopiero w przyszłym roku.

Rozmowę przerwało popiskiwanie urządzenia. Do pokoju weszła pielęgniarka, która z uwagą zerknęła na wykres.

– Zapis serduszka jest nieprawidłowy. Przesunę trochę elektrody, być może to wina złego podpięcia. Jeżeli sygnał się powtórzy, to zawołam lekarza.

Pięć minut później ponownie dało się słyszeć piszczenie. Aldona śmiertelnie się wystraszyła.

– Co się dzieje? – spytała doktora, który pojawił się wraz z siostrą.

– Dziecko może być obwiązane pępowiną. Nie będziemy ryzykować, czekając na rozwój akcji porodowej. Zabieramy panią na salę operacyjną. Za kwadrans mamy cesarskie cięcie.

Momentalnie w pokoju pojawiły się inne pielęgniarki, krzątały się, odłączały ciężarną od sprzętów, zmieniały jej koszulę nocną. Ktoś wsunął jej kaptur, ktoś pobrał krew. Dorota dodawała otuchy przyjaciółce, choć sama była przerażona. Jako matka doskonale rozumiała obawę o życie dziecka. W końcu posadzono przyszłą mamę na wózku i szybko udano się z nią do sali, gdzie czekał anestezjolog.

Dorota krążyła zdenerwowana po korytarzu. Nie mogła wejść na salę operacyjną. Zadzwoiła do Piotra, który z niecierpliwością czekał na rozwój wydarzeń.

– Trzymajcie się obie dzielnie. – Podnosił żonę na duchu.

Spacerowała w tę i z powrotem, a czas dłużył się niemiłosiernie. Wreszcie po godzinie wyszła pierwsza pielęgniarka.

– Wspaniała, zdrowa dziewczynka. – Dorota wypuściła wstrzymane powietrze. – Jest w inkubatorze. Miała lekkie problemy z oddychaniem. Rzeczywiście była owinięta pępowiną.

– Dzięki Bogu, miała dużo szczęścia! – mówiła Dorota przez łzy.

– Obie miały. – Usłyszała w odpowiedzi. Zanim jednak zdążyła zapytać, o co chodzi, siostra zniknęła za drzwiami. Kwadrans później Aldonę wieziono na salę pooperacyjną. Była wyczerpana. Znieczulenie powoli odchodziło i zaczynała odczuwać ból.

– Wszystko dobrze? – spytała zaniepokojona Dorota.

Aldona tylko pokiwała głową i zamknęła oczy. Po chwili w pokoju pojawił się lekarz.

– I jak, pani Aldono? Wróciło czucie?

Skinęła głową.

– Mała jest teraz pod opieką neonatologa. A pani po tym wszystkim, co się wydarzyło, wykonamy specjalistyczne badania. To chyba pierwszy taki przypadek w mojej wieloletniej medycznej karierze.

– Co się stało? Czy w końcu się dowiem? – Przyjaciółka świeżo upieczonej mamy aż zaciskała palce ze zdenerwowania.

– Dobrze, że zdecydowaliśmy się na cesarskie cięcie. Podczas zabiegu odkryliśmy drugi płód. Był przytwierdzony do łożyska. Przestał się rozwijać około dwunastego tygodnia ciąży. – Lekarz nie przyznał się, że nieoczekiwane znalezisko przykuło jego uwagę podczas ostatniego badania ultrasonografem. – Był już lekko zwapniony.

– Mój Boże! – Dorota przytknęła dłoń do ust. – Bliźniak?

– Tak. Niezwykle rzadko zdarzają się takie historie. Pacjentka miała naprawdę dużo szczęścia. Organizm nie uznał martwego płodu za wroga i nie wdało się zakażenie, które z pewnością byłoby śmiertelnie niebezpieczne. Właściwie możemy mówić o cudzie.

Aldona poruszyła się na łóżku. Otworzyła oczy.

– To był chłopiec, prawda? – wyszeptała cicho.

Lekarz skinął głową i odrzekł:

– Tak. Narządy płciowe zaczęły się wykształcać.

Dreszcz przeszedł Dorocie po plecach. Przypomniała sobie, co przyjaciółka opowiadała o śnie z płaczącym niemowlęciem, którego nie było widać.

– W mojej wieloletniej karierze lekarskiej jest pani pierwszym takim przypadkiem. Dobrze, że zdecydowaliśmy się na tę operację. Kto wie, jak mógłby się skończyć poród siłami natury...

Jeszcze raz przejrzał kartę pacjentki i wyszedł z pokoju.

– Zajrzysz do Ewy? – poprosiła Aldona. – Zobacz, czy wszystko z nią w porządku.

Gdy tylko została sama, pozwoliła sobie na łzy. W myślach zma-wiała modlitwę. Prosiła Boga, aby opiekował się jej małym aniołkiem, który tak bardzo zżył się z mamą, że odwiedzał ją w snach.

– Zawsze będziesz w moim sercu, Adasiu. Synku najmilszy... – szeptała.

\* \* \*

– Mamo, będziecie bardzo zawiedzeni, gdy powiem, że nie przyjeździemy? – Piotr od rana zbierał się, aby zadzwonić do matki.

– Co się stało? Amelka zachorowała?! Czy wydarzyło się coś gorszego? – Zaniepokojona Matylda zasypała go pytaniami.

– Nie, u nas wszystko dobrze – odparł uspokajająco. – Nie możemy jednak zostawić przyjaciółki samej. To długa historia. – Piotr pokrótce opowiedział, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach.

– Biedna dziewczyna – westchnęła matka.

– Mamo, wierz mi, chciałbym mieć tyle siły, co ona. Podnosi się z każdego upadku, a los jej nie szczędzi. Zrozumcie, dopiero wyszła ze szpitala, a jej matka wraca z zagranicy dzień po Bożym Narodzeniu. Nie możemy jej opuścić w takim czasie.

– Oczywiście, że nie! – zgodziła się z synem. – Trudno, zobaczymy Amelkę nieco później.

– Wybieracie się w góry?

– Tak. Lekarz nie ma nic przeciwko wyjazdowi, o ile Władysław będzie przestrzegał zaleceń.

– Jak on się czuje?

– Chyba zapomniał już o udarze. Ma zwolnienie do końca roku, choć codziennie przyjeżdża ktoś z urzędu z dokumentami i problemami, które nie mogą czekać.

– Nie męczą go zbyt?

– Nie wydaje mi się, aby mój mąż wyglądał na wykończonego.

On kocha swoją pracę. Jest nałogowym wójtem. – Oboje serdecznie się roześmieli.

Po rozmowie z synem Matylda zabrała się za szykowanie kruchych ciasteczek. Do Wigilii pozostał niecały tydzień, a ona dopiero zaczynała robić zakupy i przygotowywać się do przyrządzania smakołyków. Władek miał gościa. Postanowiła, że po jego wyjściu przekaze mu najnowsze informacje. Będzie niepokieszony. Codziennie mówił o Amelce i ogromnie się cieszył, że ją zobaczy. Ona także! Czowała się zawiedziona, ale doskonale rozumiała Dorotę i Piotra. Sama tak właśnie by postąpiła. Dobrze wychowała syna.

Zerknęła przez okno. Ze skrzynki pocztowej wystawały koperty.

Widać przed chwilą był tu listonosz. Pomyślała, że zanim zacznie dłubanie przy ciastkach, wyjmie korespondencję.

Już po chwili wracała do domu z plikiem kopert. Pobieźnie je przejrzała. Dwa rachunki, kilka kartek z życzeniami od znajomych i awizo. Zdenerwowała się. Przecież była w domu, a listonosz nawet nie zadzwonił! Nie chciało mu się tracić czasu, więc wrzucił blankiet do skrzynki. Musi jak najszybciej podejść na pocztę i zgłosić sprawę kierownicze. Przecież tak nie można! Były już skargi na tego młodego człowieka. Pobierowo się rozbudowuje i aby trafić pod niektóre adresy, trzeba naprawdę się najeździć. Bywało, że listonosz zbierał pocztę z kilku dni, związywał koperty recepturką i raz w tygodniu podjeżdżał tam, gdzie miał daleko. Potem ludzie odkrywali taką zbiorczą korespondencję, a w niej przeterminowane rachunki lub ważne pisma, które wymagały bezzwłocznego doręczenia. Skoro miał odwagę sołtysce wrzucić awizo bez sprawdzenia, czy ktoś jest w domu, to równie dobrze może to zrobić jakiejś starszej osobie mającej trudności w poruszaniu się. Natychmiast trzeba powiadomić naczelnickę!

Matylda zajrzała do gabinetu męża i poinformowała go, że wychodzi. Na pocztę dotarła po dziesięciu minutach. W urzędzie była kolejka, jak to przed Świątami. Ludzie łudzą się, że nadane przez nich kartki i paczki dojdą przed Wigilią. Sołtyska ustawiła się w kolejce. Zmęczone urzędniczki przyjmowały kolejne przesyłki. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem.

– Czy na poczcie pracują same analfabetki?! – Nawet nie musiała się odwracać, aby się upewnić, kto zawitał na pocztę. Woźnica nie zwracał uwagi na czekających ludzi. Ogonek lekko się ożywił w oczekiwaniu na dalszy ciąg osobliwej wizyty. Antoni doskonale się czuł przed publicznością.

– Poczta jest opłacana z naszych podatków i chyba mamy prawo oczekiwać najlepszej jakości pracy! – Mężczyzna stanął pośrodku, wodząc pewnym siebie wzrokiem po obecnych. – Jeżeli my za coś płacimy, to oczekujemy, że będzie to rzetelnie wykonane! Jeśli nie jest, mamy prawo przyjść i złożyć reklamację! Zgadza się?

Ktoś przytaknął, reszta jednak czekała na rozwój sytuacji.

– Pytam zatem powtórnie, pani naczelnik! – Tym razem zwrócił się

bezpośrednio do zmęczonej kobiety w okienku numer jeden. – Czy pani jest analfaberką? A może któraś z pracownic jest ograniczona umysłowo?

– Jest pan w miejscu publicznym, proszę nikogo nie obrażać – wtrąciła się Matyllda. – W razie czego wszyscy, jak tu stoimy, możemy służyć w sądzie za świadków pomówienia.

Antoni odwrócił się ze złością. Dopiero teraz ją zauważył. Gdziekolwiek pójdzie, natyka się na tę cholerną babę!

– To nie pani sprawa! Proszę się nie wtrącać!

– Ależ pan ją upublicznił, wpadając tu jak huragan i rzucając obelgi.

Machnął ręką i podszedł do okienka.

– O co chodzi? – spytała naczelniczka zmęczonym głosem.

– Cztery dni temu nadawałem w waszej placówce kartkę z życzeniami do ważnego polityka w Warszawie. Ba, nieskromnie dodam, że bliskiego przyjaciela! I co? Któryś z jełopów tu pracujących nie przekazał listu dalej, tylko odesłał nedoręczony z powrotem.

– To niemożliwe – powiedziała kobieta w okienku.

– Niemożliwe?! Głupia babo! List miałem dzisiaj w skrzynce!

O czym to może świadczyć? Słałem do Warszawy, a trafił do mnie! Sta do baranów tu pracuje! Prowincjonalna wiocha i niewykształceni wyrobownicy! W pole z łopata, a nie do urzędu! Praca wymagająca myślenia nie jest dla was!

– Chyba się pan zagalopował! – Matyllda stanęła za plecami Antoniego. – Można mieć o coś pretensje, ale nie wolno nikogo obrażać!

Właśnie zamierzał się do kolejnego agresywnego ataku, jednak został powstrzymany przez inne osoby czekające w kolejce.

– Niech pan wyjaśnia, po co przyszedł, a nie zawraca ludziom głowę! Wigilia za pasem, trochę życzliwości by się przydało! – odezwał się leśniczy dzierzący w dłoniach plik korespondencji. – Mało panu po wczorajszym wstydzie na wiejskiej świetlicy?

Woźnica zaczerpnął powietrza, aby odpowiedzieć, ale nim to zrobił, naczelniczka wyjęła z jego rąk kopertę. Spojrzała na nią i rzuciła na ladę.

– Następnym razem proszę zaadresować prawidłowo, a nie przy-

chodzić z bezpodstawnymi pretensjami. Doręczyciel przyniósł panu list, bo to pański adres figuruje w miejscu adresata. I to jeszcze jak szumnie zatytułowany! Niezwykle Szanowny Przewodniczący... – Padła nazwa popularnej partii.

Ludzie nie mogli opanować nagłej wesołości.

– Ho, ho, ale ktoś ma aspiracje!

– I jaki tupet, aby tu wtargnąć i przy ludziach obrażać panie pracujące na poczcie!

Woźnica chwycił kopertę i spojrzał na nią. Rzeczywiście, nazwisko polityka, do którego zamierzał wysłać życzenia, figurowało w lewym górnym rogu koperty, natomiast jego zajmowało cały środek. Miał zamiar jak najszybciej opuścić urząd, ale na drodze stanął mu leśniczy.

– Hola, hola! Wolnego! Skoro potrafił pan tu przyjść i rzucać obelgi, powinien pan mieć na tyle odwagi, by przeprosić panią naczelnik!

– Niby za co? Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego list wrócił do mnie i uzyskałem odpowiedź! – zaperzył się Antoni, który miał swoją dumę i nigdy nikogo nie przepraszał!

– W takim razie wzywam policję. – Matylda wyciągnęła telefon.

– Jeżeli kierownicza założy sprawę cywilną o zniesławienie i obelgi, będziemy świadczyć o tym, co tu widzieliśmy. Jest nas tutaj ponad dwadzieścia osób!

Woźnica mierzył ją wzrokiem pełnym pogardy. Upodliła go wczoraj, robi to również dzisiaj. Najchętniej naplułby jej w twarz, ale wiedział, że teraz musi się powstrzymać.

– Przepraszam – wycedził przez zęby.

– Słucham? Pan coś mówił? – odezwała się naczelniczka. – Nie słyszę za tą szybą.

– Przepraszam! – rzucił głośnie. Odsunął leśniczego i wychodząc, trzasnął drzwiami.

Jeszcze długo w kolejce rozmawiano o przykrym mieszkańcu. Gdy nadeszła kolej sołtyski, szybko odebrała list. Nie miała ochoty robić dodatkowych przykrości kierownicze poczty, roztrząsając temat listonosza. Wystarczająco stresu dzisiaj zaznała.

Matylda jeszcze na poczcie zerknęła na kopertę. Kancelaria Premiera. No tak, pomyślała, co roku wysyłają sołtysom życzenia świątecz-



ne.

Wracała do domu trochę dłużej niż zwykle. Zapadał zmierzch i Po-  
bierowo rozbłyskiwało światłami. Ciepło biło od świeczników pousta-  
wianych w oknach i lampek pozawieszanych na ogrodowych drzewkach.  
Na niektórych posesjach stały renifery, figurki świętych mikołajów  
wspinały się po drabinkach na balkony, a dmuchane bałwanki poruszały  
się na delikatnym wietrze. I choć brakowało śniegu, to sama myśl o Bo-  
żym Narodzeniu sprawiała, że cieplej się robiło na sercu. Tylko jeden  
dom był pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Dom państwa Woźniców.  
Mijając go, przyspieszyła kroku.

\* \* \*

– Ja chyba nie wybiorę się dziś do kościoła. – Zoja sprawdziła, czy  
zakwas buraczany dobrze kiśnie. – Ten makowiec nie zdąży się upiec.  
Idź sam. Pójdę rano jak zwykle na roraty.

Ryszard skinął głową. W zasadzie odpowiadało mu to. Włożył  
płaszcz, kapelusz i buty. Pocałował ukochaną i wyszedł.

Wyjątkowa potrzeba spowiedzi gnała go do kościoła. Nie wyzna-  
wał nikomu grzechów od wielu lat. Zoja chodziła regularnie. Nie opuści-  
ła przez cały Adwent ani jednego porannego nabożeństwa. To ona po-  
wiedziała mu, że do parafii zawitali misjonarze, którzy mają spowiadać.  
Rzuciła to jakby od niechcienia, ale tym razem Ryszard postanowił pójść.

W kościele nie było zbyt wielu osób. Usiadł w tylnej ławce. Naj-  
lepsze miejsce, jakby nagle naszła go ochota, by uciec. Chyba byłaby to  
najwłaściwsza decyzja. Co za głupi pomysł, żeby tu się wybrać! Jeszcze  
jakichś kłopotów sobie przez to narobi!

– Wątpliwości cię tu przywiodły. – Już miał się podnieść, gdy  
w ławce obok niego usiadł okazały zakonnik. Dobrodusz-  
ny wyraz twarzy i wschodni akcent w mowie dodawały mu uroku. – Do-  
piero co przyszedłeś, a już chcesz wyjść?

– Chyba muszę zrezygnować ze spowiedzi.

– Nawet nie spróbowałeś. Ja nie muszę znać szczegółów. Jestem  
pomiędzy tobą a Bogiem. Mam przekazać jemu twój żal i szczerą chęć  
poprawy. Stwórca dawał szansę nawet największym grzesznikom.

Ryszard w myślach ważył zyski i straty.

– Nadal masz wątpliwości – stwierdził misjonarz. – Jeśli nie pozbędziesz się ich, to tylko będą narastać.

– Dobrze, chodźmy do konfesjonału – zdecydował.

Po chwili szeptał, przykładając usta do kratki. Opowiadał długo, ściągając z dna duszy to wszystko, co ostatnimi czasy tam zalegało. Mówił o księdzu Witoldzie, o Zoi, rodzinie, którą pozostawił i o śmierci syna. Misjonarz słuchał w milczeniu. Gdy Ryszard wyrzucił z siebie wszystko, odczuł tak wielką ulgę, jakby na nowo się urodził.

– Jak się teraz czujesz? – usłyszał.

– Dziwnie... Tak błogo i lekko, jakby ktoś zdjął mi ogromny ciężar z pleców.

– Bóg to zrobił... Odpuszczam ci grzechy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. – Mężczyzna po drugiej stronie kratki wykonał znak krzyża. – Gdy będziesz opuszczał kościół, podejdź do chrzcielnicy. Obok, w takiej skrzyni, są małe buteleczki. Nabierz wody święconej i przy najbliższej okazji... – Nie dokończył, ale Ryszard zrozumiał, co chciał powiedzieć.

– Dziękuję. Z Bogiem – pożegnał się i wstał.

Brat Maciej w duchu odmawiał modlitwę żałobną za księdza Witolda i po chwili opuścił konfesjonał.

– Co tu robisz? – usłyszał głos innego zakonnika. – Przecież godzinę temu leżałeś z gorączką w łóżku! Nie wychodziłeś z pokoju od dwóch dni, a teraz chodzisz po zimnym kościele! Wracaj natychmiast i kładź się!

– Już idę – odparł.

Wracając do siebie, zastanawiał się, czy ktokolwiek uwierzyłby w to, co się stało. Rzeczywiście spał, zmęczony chorobą. Przez sen usłyszał, że ma pójść do kościoła, bo ktoś tam na niego czeka. „Ten mężczyzna siedzi w ostatniej ławce”, usłyszał w głowie wskazówkę. Był pewien, że wzywa go inny zakonnik, który zdążył odejść, nim ten się rozbudził i na dobre otworzył oczy. Teraz jednak wiedział, że wezwał go tam sam Bóg.

\* \* \*

Christian Menzel powoli wjechał do Pobierowa. Wyglądało inaczej

niż latem. Opustoszałe uliczki, gdzieś tam przemknął jakiś człowiek na rowerze. Dobrze, że spisał sobie nazwę ulicy. Za nic nie trafiłby tam z pamięci!

Jeszcze wczoraj nawet nie myślał o przyjeździe tutaj. Cały dzień spędził na wypisywaniu rachunków, bo kolejna dziewczyna do pomocy w biurze się nie sprawdziła. Ukrainkę przychodzącą do sprzątanía także zwolnił, gdy okazało się, że codziennie pierze osobiste rzeczy w jego pralce. Gdyby tylko swoje... Bezczelna opierała współlokatorki i przyjaciółki! Nie spodziewała się, że pewnego poranka Christian wróci do domu po zapomniane dokumenty i odkryje występki. Gdyby jeszcze przeprosiła i wyjaśniła, że zdarzyło się to raz... Ale nie. Te Słowianki doprawdy są temperamentne! Sprawdzał wskazówki nawigacji i rozmyślał.

– Co pan sobie wyobraża? Pracuję za głodowe stawki, to chociaż praniem sobie odbiję! – mówiła hardo przyłapana dziewczucha.

Wyplacił jej więc umówione kwoty, nakazał oddanie kluczy i zabronił pokazywać się w domu. Krzyki Ukrainki słyhać było jeszcze na klatce schodowej. Wschodnie kobiety są niezwykle emocjonalne. Podobnie jak Aurelia. Nawet nie pamięta, dlaczego obraziła się na niego. Prawie trzy miesiące temu wyjechała do Pobierowa. Był pewien, że wróci najwyżej po paru tygodniach. Gdy wydawało się, że znowu normalnie rozmawiają, wyskoczyła z tym faszystą!

Miał zamiar przeczekać, aż sama się opamięta. Jednak wczoraj, gdy siedział przed telewizorem, ogromnie za nią zatęsknił. Akurat leciał jej ulubiony program. Co roku wspólnie oglądali koncert André Rieu. Niesamowity muzyk robił cuda ze swoim zespołem. Christian słuhał melodii bożonarodzeniowych w pięknym wykonaniu i żałował, że nie ma przy nim Aurelii. Na pewno podśpiewywałyby, nuciła, trzymała go za rękę. Wcześniej przygotowałyby herbatę korzenną i pierniczki. Zrędkliwa, bo zrędkliwa, ale dobra i jego własna. Znał upór ukochanej. Jeżeli nie przyjedzie po nią i nie przeprosi, gotowa sama spędzać Boże Narodzenie w tym swoim Pobierowie.

Rano pojechał do biura i przez dwie godziny porządkował sprawy. Poinformował najważniejszych klientów, że nie będzie go do Nowego Roku. Popłacił rachunki, a potem wybrał się do sklepu. Żona uwielbiała

czekoladę z migdałami i świąteczny keks z bakaliami. Dokupił do tego dwie butelki wina i likier korzenny. Wyjechał z Berlina na autostradę i mknął na północny wschód.

Krążył po Pobierowie, wjeżdżając w kolejne uliczki. Nawigacja się zawiesiła, więc ogarnęła go irytacja. Nie mógł znaleźć ulicy! Co z tego, że sobie spisał jej nazwę, jeśli nigdzie nie widać stosownej tabliczki? Wiedział, że ich apartament jest gdzieś w pobliżu dworca, ale gdziekolwiek się teraz ruszył, wszędzie był zakaz wjazdu lub ulica jednokierunkowa. Odnosił wrażenie, że kręci się w kółko!

Zatrzymał się na parkingu obok stanowisk autobusowych. Na piechotę będzie chyba szybciej. Zamknął samochód i ruszył przez opustoszałe perony. Gdzieś daleko stał jeden pojazd, ale bez pasażerów. Nie było ich także na dworcu. Gdy się wycofywał, zauważył wysokiego mężczyznę.

– *Entschuldigung, sprechen Sie Deutsch?* – spytał z uśmiechem.

Woźnica popatrzył na niego z pogardą i nieukrywaną wrogością.

– W Polsce jesteśmy! Tu się mówi po polsku!

Menzel nie rozumiał, jednak po wrogiej reakcji się zorientował, że raczej od tego człowieka nie uzyska pomocy. Zawrócił na parking. Nie uszedł jednak więcej niż dwa kroki, gdy nagle z bocznej uliczki wyjechało znajome auto. To była Aurelia. Wysiadła, aby zamknąć bramkę. Nie zwróciła uwagi na obserwujących ją mężczyzn. Gdy Woźnica spostrzegł, że Niemiec idzie w jej kierunku, ruszył błyskawicznie.

– Proszę nie rozmawiać z tym nazistą! – krzyczał z daleka. – Przyjechał taki grubas z Niemiec i myśli, że Polacy będą wokół niego skakać. Niech się pani nie waży!

Kobieta patrzyła na niego zaskoczona. Dopiero po chwili zauważyła, że z drugiej strony idzie do niej Christian. Błyskawicznie podbiegła do niego.

– Miała pani nie rozmawiać z tym... z tym... – wrzeszczał Antoni.

– Och, zamknij się, idioto! – nie wytrzymała. – Będę się odzywać do kogo zechcę i tobie nic do tego!

– Sprzedajna kurwa!

To było jedno z nielicznych słów, które rozumiał Christian. Jeżeli ktoś w taki sposób odnosi się do jego żony, nie pozostaje nic innego, jak

zareagować po męsku. Zanim Woźnica zorientował się, Menzel z całej siły uderzył go w twarz. Mężczyzna się zachwiał i oparł o płot, z trudem utrzymując równowagę. Złapał się ręką za obolały policzek, a spomiędzy zakrwawionych ust wyleciał kawałek zęba. Przejechał językiem wewnątrz ust. To była połowa górnej jedyńki.

– Zapłacicie mi za to – wysyczał, wypluwając krew. – Oskarżę was o naruszenie dóbr osobistych!

Nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Christian objął drobną Aurelię i przytuleni poszli w stronę mieszkania.

– Tęskniłam za tobą – przyznała.

– Ja również. – Mąż pocałował ją w czoło. – Jednak gdybym nie przyjechał, to Święta spędzałabyś tu sama.

– Wcale nie... Akurat zbierałam się do ciebie.

– Słucham?

– Miałam zamiar pojechać do Berlina. Jeszcze wczoraj wieczorem lepiłam pierogi, a dzisiaj spakowałam torby i jedzenie. Nie chciałam, żebyś sam spędzał Boże Narodzenie. Spójrz, tu są bagaże.

– Kochanie! Myślałem, że w ogóle nie chcesz wracać... Zostawiłaś mnie na tak długo i to z powodu jakiegoś głupiego nieporozumienia. Potem, gdy wydawało mi się, że w rozmowach telefonicznych wszystko wraca do normy, ty nagle zrobiłaś się chłodna i obca. Najbardziej przykro zrobiło mi się, gdy wyzwiałaś mnie od faszystów.

– Słucham? – Spojrzała zdumiona. – Nigdy tak ciebie nie nazwałam!

– Zrobiłaś to. Owszem, język plątał ci się nieco, jakbyś zdrowo wypijała. Zniósłbym grubasa, zniósłbym chama, ale faszystę?!

Aurelia próbowała przypomnieć sobie, kiedy piła.

– Ostatni raz tknęłam alkohol, gdy wróciłam od ciebie z Berlina. – Cofnęła się w myślach do tamtego dnia.

– Byłaś w domu? Po co? I nie spotkaliśmy się? Dlaczego nie poczekałaś, aż wrócę z pracy? – zasypał ją pytaniami.

– Dlaczego? Otóż weszłam wtedy do mieszkania i zauważyłam pranie na suszarce. To były elementy kobiecej bielizny. Nie mojej. Zdenierwowałam się, że szybciotko pocieszyleś się jakąś kobietą. I to niejedną, bo rozmiary majtek były najróżniejsze!

– Przecież nie miałem innej kobiety!  
– Rozżalona wróciłam tutaj i w sumie doszłam do tego samego wniosku.  
– To dobrze – odetchnął.  
– Dotarło do mnie, że musisz być fetyszystą. Widać podoba ci się widok rozwieszanej kobiecej bielizny, najróżniejszej formy i rozmiaru. Kochanie, trzeba było mi powiedzieć o swoich upodobaniach.  
Pogłaskała męża po dłoni. Patrzył na nią, jakby z choinki się urwała.  
– Proszę, opowiedz mi to na spokojnie raz jeszcze.  
Gdy usłyszał całą historię ponownie, wybuchnął śmiechem. Dopiero gdy się uspokoił, opowiedział żonie o zatrudnionej do sprzątanía Ukraince i jej pomysłach. Po chwili Aurelię również ogarnęła wesołość.  
– Cieszę się, że przyjechałeś. – Przytuliła się do niego. – Chodźmy do samochodu. Trzeba z powrotem przenieść rzeczy, które już zdążyłam zapakować do bagażnika. Boże Narodzenie spędzamy w Pobierowie, prawda?  
– Tak – mruknął, wtulając brodę w jej jasne włosy. – Tylko jest mały problem...  
– Jaki?  
– Narobiłaś mi apetytu tymi opowieściami o bieliźnie. Chyba zamiast na parking, zabiorę cię do sypialni...

\* \* \*

Aldona patrzyła na śpiącą Ewę. Od kilku dni były w domu i przyzwyczajały się jedna do drugiej. Małeństwo spało bardzo dużo, pozwalając mamie na ogarnięcie myśli.

– Co my zrobimy same, córeńko? – pytała bezgłośnie, wpatrując się w dziecko.

W szpitalu ciągle coś się działo. Przychodzili goście do innych pacjentek, wpadały pielęgniarki, wizytowały lekarki. Codziennie odwiedzała je Dorota, dwa razy zjawili się także Piotr i Amelka. Niestety tylko Michał się nie odezwał. Nie odpisał nawet na esemesa. Dzień po narodzinach wysłała mu wiadomość: „Masz córkę”. Bez odpowiedzi.

Mama, gdy tylko się dowiedziała o wcześniejszym porodzie, była

gotowa wyczarterować samolot do kraju. Z trudem jej to wybiła z głowy.

– Przecież to tylko tydzień. Ja i tak zostanę z małą w szpitalu.

Szkoda byłoby zaprzepaścić tych kilka dni i skracać urlop. Wykosztowałam się, więc korzystaj!

– Jak mogę być tutaj spokojna, gdy ty we Wrocławiu jesteś sama z noworodkiem.

– Nie jestem sama. Są ze mną przyjaciele.

Rzeczywiście tak było. Zrobili jej zakupy na zapas, żeby nie musiała nigdzie się ruszać. Codziennie wpadał Piotr ze świeżym pieczywem i sokami. Aldona karmiła Ewę butelką, jednak sama musiała mieć zbilansowaną dietę, aby nabrać sił. Kilka paczek jednorazowych pieluszek stało w łazience. Miała zapas wszystkiego co najmniej do stycznia!

– A Święta? – Matka nie odpuszczała. – Oni mieli wyjechać nad morze, więc zostaniecie zupełnie same.

– Zmienili zdanie – westchnęła Aldona. – Namawiałam ich, by jechali do Pobierowa, ale uparli się zostać ze mną i maleństwem.

Miała im za złe ten pomysł. Powinni myśleć o sobie, a nie podporządkować się sytuacji, która jej się przydarzyła. Amelka potrzebowała zmiany otoczenia, świeżego powietrza, no i w końcu tam miała babcię i dziadka. Dorota i Piotr pozostali jednak nieugięci. Nie przekonała ich ani prośbami, ani groźbami. Uparli się spędzić ten wyjątkowy czas z nią i z Ewą.

– Zbudziła się moja księżniczka? – zareagowała na delikatne kwilenie dziecka. Z trudem podnosiła się z łóżka. Rana po operacji dawała o sobie znać nieprzyjemnym ciągnięciem. Sprawiała ból przy gwałtowniejszych ruchach.

Podniosła Ewunię i położyła ją na przewijaku. Zmieniła pieluszkę i miała zamiar nakarmić córeczkę, gdy usłyszała dzwonek do drzwi.

– Pewnie Piotr – mruknęła do siebie. Nałożyła małej czapeczkę, aby nie zaszkodził jej przeciąg i otworzyła drzwi.

– Witaj. – W progu stał Michał.

Pokazała ręką, aby wszedł do środka.

– Ja tylko na chwilę... Po prostu muszę ją zobaczyć.

Aldona odłożyła maleństwo do łóżeczka. Pozbawione jej ciepła momentalnie zaczęło podkurczać nóżki i bezwiednie wyrzucać rączki,

aby po chwili rozkrzyczeć się na całe gardło.

Michał patrzył przerażony.

– Boli ją coś?

– Nie, to naturalne zachowanie noworodka – wytłumaczyła. – Gdy wezmę ją w ramiona i poczuje mnie, znowu się uspokoi. Takie maluszki potrzebują bliskości matki.

Zauważył złośliwość w ostatnim zdaniu. Miała do niej prawo. Rzeczywiście, Ewunia uspokoiła się, gdy tylko wtuliła nosk w zagłębienie maminej szyi.

– Przyszedłem się pożegnać. Święta spędzam jeszcze z więźniami z tutejszego zakładu karnego, ale zaraz potem wyjeżdżam do Rzymu. Znajomy ksiądz skierował mnie do pomocy w tamtejszej noclegowni. Nie martw się, będę przysyłał pieniądze na córkę i...

– Nie musisz – przerwała mu gwałtownie. – Oficjalnie nią nie jest. W rubryce ojciec kazałam wpisać „nieznany”.

– Żartujesz?

– Nie, mówię poważnie. Po co komplikować sobie życie jakimiś nieporozumieniami? Uznałam, że tak będzie najlepiej.

– Najlepiej? Nie spytałaś mnie o zdanie!

– Rodzicem nie jest się jedynie w dokumentach. To odpowiedzialność, którą się przejmuje od początku życia dziecka. Ty nie zdałeś tego egzaminu. Wpis w papierach niczego nie zmieni. Ojcem może zostać każdy, nawet pijaczyna spod budki z piwem! Natomiast rola taty jest inna. To trwanie przy dziecku, wycalowanie i wytulenie go na zapas, aby nigdy nie musiało szukać uczucia u obcych ludzi. Tata pierwszy pokazuje świat i uczy dobra. Tata płacze, gdy maluch stłucze sobie kolano. Tata daje poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji...

Słowa przerwało pukanie do drzwi.

– Aldonko, to ja, Piotr – usłyszeli. – Nie dzwonię, bo na pewno Ewa śpi. Przyniosłem ci świeże mleko i jeszcze jedno opakowanie pamperów.

Kobieta wpuściła gościa do pokoju. Obaj mężczyźni patrzyli po sobie, lekko skonsternowani.

– Przyszedłem nie w porę? – zapytał Piotr. – Zostawię zakupy i wychodzę.



– To ja jestem tu zbędny. – Michał skierował się do drzwi. – Dobrze zrobiłaś. Wiesz, o czym mówię...

Opuścił jej mieszkanie bez pożegnania. Dopiero za drzwiami zaczęła drzeć mu broda, a po policzku spłynęły dwie łzy. Czemu winne jest to maleństwo, że ma nieudanego ojca?

\* \* \*

Woźnica spojrzął na swoje odbicie w lustrze i zaklął. Na policzku wykwitł ogromny czerwony siniak. Jednak nie to było najgorsze. Najbardziej nie mógł znieść utraty przedniego zęba. Wyglądał teraz jak menel! Czekał na syna, chciał odebrać go z dworca i poznać tę wybranekę, którą zamierzał im przedstawić. Barbara specjalnie zakupiła pościel w różowe kwiatuszki.

– Mamy delikatnego syna, na pewno zakochał się w jakiejś nimfie – mówiła, oblekając kołdrę i poduszkę.

Antoni sam był jej ciekaw, dlatego czekał na pobierowskim dworcu już godzinę przed przyjazdem autobusu z Poznania. Wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem, gdyby nie ten niemiecki idiota! Antoni po awanturze wrócił do domu. Nie mógł przecież tak pokazać się synowi i jego dziewczynie. Cud, że Barbara nie zauważyła go, wchodzącego do domu w takim stanie! Tym razem był wdzięczny, że ma Melanię. Zajęta kotem, nie zwracała uwagi na nic innego.

Umył twarz, wyplukał usta, ale tęcza kolorów na jego obliczu kwitła. Co tu zrobić?! Rozmyślał gorączkowo nad jakimś rozwiązaniem. Zerknął do szafki żony. Ma tam jakieś pudry i kremy. Może one pomogą? Wyciągnął pierwszy. „Beż” – widniało na nalepce. Nałożył trochę kremu na twarz. Fantastycznie zakrywa ślad! Dodał jeszcze więcej. Lewa strona twarzy już wygląda całkiem nieźle. Cholera, ale druga zbladła. Na nią też trzeba nałożyć tej mazi. Po chwili wklepywał ją w całą twarz. Niewiele zostało tego w pojemniczku. Wytarł go dokładnie i odłożył na miejsce. Barbara na pewno się nie zorientuje, że używał jej kosmetyku.

Usłyszał dzwonek do drzwi i radosny głos Lecha. Jeszcze chwila i zejdzie do gości, tylko przeczesze włosy i ostatni raz zerknie na swoje odbicie. Byle tylko nie zapomniał śmiać się z zamkniętymi ustami!

Do dentysty pojedzie dopiero jutro. O, właśnie, nim zejdzie, zadzwoni do niego.

Po cichu wszedł do sypialni na piętrze.

– Gdzie tata? – Usłyszał głos syna.

– Nie wiem, nie ma go w domu – odparła Barbara dziwnie cicho.

Jeśli znał swoją żonę, zapewne zajmie się teraz przybyłymi.

Wszedł po cichu do pokoju Lecha, a potem ukrył się w jego łazience.

To było najbardziej szczelne pomieszczenie w domu. Numer lekarza miał zapisany w kontaktach w telefonie.

– Jak to nie jest możliwe? Doktorek urlop sobie zrobił? No to przykro mi, ale właśnie stracił najlepszego pacjenta!

Woźnica zastanawiał się, co zrobić. Jutro jest ostateczny termin, aby naprawić uzębienie. Pojutrze już Wigilia i na pewno nikt go nie przyjmie. Cholerny Niemiec!

Tak był zajęty rozmyślaniami, że nie usłyszał osób wchodzących do pokoju. Otworzył drzwi od łazienki i...

– Jezus, Maria!

Dobrze, że za nim była ściana. Miał się na czym wesprzeć. Przed Antonim rozpostarł się niezwykle widok. Jego syn obściskował się z jakimś młodym mężczyzną.

– O, tu jesteś, tato. – Lech podszedł do ojca. Chciał go przytulić, ale ten powstrzymał go ruchem ręki.

– Co to ma znaczyć?! – spytał złowrogo.

– Co? Przecież mówiłem, że przyjadę z kimś na Święta, a wy się ucieszyliście.

– Kim jest ten pan? To twój przyjaciel ze studiów?

– Jestem naprawdę bliskim przyjacielem. Takim... najbliższym – odezwał się chłopak zniewieściałym głosem. Odgarnął grzywkę z czoła i Antoni z przerażeniem odkrył, że ma mocno wytuszone rzęsy i przyczernione oczy.

– Lechu! Co to wszystko ma znaczyć?!

– Tato, to mój... mój partner. Hieronim – przedstawił mężczyznę.

– Życiowy partner, aby nie było wątpliwości.

– A więc już się dowiedziałeś – powiedziała Barbara zbolalym głosem. Nagle stanęła w drzwiach sypialni syna. – Zanim rozwrzeszczysz

się na całą okolicę, zejdźmy na dół, bo obiad stygnie.

– Cóż takiego dobrego upichciłaś, Kochaniutka? – Hieronim w podskokach podbiegł do kobiety.

Antoni patrzył na wszystko i zastanawiał się, ile lat dostanie za zepchnięcie tego babochłopa ze schodów. Zanim się odezwał, Lech go ubiegł:

– Tato, co ty masz na twarzy?!

– Wiedziałem, wiedziałem! – szczebiotał Hieronim. – Dobry gust ma twój ojciec! To chanelowska dziesiątka, beż. Bardzo drogi podkład! Barbara bystro spojrzała na męża.

– Co to ma znaczyć? – spytała groźnie. – Dlaczego używałeś moich kosmetyków?

Odwróciła się i weszła do swojej sypialni, skąd po chwili dobiegł ich jej krzyk.

– Wytraciłeś prawie całe opakowanie Chanel!

Hieronim ruszył w jej stronę jako pierwszy. Razem z poszkodowaną ubolewał nad bezmyślnością jej męża, aby po chwili wdać się w dyskusję na temat marek najlepszych kosmetyków.

– Ty z nim... sypiasz? – Ostatnie słowo nie mogło przejść Antoniemu przez gardło.

– A jak myślisz, tato? – odparł Lech z kpina. – Kładziemy się obok siebie i rysujemy obrazki na plecach. Pamiętasz naszą zabawę z dzieciństwa, prawda?

Ojciec spojrzał na niego niepewnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Miałem wtedy pięć, może sześć lat. Lubieś wieczorami przychodzić do mojego pokoju. Najpierw czytałeś, aby po chwili proponować mi zabawę w malowanie pleców. Miałem wymyślić sobie jakiś obrazek, a ty jeździłeś palcem po moim ciele i rysowałeś. Czasami zapuszczałeś się ręką niżej, czasami na boki...

– Przestań! – syknął Woźnica, zerkając do łazienki, czy aby żona nie słyszy.

– Wielu rzeczy nie pamiętam – powiedział syn, patrząc Antoniemu prosto w oczy. – Nic nie szkodzi, aby jakaś terapia przywróciła wspomnienia, prawda? Zastanowię się jeszcze, czy tego chcę. Jedno wiem na

pewno. Czeka ją mnie cudowne święta, niezakłócone kompletnie niczym. Mam tolerancyjnych rodziców, którzy staną na wysokości zadania, abyśmy ja i mój partner poczuli się wspaniale. Zgadza się, tato?

Zaakcentował ostatnie zdanie, aby nie było najmniejszych wątpliwości, że sformułował pogroźkę.

Ojciec nie odpowiedział. Zaciskał pięści. Po chwili z łazienki wyszła zadowolona Barbara.

– I jak wyglądam? – zwróciła się do męża.

Miała tak samo przyczernione oczy, jak chłopak, który jej towarzyszył.

– Po prostu cudownie, mamó! – odparł Lech.

Zamrugła powiekami z zadowoleniem.

– Chodźmy na dół, bo obiad czeka. Melania też musi już coś dostać.

– Kto to jest? – spytał Hieronim.

– Członek rodziny – odparła z dumą Barbara. – Nasza cudowna kotka.

– Uwielbiam kotki! – Chłopak aż skoczył z radości i przyklasnął w obie dłonie.

Antoniemu momentalnie odeszła ochota na obiad, na Boże Narodzenie i w ogóle na życie. Na wszystko.

\* \* \*

Matylda przeglądała się w lustrze. Naszyjnik błyszczał na jej szyi. Nie spodziewała się aż tak drogiego prezentu od Władysława. Nawet nie wie, kiedy pojechał go kupić. Przecież nie opuszczał domu od powrotu ze szpitala po udarze. Może zamówił przez internet? Wiedziała, że nie lubił takiej formy zakupów. Jednak czy to istotne? Jej cudowny mąż, mimo choroby, obdarował ją przepięknym upominkiem. I to się liczy.

Dopiero teraz dostrzegła wygrawerowany napis: „Kochanej Matyldzie – Władysław”. Wspaniała niespodzianka po wyjątkowym wieczorze. Choć Wigilię spędzali tylko we dwoje, tradycji stało się zadość i na stół wjechało dwanaście potraw. Zrobiła nawet cynamonowe knedle, które mąż pamiętał z dzieciństwa.

– Smakowały obłędnie – wspominał w każde Święta. – Tak je

przyrządzić potrafiła tylko moja babcia. Robiła do tego fantastyczny słodki sos.

Dopiero w tym roku Matylda znalazła przepis, choć poszukiwania trwały naprawdę długo. W tajemnicy przed Władysławem zrobiła tę potrawę i czekała na jego reakcję. Zachwytem nie było końca! Po kolacji to na nią czekała niespodzianka pod choinką. W tym roku wybrali małe drzewko. Gdyby przyjechała Amelka, na środku stanęłaby jodła aż pod sufit! Skoro wnuczki nie ma, wystarczy niewielka.

– Zobacz, jest w sam raz na prezenty dla dorosłych. – Władysław wskazał na drzewko. – Gdybyśmy mieli wyłożyć jeszcze to, co ukryliśmy w szafie dla wnusi, miejsca by nie wystarczyło.

– Bo ciągle dokupowałeś nowe rzeczy! – Pogroziła mu palcem, choć uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Nie wolno rozpieszczać dziecka!

– Rodzice są od wychowywania, dziadkowie od osładzania dzieciństwa – przypomniał żonie.

– To nie znaczy, że trzeba kupować małej trzy różne lalki na prezent gwiazdkowy!

– Nie mogłem się zdecydować, która najładniejsza, dlatego wziąłem po jednej z każdego rodzaju. Poza tym, ten ostatni pakunek, który dotarł przedwczoraj, to wcale nie była lalka!

– A co takiego?!

– Bębenek – powiedział z obawą.

Matylda się roześmiała.

– Może i lepiej, że nie przyjechali na te Święta – stwierdziła.

– Obyło się bez awantury.

Zaniemówiła, gdy rozpakowała swój prezent. Rzadko dostawała biżuterię. Ta była wyjątkowo piękna.

– Dziękuję, kochanie. – Pocałowała męża.

Ona miała dla Władysława kije do golfa. Polubił ten sport już w minione wakacje. Gdy tylko mógł, wybywał na pole i grał. Ucieszył się z nowego sprzętu. Po kolacji uprzątnęli stół i usiedli z grogiem w fotelach. Nie wybierali się na pasterkę. Matylda wołała, aby Władysław nie wychodził jeszcze między ludzi. Obejrzelili mszę w telewizji i poszli spać.

Kolejne dwa dni upłynęły im leniwie. Wstawali, o której chcieli,

delektowali się przyrządzonymi smakołykami, oglądali ulubione filmy i wspominali. Tak beztroskiego czasu oboje dawno nie mieli.

\* \* \*

– Boże Narodzenie to czas nadziei, szczególnie dla tych, którzy wątpią w siebie. Muszą odrodzić się na nowo, zaufać drzemiącym w nich siłom, głównie tym wychodzącym z wiary w Boga. To jest podstawa naszego życia. Wiara w człowieka i czynienie dobra.

Zoja nachyliła się do Ryszarda i wyszeptała:

– Mam wrażenie, że ten misjonarz patrzy tylko na ciebie.

Byli w tym samym kościele, w którym przedwczoraj się spowiadał. Wyznanie grzechów sprawiło, że wracał wtedy do domu jak odmieniony. Do tej pory miał wątpliwości, czy słusznie postąpił, chowając księdza Witolda pod jabłonią. Po rozmowie z zakonikiem wszystkie rozterki minęły, a Ryszard czuł się jak nowo narodzony.

Na pasterkę specjalnie przyszli wcześniej, aby zająć miejsca siedzące. Oboje uwielbiali śpiewać kolędy i wsłuchiwać się w wigilijne czytanie Słowa Bożego. Tym razem mężczyzna ze zdumieniem zauważył, że mszę odprawia ten sam duchowny, który go spowiadał. Poczł się jeszcze lepiej. Wydawało mu się, że każde zdanie padające z ust zakonika skierowane jest do niego.

Pomimo późnej godziny do domu wracali spacerkiem. Roziskrzone gwiazdami niebo rozpościerało się nad ich głowami. Każde zatopione było w swoich myślach.

– Nabrałem apetytu po tym spacerze – powiedział Ryszard, gdy weszli do mieszkania.

Od razu podszedł do lodówki, by wyciągnąć sobie stamtąd aromatycznie pachnący schab.

– Schowaj! Dzisiaj nie wolno! – Zoja pogroziła mu palcem.

– Już jest po północy, więc mogę. – Nie zważając na protesty ukochanej, ukroił sobie spory kawałek i położył na talerzu. Mięso wyglądało tak apetycznie, że i ona wzięła porcję dla siebie.

– Wiosną posieję masę ziół obok naszego holenderskiego domku – rozmarzyła się. – Późnym latem będziemy je suszyć i używać choćby do pieczenia schabu.

– Masz zamiar zrobić tam ogródek?  
– Jest sporo miejsca, które warto wykorzystać.  
– Pamiętaj, że tam jest głównie piasek i nie wszystko na nim wzejdzie.  
– To wyznaczmy sobie mały kwadracik i nawieziemy dobrej ziemi. Posadziłabym nie tylko zioła, ale i trochę warzyw. Marchewkę, pietruszkę, sałatę – wyliczała. – Takie rzeczy, które będziemy mogli brać sobie prosto z grządki na śniadanie czy do obiadu. Jaka wspaniała będzie rzodkiewka wiosną! I świeży szczypiorek!  
– Idealistka z ciebie. Musielibyśmy tam przyjeżdżać co tydzień i pielęgnować zagony. Doglądać i podlewać.  
– I tak będziemy robić – uśmiechnęła się. – Kiedy ja nie będę mogła przyjechać, to wybierzesz się sam. Na pewno dasz sobie radę.  
Skinął głową, potwierdzając, że nie ma nic przeciwko temu.  
– Rozmyślałeś już, co posadzić w miejscu tamtej jabłoni? – zadała niespodziewane pytanie. – Może tam zrobimy nasz ogródek?  
– Nie! – odpowiedział chyba zbyt gwałtownie, bo spojrzała na niego zdziwiona. – Chciałbym tam posadzić trzy sadzonki świeżych jabłonek.  
– Dobry pomysł – przyznała po chwili. – Ale dlaczego aż trzy?! Jedna by wystarczyła.  
– Muszą być trzy. To będzie taka jabłonkowa rodzinka.  
Długo jeszcze siedzieli i snuli plany. Przez kolejne dwa dni wypooczywali i marzyli dalej. Chyba wreszcie to, co złe, zostało za nimi.

\* \* \*

– Pięknie śpi – wyszeptał Piotr, zamykając drzwi do pokoiku.  
Przed chwilą zajrzał do Ewy. Małeństwo jednak spało już drugą godzinę, dając im w spokoju przeżywać wieczór wigilijny. Bardziej absorbująca okazała się Amelka. Widząc, że pod niewielką choinką, którą właściwie przywieźli ze sobą, leży kilka kolorowych pakunków, dziewczynka nie mogła powstrzymać ciekawości. Krążyła wokół drzewka, wykorzystując nieuwagę dorosłych i próbując dotknąć kolejnego pudełeczka. Protestowała, gdy mama zabierała ją stamtąd i sadzała do stołu, by zjadła jeszcze jednego pierożka.

– Jestem wam naprawdę wdzięczna za to wszystko. – Aldona nie mogła powstrzymać łez. – Gdyby nie wy, nie miałabym Bożego Narodzenia.

– Oj tam... – Dorota odwróciła głowę, bo też już zaczynała się rozklejać.

Przez dwa dni stała przy kuchni, aby przygotować świąteczne potrawy. Chciała, by w trudnym momencie przyjaciółka czuła choć namiastkę szczęścia. Udało jej się to! Wzruszona świeżo upieczona mamusia z trudem opanowywała drżenie głosu, gdy dzieliła się z nimi opłatkiem.

– Nie będę każdemu osobno składać życzeń – powiedziała, przytulając szczególnie Amelkę. Nie brała jej na ręce, bo pooperacyjna rana dawała o sobie znać przy najmniejszym wysiłku. – Jesteście dla mnie bliżsi niż rodzina. Mogłam na was liczyć w najtrudniejszej i jednocześnie najpiękniejszej chwili mojego życia. Swoją obecnością dodajecie mi sił i wiary, że jutro będzie lepiej. Życzę wam zdrowia, szczęścia i ziszczania najskrytszych marzeń.

Po tych słowach dłużej przytrzymała w ramionach Dorotę. Wiedziała, że tamta marzy o dziecku. Za każdym razem, gdy ją odwiedzała, brała Ewunię w ramiona i wdychała zapach noworodka.

– Amelko! Nie wolno! – Obejrzały się w stronę Piotra strofującego córeczkę. Dziewczynka właśnie pochylała się nad leżącą na łóżku małą istotką i próbowała włożyć jej do ust kawałek opłatka.

– Nie krzycz na nią – poprosiła Aldona. – Widzi, że my tak robimy, to dlaczego nie miałyby spróbować podzielić się opłatkiem z Ewunią? Jest bardzo inteligentna.

– Po mamusi.

– Po tatusiu.

Zaczące słowa wybrzmiały jednocześnie, więc wszyscy się roześmieli. Godzinę później z pełnymi brzuchami odchodzili od świątecznego stołu. Ewa zasnęła, więc położyli ją w pokoiku. Dopiero gdy kobiety uprzątnęły naczynia i zrobiły kawę, pozwoliły Amelce wyciągnąć prezenty spod choinki. Mała była w swoim żywiole! Rozrywała kolorowe papiery, przytulała dwie lalki, które tam znalazła, pocałowała pluszowego różowego jednorożca i zaczęła stroić się w koronę oraz inne elementy



zestawu dla księżniczki.

– Moja córeczka też będzie taka cudowna – powiedziała Aldona z uśmiechem.

– Już jest – odezwał się Piotr, zamykając drzwi do sypialni. – Śpi jak aniołek.

Nie przyznał się, że podchodzi do tego słodkiego maleństwa, aby choć przez chwilę dotknąć maleńkich paluszków, pogłaskać po złocistym meszku na głowie, przejechać palcem po policzku i po prostu poczuć zapach niedawno narodzonej kruszynki. Może to urok wigilijnej nocy, ale gdyby mógł, to brałby małą Ewę co chwilę na ręce. Amelka wydawała się taka duża w porównaniu z nią. Duża i samodzielna. Natomiast ta mała zdana była na łaskę i niełaskę innych.

Zatrząsał się na wspomnienie Michała. Jak można być aż takim egoistą?! Jak można zrezygnować z uczestniczenia w życiu córeczki, wybierając zbawianie dorosłych, myślących facetów? Z drugiej strony, może to i lepiej, że odszedł teraz, nim mała zdążyła poznać go i przywiązać się do taty. Później byłoby jej trudno zrozumieć, dlaczego tata wybiera życie bez nich.

– Piotrek, nie zaglądamy do niej co chwilę, bo ją rozbudzisz. – Dorota strofowała męża.

– Myślę, że nie. – Aldona mrugnęła okiem do przyjaciół. Właśnie zakończyła rozmowę telefoniczną z mamą. Rodzicielka nadal wyrzucała sobie, że nie przyleciała na Święta do Polski. Dopiero radosne odgłosy, które słyszała w słuchawce, nieco ją uspokoiły. Jej córka i wnuczka były w dobrych rękach.

– Dzia-dzia. – Amelka pokazała ręką telefon.

– Chcesz zadzwonić? – upewniła się Dorota.

– Tak!

Po chwili połączono ją z Władysławem. Dziewczynka trajkotała w kółko do słuchawki jedno słowo:

– Dzia-dzia! Dzia-dzia!

Była dumna z siebie, że mężczyzna po drugiej stronie ze wzruszenia powtarza to samo.

– To ja! Twój dziadzia! Kiedy przyjedziesz latem, to będę cię nosił na barana, żebyś nie musiała męczyć nóżek.

– Dzia-dzia!

– Wcześniej jednak ja przyjadę do mojej księżniczki. Na chwilę tylko, ale przywiozę prezenty. Nie powiesz rodzicom, prawda? Wiesz, co dostaniesz?! Bębenek! – Ostatnie słowo powiedział tak głośno, że wszyscy usłyszeli. Cała trójka wybuchła śmiechem.

– Dzia-dzia! Dzia-dzia!

– Dziadzia mocno cię kocha, maleńka! Czekaj, zostaw mi tę słuchawkę! Z wnuczką rozmawiam! – Dał się słyszeć odgłos lekkiej szarpniny.

– Halo, Amelko, tu babcia – odezwała się Matylda. – Ba-ba! Ba-ba!

– Dzia-dzia! – sprostowało zadowolone z siebie dziecko.

– Jeszcze się nauczysz. – Babcia próbowała ukryć rozczarowanie.

– Bo ona dziadka kocha najmocniej na świecie! – Do słuchawki ponownie dorwał się Władysław. – To dziadzia wnusia!

– Dzia-dzia!

– Kochamy was! Wesołych i cudownych Świąt!

Po chwili rozmowa została zakończona.

– Dwudziesta druga – powiedziała Dorota, patrząc na zegar wiszący na ścianie. – Będziemy się zbierać do domku. Jutro przyjedziemy przed obiadem. Chyba że masz nas dosyć i wolisz być sama...

– Zwariowałaś?! – Aldona uściskała przyjaciółkę. – Jedźcie ostrożnie. Może Amelka zaśnie w samochodzie.

– Dobrze by było – westchnął Piotr. Przed chwilą znowu zaglądał do śpiącej Ewy. – Nasze dziecko wykończyło mnie dzisiaj energetycznie.

Po chwili się pożegnali. Aldona przebudziła córeczkę i zmieniła jej pieluszkę. Przygotowała ciepłe mleko i nakarmiła maleństwo. Nie zdążyła odstawić butelki, a mała już smacznie zasnęła. Mama przytuliła się do małego ciała i po raz pierwszy od dłuższego czasu zasnęła od razu.

– To był piękny wieczór – Piotr przytulił żonę.

Oboje wpatrywali się w Amelkę. Rzeczywiście, zasnęła w drodze powrotnej. Nie przebudzali jej i w ubraniu odłożyli do łóżka. Ścisnęła w rękę różowego jednorożca.

– Idę do łazienki – ziewnęła Dorota. Wyciągnęła spinkę i rozpuści-

ła kok. Mąż przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Wiesz, jestem szczęściarzem. – Przyciągnął ją do siebie, tym razem przytrzymując ją nieco mocniej przy sobie. – Mam cudowną córeczkę i piękną żonę.

– Widzisz, niczego ci nie brakuje. – Pocałowała go.

– Brakuje... – szepnął. – Chciałbym mieć jeszcze synka.

Zaskoczona Dorota wpatrywała się w Piotra, aby po chwili skupić się na rozpinaniu jego koszuli i delikatnych, choć z każdą chwilą intensywniejszych, pieszczotach.

\* \* \*

– Wspaniałe to było. – Christian odsunął od siebie talerz.

Od kilku lat, odkąd byli razem, na stół wigilijny wjeżdżały „kompromisowe potrawy”, jak je nazywała Aurelia. Ona była zwolenniczką postu, jednak nie mogła – i nie chciała – nakazywać go mężowi. Lubił pierogi, barszcz z uszkami, ale nie wyobrażał sobie tego wieczoru bez sałatki ziemniaczanej i pieczonej kielbasy. Przygotowywała zatem i jedno, i drugie.

– Kosztowałaś kutii? – Ta potrawa przypominała jej dzieciństwo spędzone u babci, która pochodziła z Kresów.

– Tak, jest bardzo smaczna – powiedział mąż i palcem wydlubał ziarenka maku z zęba.

Zastanawiała się, czy zwrócić mu uwagę. Zrezygnowała. Jest wigilijny wieczór, a oni znowu są razem. Po co psuć wszystko jakąś rzeczą kompletnie bez znaczenia?

– Rozmroziłaś kaczkę?

– Tak. Zacznę piec ją rano. Czerwoną kapustę z jabłkami przygotowałam już dzisiaj – upредиła kolejne pytanie.

– Czułem. Pięknie pachniała – pochwalił.

Wstawiła naczynia do zmywarki i usiadła obok Christiana. Popijał piwo, patrzył w telewizor i zaśmiewał się z jakiegoś programu satyrycznego. Gdy tylko poczuł ją obok siebie, objął żonę dużym ramieniem.

Wtuliła w niego głowę i rozmyślała. Jako dziecko była wychowywana w poszanowaniu tradycji. Jak Wigilia, to całodzienny post i dwaście potraw podczas wieczerzy. Składanie życzeń najstarszym w rodzinie, potem młodszym. O północy wspólne wyjście na pasterkę, aby stanąć wśród innych pobożnie modlących się w kościele. Od tego wszystkiego odchodziła stopniowo. Gdy dorastała, widziała tyrającą w polu matkę, całkowicie podporządkowaną lubiącemu wypić ojcu. To ona zdobywała pieniądze, gdy przepuścił wszystko na alkohol. To ona starała się wychować ich sześcioro i to ona przekazywała tradycję. Na pasterce stawała obok chwiejącego się męża, bo zdążył chlapać niejednym kieliszek podczas wieczerzy i podtrzymywała go. Ile miała z ducha Święt? Pewnie nic, poza zmęczeniem i obawą, aby ksiądz zbierający datki na tacę, nie wyczuł śmierdzącego oddechu.

To właśnie w tym momencie uzmysłowiła sobie wiele rzeczy. Te-

raz, gdy siedziała obok swojego męża i pozwalała mu na piwo w wigilijny wieczór, na sałatkę kartoflaną z kielbasą, na oglądanie durnego programu zamiast wspólnego śpiewania kolęd. Boże Narodzenie to miłość... Nie tylko Boga do ludzi, ale głównie człowieka do człowieka. To uczucie można okazywać na milion sposobów.

– Masz jeszcze te pyszne pierogi? – Usłyszała głos Christiana.  
– Może zjadłbym małą porcję?

Pocałowała go i z radością wstała, aby przygotować jedzenie.

\* \* \*

– To było absolutnie orgazmowe żarełko! – Hieronim poklepał się po brzuchu i beknął.

Woźnica spojrział na niego z pogardą. Odkąd ten typek pojawił się w jego domu, nie był do końca pewien, z kim ma do czynienia. Czy jest to zniewieściały facet, czy też może kobieta z przerostem męskich hormonów? W zasadzie wychodziło na jedno. Ten osobnik był wybrańcem jego syna i od niedawna najlepszym przyjacielem Barbary. Antoni mało nie padł, gdy wczorajszego wieczoru zobaczył w sypialni rozebraną do pasa żonę, której ten chłopak dopasowywał biustonosz!

– Masz piękne cycki! W górę, w górę!

Woźnica wycofał się na palcach do sypialni syna.

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz? – spytał. – Już nie wspomnę, że nienaturalne jest życie z osobnikiem tej samej płci, ale to jest prawdziwe indywiduum!

– Nie wiesz, co to miłość – rzucił Lech, nie podnosząc wzroku znad książki.

– To chuć! Jak ci czegoś brakuje, to... wiesz, załatwimy szybciotko – zaczął się plątać.

– Tato, ostrzegam, żebyś uważał, co mówisz. – Tym razem syn popatrzył ojcu prosto w oczy. – Wiesz doskonale, dlaczego!

Antoni się wycofał. Nie pozostawało mu nic innego, jak unikać Hieronima, aby nie doszło do jakiegoś spięcia. Jeszcze raz zobaczy go paradującego w stringach po korytarzu, to chwyci za przydługie włosy i z balkonu zrzuci!

Ta kolacja wigilijna okazała się jednym wielkim koszmarem. Tak

cieszył się na potrawy co roku podawane na stół. Tym razem Barbara nie zrobiła kompletnie nic. Za wszystko zapłaciła gospodyni, która przychodziła do sprząwania. Tamta niezbyt przyłożyła się do zadania. Pierogi były twarde, barszcz mało buraczkowy, a kompot z suszu nie miał ani grama cukru. Do tego towarzystwo przy stole też pozostawiało wiele do życzenia. Żona prawie zapomniała o opłatku, zajęta omawianiem dolegliwości jelitowych Melanii.

– Moja kotka przechodziła to samo. – Hieronim machnął ręką, okazując zrozumienie. – Rzygała, gdzie popadnie! Cuchnęło w całym domu. Na to samo miał ochotę Antoni. Przerwał im:

– Może zaczniemy wreszcie Wigilię? – Wziął opłatek i zaczął składać życzenia żonie. Kątem oka zauważył, że chłopaki robią to samo.

– Zdrowia, zdrowia i jeszcze raz zdrowia – powiedział Lech do ukochanego.

– A ja ci życzę fantastycznego i obłędnego seksu co noc! – Woźnica mało nie zwymiotował, gdy to usłyszał.

Odwrócił się do żony, ale ta była zajęta składaniem życzeń Melanii. Trwało to znacznie dłużej niż łamanie się opłatkami z nim. Podczas wieczery niewiele zjadł. Rozchmurzył się dopiero, gdy na stół wjechały słodkie potrawy. Uwielbiał kutię! Nałożył sobie porcję do miseczki i zaczął jeść.

– Auć! – krzyknął.

Orzech trafił na wyłamany ząb, niszcząc go do końca. Woźnica poszedł do łazienki i wypluł to, co miał w ustach. Zamiast połowy przedniej jedyńki, rzuciła się w oczy ogromna dziura. Gdy wrócił do stołu, żona spojrzała na niego z niesmakiem.

– Jak ty wyglądasz teraz? Mamy gościa, a ty...

– Czy to moja wina, że ząb się ułamał?!

Barbara jednak nie słuchała dalej, zajęta rozmową o Melanii, prowadzoną z Hieronimem.

Antoni westchnął i poszedł zasiąść przed telewizorem. Jeżeli kolejne dwa dni będą wyglądać podobnie, to zapamięta to Boże Narodzenie do końca życia.

\* \* \*

– Czy wszyscy wsiedli? – Matylda rozglądała się po autobusie. Był ostatni poniedziałek grudnia. Jechali właśnie do Torunia, by przyjrzeć się tamtejszej oczyszczalni. Wielu mieszkańców zainteresowało się tematem nowej inwestycji, więc pojazd był pełen ludzi. Władysław chciał z nimi jechać, ale nie zgodziła się na to.

– Masz jeszcze kilka dni zwolnienia. Tyle wytrzymasz – powiedziała.

Sama zorganizowała tę wycieczkę. Po czterech godzinach byli na miejscu. Z zewnątrz suszarnia robiła ogromne wrażenie.

– To co, idziemy do środka? – spytał ktoś.

– Nie – odparła Matylda. – Teraz stoimy i wachamy.

Wszyscy zaczęli wciągać powietrze.

– Ja nic nie czuję.

– Ja także nie.

Oglądali zadbane teren wokół budynków, a potem weszli do środka. Zapach był neutralny. Oprowadzający ich pracownik wyjaśnił wszelkie wątpliwości.

– Nasi mieszkańcy również bali się tej inwestycji. Były protesty, jakieś wiece zwoływane przez tych, którzy nawet nie zadali sobie trudu, aby zapoznać się z problemem – opowiadał. – Mieszano ludziom w głowach. Nikt nie zaproponował im wizyty w takim miejscu. Cieszę się, że macie możliwość własnym nosem stwierdzić, czy warto wierzyć w bujdy serwowane zapewne przez wielu.

– Na przykład przez Antoniego Woźnicę – mruknął ktoś.

– Dodam, że w naszej suszarni znalazło pracę sporo osób – powiedział mężczyzna.

Rozglądali się ciekawie, podpatrywali działanie maszyn i słuchali o sposobach osuszania pościekowych osadów.

– Trochę czasu minie, nim podobna oczyszczalnia powstanie w Pobierowie – mówiła Matylda w drodze powrotnej. – Zaraz po Nowym Roku rozpisany zostanie przetarg na wykonawcę.

Praktycznie cała droga powrotna minęła im na omawianiu spraw dotyczących miejscowości. Sołtyśka zanotowała sobie kilka tematów, obiecując zająć się nimi w niedalekiej przyszłości. Jakże inna była to dyskusja od tych, które ostatnio miały miejsce w świetlicy! Tamte, zdo-

minowane przez Woźnicę, przeradzały się w zwykłe pyskówki i obrażanie.

– Dobrze, że jego tutaj nie ma – odezwała się naczelniczka poczty, która także wybrała się do Torunia.

Matylda nie przyznała tego głośno, ale również była bardzo zadowolona.

\* \* \*

– Dzień dobry, Ryszardzie. Tu Marian ze schroniska.

– Dzień dobry – odparł mężczyzna nieco zaskoczony.

– Pamiętasz, jak podrzuciłeś mi te męskie rzeczy?

– Tak. Coś nie tak z nimi? Dziurawe były czy brudne?

– Nie. Dopiero teraz miałem czas, żeby do nich zajrzeć. Stała ta torba i stała, a ja wczoraj zabrałem się za porządki w magazynku. Nie zabrałem wszystkiego. W wewnętrznej kieszeni marynarki schowany był niewielki pakunek. Jakieś kartki czy dokumenty związane sznureczkiem. Wpadniesz po nie?

Ryszardowi dech zaparło.

– Nie denerwuj się, niczego nie otwierałem! Zresztą, jest to tak pokręcane, że nie sposób tam zajrzeć. Napracowałeś się nad ich zabezpieczeniem. Przyjedziesz po to jeszcze dzisiaj?

– Jasne, że tak! Zapomniałem o tym zupełnie. Zaraz wsiadam w samochód.

– Nie musisz się spieszyć. Przeleżało tyle, poleży jeszcze trochę.

– Zaraz będę. – Ryszard jak najszybciej chciał mieć ten pakunek.

Godzinę później wpatrywał się w plik kartek szczelnie owiniętych sznurkiem. Z góry i z dołu były czyste, niezapisane papiery. Wyciągnął z szuflady nóż i drżącymi dłońmi przeciął supły. Wysypały się przekazy pocztowe. Było ich sporo. Przejrzał je dokładnie. Ksiądz Witold Gądecki kilka razy do roku słał paczki do Anny Kaweckiej zamieszkałej w miejscowości Jaromin obok Trzebiatowa. Kto to może być, do cholery? Sprawdził częstotliwość przesyłek. Co dwa miesiące była nadawana jedna paczka. Policzył. Najbliższą trzeba by posłać w styczniu. Tylko co w nich mogło być? I kim jest adresatka przesyłki? W dodatku na przekazie widniał tajemniczy skrót: DPS. Co on oznacza?



Kiedyś takie rzeczy można było sprawdzić na poczcie, przypomniał sobie Ryszard. Ubrał się i poszedł do najbliższej placówki. Nie było w niej nikogo. Chwycił pierwszą z brzegu książkę teleadresową, ale nie mógł znaleźć w miejscowości Jaromin nikogo o nazwisku Kawecka. Zniechęcony odłożył ją tak gwałtownie, że spadła na podłogę.

– Mogę w czymś pomóc? – Z okienka wyjrzała młoda urzędniczka.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chciałbym dowiedzieć się, co znajduje się pod adresem Jaromin siedem.

– To zachodniopomorskie? – Dziewczyna wstukiwiała coś w komputer.

– Tak, powiat gryficki.

Przez chwilę wpatrywała się w ekran.

– Chwileczkę... Już mam. Znajduje się tam Dom Pomocy Społecznej dla osób chorych oraz osób dorosłych niepełnosprawnych intelektualnie.

– Może pani powtórzyć?

– Będzie lepiej, jak wydrukuję.

Usłyszał dźwięk uruchamianego urządzenia i po chwili miał w dłoni ciepłą jeszcze kartkę. Im dłużej przyglądał się adresowi, tym większy mętlik powstawał w jego głowie.

\* \* \*

– Nie mogę napatrzeć się na nią. – Kobieta pochyliła się nad łóżeczkiem. – Jest taka piękna. I te maleńkie paluszki... – Świeżo upieczona babcia wpatrywała się we wnusię. Aldona przyniosła zaparzoną herbatę i rozłożyła ciasteczka.

– Zakupy sama zrobiłaś? – spytała zaskoczona matka.

– Tak, co w tym dziwnego? – Wzruszyła ramionami. – Wyszłam z małą na spacer, to przy okazji odwiedziłam sklep.

– Ale wiesz, wszędzie są zarazki i...

– Nikt jej nie dotykał – przerwała Aldona. – Nikt nie stał nad wózkiem i nie kichnął dziecku w twarz.

– Nie musisz od razu tak się obruszać!

– Mamo! Przyleciałaś z urlopu zaledwie wczoraj i trzykrotnie dzwoniłaś, czy czegoś nam nie trzeba. Dzisiaj przytargałaś torbę z pie-

czywem i chcesz, abym dała ci listę zakupów, z którą pobiegniesz do sklepu. Czy ty nie przesadzasz?

– O co ci chodzi? Chcę pomóc.

– Nie musisz. Sama dam sobie radę. Mam dwie zdrowe ręce i nogi. Owszem, jedna to proteza, ale żyję z nią i funkcjonuję od lat. Nie potrzebuję pomocy.

– Córeczko, jesteś samotną matką utrzymującą się z niewielkiej renty. Gdy byłaś sama, wystarczało ci na opłaty i na przeżycie. Gdy byłaś z Michałem, coś tam też dokładał. A teraz jesteś tylko z dzieckiem. Ono ma swoje potrzeby. Musi mieć pieluszki, środki czystości, specjalny proszek do prania – wymieniała mama Aldony. – Jesteś po cesarce, nie karmisz piersią, więc maluszek potrzebuje odpowiedniego mleka. To wszystko kosztuje.

– Mamo, dam sobie radę. – W głosie córki słychać było lekką irytację.

– Najlepszym rozwiązaniem byłoby, abyście zrezygnowały z tego mieszkania. Można je przeznaczyć na wynajem. Wprowadziłabyś się do mnie, pomogłabym zająć się Ewunią, a kosztami jakoś się podzielimy.

– Nie zgadzam się – odmówiła kategorycznie. – Mam prawie trzydzieści lat i muszę odpowiadać sama za życie swoje i dziecka.

– Michał będzie coś płacił na małą?

– Nie będzie!

– To podamy go do sądu o alimenty. Błyskawicznie zrobią z nim porządek! Swoją drogą, nie spodziewałam się takiej niegodziwości po tym mężczyźnie. Wydawał się zupełnie inny.

– To ja nie chciałam czegokolwiek od niego – sprostowała córka. – Zresztą, to sprawa pomiędzy mną a nim. Mamo, wszystko pozostaje bez zmian. Ty mieszkasz u siebie, ja z Ewunią tutaj. Możesz odwiedzać wnuczkę, kiedy tylko najdzie cię ochota. Naprawdę, jesteśmy samowystarczalne.

– Skoro tak... – Matka wydawała się nieco urażona odrzuceniem jej pomocy. – Pożegnaj się z wami na dzisiaj i może wpadnę jutro. Chociaż nie wiem, czy nie będę tu zbędna.

– Mamo, nie obrażaj się – poprosiła Aldona. – Nie lubię, gdy traktujesz mnie jak nieporadne dziecko.

– Boję się o ciebie.

– Nie musisz. Właśnie zostałam mamą i czuję tę odpowiedzialność. Ale rzeczywiście, jedź już do domu. Źle wyglądasz. Widać organizm nie przyzwyczył się jeszcze do zmiany klimatu i czasu.

– Masz rację, kochanie. Padam z nóg. Trzymajcie się obie. – Pocałowała córkę, a wnuczkę pogłaskała po stópce.

Aldona nakarmiła Ewunię i dziecko po chwili smacznie spało. Zmyła naczynia, poskładała ubranka i dopiero wtedy otworzyła szafę. Wyciągnęła stamtąd niewielką maszynę do szycia i wiklinowy kosz. W środku była masa najróżniejszych materiałowych skrawków, guzików, szpilek i wełny. Aż uśmiechnęła się na ten widok.

O maszynie przypomniawszy sobie na początku grudnia. Stała zakurzona, w kartonie w piwnicy. Odnalazła też torbę z ubraniami, które nosiła przed amputacją. Nie założyła ich już, bo nie pasują na protezę. W pierwszym odruchu miała zamiar wynieść je do kontenera, ale zrezygnowała z tego i wraz z maszyną przyniosła do mieszkania. Jeszcze tego samego wieczoru usiadła i przypominała sobie proste ścięgi. Kolejnego dnia – następne. Po tygodniu maszynę miała opanowaną. Szyła na niej na studiach. Lubiła wtedy eksperymentować z materiałami i fakturami, łącząc je w różne ciekawe formy. Dostawała wiele zamówień od koleżanek z roku. Każda chciała mieć choć jedną rzecz przygotowaną przez nią.

Tydzień przed porodem uszyła patchworkową kołderkę dla Ewuni. Nie wiedziała wtedy, że dziecko przyjdzie na świat na pięć tygodni przed terminem. Uwielbiała otulać ją kolorową kołderką zrobioną z kilku kwadracików. Na jednym było słońce z mamą, na drugim dwie małe małpki, na kolejnym słoneczko. Robótka przyciągała oko. Od kilku dni szyła podobną, tylko nieco większą, dla Amelki. Jutro spróbuje zrobić pluszową żabkę z długimi łapkami, bo zostało jej sporo materiału po wełnowym żakiecie. Nie założy go już, bo po pierwsze – wychodzi z mody, a po drugie – ma teraz większy biust i akurat ta marynarka się nie dopina.

Jeszcze raz spojrzała na śpiące dziecko i w towarzystwie cichutko grającego radia, zaczęła szyc.

\* \* \*

– Nie chcę wracać do Berlina – powiedziała Aurelia, tuląc się do męża. – Tu jest tak pięknie.

Wpatrywali się w leniwie podpływające fale. Był jeden z pierwszych styczniowych dni. Dzisiaj mieli wracać, a jakoś żadne nie miało ochoty na przerwanie leniwej sielanki. Gdy pomyśleli, że znowu mają znaleźć się w dusznym, pędzącym dokądś mieście i zrezygnować z tej pobierowskiej natury, ogarniało ich zniechęcenie.

– Przyjedziemy w najbliższy wolny weekend – powiedział Christian. – Najpierw nadrobimy zaległości w firmie.

– Nie powinieneś już tyle pracować – powiedziała do niego. – Rozważyłeś propozycję klienta?

Jeszcze we wrześniu, gdy była w domu, zgłosił się pewien mężczyzna zainteresowany kupnem firmy Menzla. Wtedy jej mąż nie brał tego pod uwagę. Teraz jednak, po tych kilku miesiącach, odczuwał zmęczenie. Na rynku było coraz trudniej, konkurencja rosła i wszystko trzeba było robić dwa razy częściej, więcej i dokładniej. A Christian nie miał już czterdziestu lat.

– Rozważam ją – odparł krótko.

Z ociąganiem wracali ze spaceru. Walizki mieli już spakowane. Załadowali je do auta. Drugie postanowili zostawić w sporej wielkości garażu zakupionym wraz z apartamentem. Ruszyli w stronę Niemiec. Oboje milczeli. Każde w duchu przeżywało ostatnie, niezwykle budujące dni. W Nowy Rok weszli pełni nadziei oraz sił.

Zmierzchało, gdy parkowali pod domem.

– Wiesz co, chodźmy najpierw na górę, a torby wypakujemy jutro – powiedział zmęczony Christian.

– Myślisz, że nikt ich nie ukradnie?

– Jestem pewny. To przecież centrum jednego z największych miast w Europie. Wszędzie monitoring, każda ulica ma kamery.

Wzięli tylko podręczne rzeczy i poszli na górę. Mężczyzna włożył klucz.

– Wydawało mi się, że zamykałem zarówno górny, jak i dolny zamek – stwierdził Menzel. – Stary się robię, bo widać nie pamiętałem.

– Zawsze zamykasz na dwa – dodała lekko zaniepokojona Aurelia.

Christian pchnął drzwi i pierwszy wszedł do środka. Zapalił światło w przedpokoju.

– Jezus, Maria! – wykrzyknęła podążająca za nim żona.

Blaty szafek i półek zastawione do tej pory ładną porcelaną i drogi-  
mi ozdobami, świeciły pustkami. Na ścianach pozostały miejsca po kilku  
obrazach, a regał z książkami pozbawiony był najstarszych pozycji.

– Nie ma mojej biżuterii! – krzyknęła Aurelia, zaglądając do swojej  
bieliźniarki. – Musimy wezwać policję! Ktoś nas okradł!

Nie ściągnęli nawet butów, tylko od razu dzwonili na pobliski po-  
sterunek. Po kwadransie przyjechał patrol. Para funkcjonariuszy spisała  
zeznania.

– Czyli wyjechali państwo na urlop świąteczny i w tym czasie  
mieszkanie zostało bez opieki, tak? Nikt ze znajomych czy przyjaciół nie  
przychodził, aby podlać kwiatki czy wywietrzyć pokoje?

– Nieee – odparł niepewnie Christian, bo pewna myśl narodziła mu  
się w głowie. – Jakiś czas temu, w październiku i listopadzie, przycho-  
dziła pewna pani do sprzątanía. Zostawiałem jej klucze.

– Ta Ukrainka? – przypomniała Aurelia.

Mąż skinął głową ze wstydem.

– Tak.

– Mogła dorobić sobie komplet – dodał funkcjonariusz. – Ale to  
była ogromna nieodpowiedzialność z pana strony.

– Wiem, teraz to wiem...

– Na ile wyceniają państwo szkody? – spytała policjantka.

– Jakies sześć, siedem tysięcy euro – odparł Christian.

– Sprawa wygląda tak. Przyjmujemy państwa zgłoszenie, ale pro-  
szę nie liczyć na to, że znajdziemy sprawczynię kradzieży. Nawet jeśli  
będzie widoczna na nagraniu z kamer zainstalowanych w budynku, na  
niewiele się to zda. Pewnie będzie wchodzić z dużą torbą i z nią wycho-  
dzić. To wszystko. Nie wnikam teraz, czy ta Ukrainka była przez pana  
legalnie zatrudniona. Pewnie nie, a szkoda, bo wtedy moglibyśmy błý-  
skawicznie ustalić jej dane i miejsce zamieszkania. Pan doskonale zdaje  
sobie sprawę, że miałby pan kłopoty, gdybyśmy roztrząsali ten temat  
i wyszłoby na jaw, że ktoś przychodził sprzątać mieszkanie na czarno?

Menzel skinął głową, nie patrząc policjantom w oczy.

– To wszystko z naszej strony. Jutro będzie można odebrać protokół z posterunku. Dobranoc państwu.

Funkcjonariusze się pożegnali i wyszli.

– Co teraz? – Aurelia popatrzyła na męża bezradnie.

– Nie wiem... Zły jestem sam na siebie. Na pewno trzeba będzie wymienić zamki i dokładniej posprawdzać, co zginęło. Dobrze, że nie trzymaliśmy w mieszkaniu żadnych pieniędzy.

– Teraz nie ma tutaj nic naszego... żadnych pamiątek, wspólnych kosztowności – westchnęła Aurelia. – Ktoś po prostu wszedł sobie i odebrał nam to.

– Najchętniej wróciłbym jeszcze dzisiaj do Pobierowa – powiedział Christian. Od jakiegoś czasu tylko tak wymawiał nazwę tej miejscowości. Nie mówił o niej Poberow.

Pół nocy sprawdzali, co jeszcze zostało zabrane. Zrobili listę rzeczy i położyli się spać. Wstali przed dziewiątą. Aurelia robiła kawę, a jej mąż dzwonił po ślusarza, by ten przyjechał wymienić zamki w drzwiach. Potem zamknął się w sypialni i długo z kimś rozmawiał.

– Wystygła. – Kobieta wskazała zimny dzbanek. – Nie mogłeś przełożyć telekonferencji?

– Skontaktowałem się z kontrahentem, który chciał kupić naszą firmę – powiedział poważnie. – Poprosiłem, żeby jutro stawił się w biurze z ofertą.

– Zdecydowałeś się? – Spojrzała zdumiona.

– Tak. Nie mam siły, aby to dalej prowadzić. A po wczorajszym wieczorze odechciało mi się życia w Berlinie. Nawet piwo inaczej smakowało nad morzem.

– Inaczej? Jak?

– Lepiej, po prostu lepiej – odparł.

– Co chcesz dalej robić?

– Gdy dostanę odpowiednią sumę za firmę, praktycznie nic nie będziemy musieli robić. Może wyjechalibyśmy do Hiszpanii? Może pozwiedzalibyśmy świat? Nie wiem jednak, czy mi się chce. Skoro mamy apartament w Pobierowie, to moglibyśmy po prostu tam zamieszkać.

Aurelia zapiszczała i z radości rzuciła się mężowi na szyję.

– Może kupimy niewielki pensjonat, co? Mamy oszczędności, do-

łożylibyśmy kwotę ze sprzedaży firmy i wystarczyłoby na coś kameralnego. Zadzwońię do pani Matyldy i powiem, żeby dała nam znać, gdy usłyszy o jakimś ciekawym miejscu.

– Dobry pomysł. Podgrzej kawę, a ja się ubiorę. Zaraz pojedę do komisariatu.

\* \* \*

– Jest po prostu cudowna! – Dorota oglądała kołdrę z każdej strony. – Pachnie wspaniale, a jak wygląda! Amelko, zobacz, jakie to zwierzątko?

– Muuu – powiedziała mała na widok sympatycznie wyglądających krówek.

Zabrała kołderkę i poszła do kąpika, w którym miała lalki. Umieściła je wszystkie w łódeczku i przykryła otrzymanym przed chwilą prezentem. Gdy zajęła się sobą, kobiety wróciły do rozmowy.

– Ewa naprawdę przesypia większą część nocy – powiedziała Aldona. – Położna, która nas odwiedza, doradziła mi fantastyczną rzecz. Zaleciła owijanie dziecka w sposób, w jaki znajdowało się w brzuszku. Rączki muszą ściśle przylegać do ciała. Wtedy czuje się bezpieczne i szczęśliwe. Biorę więc koc i składam go w kopertę na Ewuni. Nim ją zawinę, już mruży oczy i próbuje zasnąć. A po butelce mleka śpi jak kamień! Gdy spała pierwszą noc w takim pakunku, budziłam się co godzinę i sprawdzałam, czy oddycha.

– Matki już tak mają – westchnęła Dorota. – Podziwiam cię, że masz czas na takie rzeczy, jak szycie.

– Moje dziecko nie jest jeszcze tak absorbujące, jak twoje – roześmiała się Aldona. – Siadam sobie wieczorami i szyję. Naprawdę sporo rzeczy już porobiłam. Ta kołderka dla Amelki powstawała kilka tygodni. Specjalnie wyszukiwałam materiały ze zwierzątkami, bo wiem, że je uwielbia.

Przyglądały się przez chwilę, jak mała udaje zatroskaną opiekunkę i przykrywa swoje pluszaki po czubki głów.

– Dwie mamy zaczepiły mnie podczas spaceru i spytały, skąd mam tę zabę. – Wskazała zielonego stworka, przywiązanego łapkami do stelażu wózka. – Bardzo im się spodobała. Gdy powiedziałam, że sama je

szyję, zostawiły mi swoje zamiary, bo też takie chcą.

– I co? Zrobiłaś? – zainteresowała się Dorota.

– Jasne! I to w podwójnych ilościach – roześmiała się Aldona.

– Co wieczór przybywa mi kilka zabawek. Są i żaby, i króliki, i całe rodzinki pluszaków.

– Jeżeli wszystkie wyglądają tak jak ta, to może warto otworzyć sklep internetowy?

– Eee tam, to wiązałoby się z wieloma formalnościami. – Aldona machnęła ręką.

– Wcale nie. Jako rencistka nie musiałybyś odprowadzać składek na ubezpieczenie. Ze zbytem nie miałybyś chyba najmniejszego problemu. Wiele mam interesuje się teraz rękodziełem. Twoje jest wyjątkowe.

– Dorota z uwagą przyglądała się precyzyjnemu wykonaniu zabawki.

Przyjaciółka zadbała o każdy szczegół. – Swoją drogą, nie podejrzewałam cię o taki talent. Ogromnie gratuluję!

– To było nic nieznaczące hobby. – Machnęła ręką, choć aż pokraśniała z zadowolenia.

– Przypominam, że najlepiej zarabia się na swojej pasji.

Właśnie to ostatnie zdanie utkwilo jej w głowie, gdy wracała w to styczniowe popołudnie do domu. Ewunia spała w wózku, otulona ciepłym futerkiem. Miała rumieńce na policzkach. Po takim spacerze na pewno dobrze zaśnie. Mama będzie miała czas na zrobienie kolejnych przytulank. Jutro wybierze się na plac zabaw, aby przekazać zamówione zabawki zainteresowanym paniom. Każda złotówka się przyda. Gdy ostatnio siedziała nad rachunkami, bilans nie wyglądał zbyt różowo. Dziecko rzeczywiście pochłaniało sporo pieniędzy. Córeczka musiała pić specjalne droższe mleko, bo po tym zwykłym ulewało jej się. Co kilka dni trzeba kupić nową puszkę.

Wieczorem, po kąpieli maleństwa, oglądała w internecie sklepy z rękodziełem. Jejku, jest tyle utalentowanych pań, że ona ze swoimi umiejętnościami nie umywa się nawet do nich!

– Zrobię to jednak dla ciebie, maleńka. – Pochyliła się nad Ewunią i pocałowała ją w czoło.

\* \* \*



O dziwo, Zoja przyjęła ze spokojem informację, że znowu sam się wybiera do Gostynia. Bez zbędnych pytań go spakowała. Może w ogóle jeszcze to do niej nie dotarło? Od początku stycznia zajęta była inwentaryzacją w aptece, skupiając na niej całą swoją uwagę. Wraciała późno do domu i prawie od razu szła do łóżka. Rano wychodziła jeszcze zanim Ryszard wstał.

Droga była prawie pusta. Mało kto w ciągu tygodnia, w dodatku zimą, wybiera się w stronę morza. Było sucho, śniegu nie widział już trzeci rok. Dojechał dziesięć minut szybciej niż zazwyczaj. W domku było chłodno. Wszystko stało tak, jak pozostawił poprzednim razem. Sprawdził instalację i kanalizację. Były w porządku.

Odwlekał moment udania się na miejsce pochówku. Wyciągnął z torby przywiezioną ze sobą wodę święconą i kropidło, które wziął z zestawu kolędowego Zoi. Pokropił ziemię, w której pogrzebał księdza Witolda. Po cichu zmówił wszystkie modlitwy, jakie znał, i odczuł natychmiastowy spokój. Wreszcie wszystkiego dopełnił tak, jak być powinno. Pomiędzy gałęziami jabłunki, które położył na tym miejscu, dostrzegł przebiśniegi. Widać było im tam dobrze i ciepło, skoro pokazały się już w styczniu.

Po kwadransie jechał w kierunku Trzebiatowa. Skręcił, gdy zobaczył szyld z nazwą Jaromin. Po zniszczonej drodze poruszał się wolniej. Po paru minutach zaparkował przed domem opieki. Z okien niewielkiego budynku odłaziła farba, gdzieś sypały się kawałki muru. Otoczenie jednak było piękne. Za domem rozciągał się ogród, w tej chwili szary i pozbawiony kolorów. Ryszard był jednak pewien, że w maju najchętniej przebywa się właśnie tam.

– Mogę w czymś pomóc? – Tak się zamyślił, że nie usłyszał kroków za sobą.

Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stała tęga kobieta w średnim wieku.

– Przyjechał pan do kogoś w odwiedzin? – dopytywała się.

– Dzień wizyt był wczoraj.

– To przepraszam, pojedę sobie. – Zrobił krok w stronę samochodu.

– Ze Szczecina pan przybył. – Popatrzyła na rejestrację i westchnęła.

ła. – Szkoda, aby na darmo pan jechał. Tylko następnym razem proszę przestrzegać terminów. Odwiedzających jest sporo, a ja nie jestem w stanie sama wszystkiego dopilnować. Proszę, do kogo idziemy?

– Do Anny Kaweckiej.

– Do Anny? Dawno nikt jej nie odwiedzał. Swego czasu przyjeżdżał do niej ksiądz, ale od kilku lat go nie widziałam.

– Nie dawał znaku życia?

– Nie. Nawet nie wiem dokładnie, jak się nazywał ani skąd przyjeżdżał. Zjawiał się raz na kilka miesięcy, a potem w ogóle. Wie pan, jak dojść do jej pokoju?

– Nie bardzo. Całe wieki tu nie byłem – skłamał.

– Nie dziwię się... Ona jest ciężkim przypadkiem. Choroba postępuje. Właśnie jest w fazie manii. Ciągłe wydaje się jej, że ktoś ją prześladowuje i podgląda. Kazała założyć ciemne story na okno. Gdy wchodzę do jej pokoju, to mam wrażenie, jakbym właśnie znalazła się w grobowcu. Tak już jest z chorobą afektywną dwubiegunową.

Ryszard cieszył się w duchu, że kobieta okazała się taką gadułą.

– Pani tu pracuje, prawda?

– Prowadzę ten dom opieki. Jestem jego kierowniczką. Widać ostatnim razem, gdy pan tu był, przebywałam na urlopie, bo nijak nie mogę sobie przypomnieć...

– Tak, wtedy oprowadzała mnie inna osoba – brnął w kłamstwo.

– Taka dziewczyna ze związanymi rudymi włosami? – Przytaknął energicznie głową. – To nasza pracownica socjalna. Dzisiaj jej nie ma.

Znowu ma szczęście.

Weszli do budynku i minęli kilka korytarzy.

– To tutaj. – Stanęli przed drzwiami z numerem dziesięć. – Kogo mam wpisać do księgi odwiedzin?

– Ryszard Nawrocki. – Tym razem podał prawdziwe imię i nazwisko. – Jestem kuzynem Anny.

– To ja zostawię was na trochę samych i pójdę do biura. – Kierowniczka westchnęła. – Wszyscy powyjeżdżali na urlopy albo się szkolą, więc tak prozaiczne czynności, jak dokumentacja gości, spada na mnie.

Mężczyzna powoli wszedł do pokoju. Rzeczywiście, było w nim ciemno. Pośrodku pomieszczenia stał fotel, na którym siedziała niemłoda

już kobieta. Ryszard nie był pewien, ile może mieć lat. Pewnie około sześćdziesięciu. Włosy na jej głowie były całkiem siwe, zaplecione w niechlujny warkocz. Usłyszała, że ktoś staje obok, ale nawet nie odwróciła głowy.

– Dzień dobry – odezwał się cicho.

Nie odpowiedziała. Zauważył, że miała splecione dłonie i na przemian kręciła kciukami. Dziesięć razy w jedną stronę, dziesięć w drugą.

– Dzień dobry – powiedział nieco głośniej.

Nadal żadnej reakcji. Zaczął się zatem wycofywać w kierunku wyjścia.

– Przywiozłeś jabłka? – Usłyszał nagle. – Wiesz, jak je lubię.

Ryszard zaczął szukać w plecaku, który miał na ramieniu.

– Proszę. – Wyciągnął owoc. Zawsze nosił je ze sobą.

Anna wzięła jabłko do drżącej ręki i ugryzła owoc. Usłyszał pełne zadowolenia mlaskanie.

– Witek też przywoził mi takie – powiedziała. – Tak samo smakowały. Przywieszysz więcej następnym razem?

– Tak.

– To dobrze. Dam Julce, bo ona też musi jeść owoce.

– Kim jest Julka?

– Mówiłam ci już!

Ryszard umilkł, nie bardzo wiedząc, jak prowadzić z nią rozmowę. Czuł lekką obawę przed tą kobietą.

– Coś jeszcze mam przywieźć?

– Krówki. Witek zawsze je przywoził i chował w mojej szafce.

– Dobrze.

– Jak już tu przyjechałeś, to możesz odsunąć trochę zasłonę. Tylko uważaj, żeby nikt nas nie zobaczył.

Ryszard podszedł do okna i wpuścił trochę światła. Teraz lepiej widział kobietę. Odjął jej pięć lat.

– Jestem już. – Do pokoju, bez pukania, weszła kierowniczka.

– Rozmawiacie sobie? Widzę, że przywiózł pan ulubiony smakołyk Anny. Proszę mi wierzyć, gdy my jej dajemy te owoce, nie chce ich tknąć. Nie wiem, jaką odmianę wy przywozicie, że tak się zajada.

Nie przyznał się, że to było jabłko znalezione dziś rano w pobliżu

miejsca pochówku. Jakimś cudem utrzymało się na gałęzi i przetrwało tyle czasu.

– Proszę, niech pan tu podpisze. Nie mogłam znaleźć kart odwiedzin, pewnie zostały gdzieś zawieruszone, dlatego podpis wstawimy w dokumentach. – Podała mu gruby plik papierów, wskazując odpowiednie miejsce.

Brał długopis do ręki, gdy na korytarzu powstał jakiś hałas.

– Pani kierownik, szybko! Szybko! Do Małachowskiego! – Korpu-lentna kobieta zostawiła wszystko i pobięła za wołającym ją mężczyzną.

Ryszard spojrział na to, co mu zostawiła. Otworzył dokumenty na pierwszej stronie.

Anna Kawecka, lat 52. Silna depresja, zdiagnozowana choroba afektywna dwubiegunowa. Upośledzenie umysłowe, jedna próba samobójcza...

Przeglądał pobieżnie informacje na temat leków, jakie otrzymuje, i zalecenia specjalistów. Im dłużej czytał, tym większe ogarniało go przerażenie. Co on właściwie tutaj robi?

Podpisał szybko we wskazanym miejscu i odłożył papiery, nim wróciła kierowniczką.

– Bardzo dobrze. – Nawet nie rzuciła okiem. – Przepraszam, wyjdę jeszcze na kwadrans, bo mamy atak padaczki i musimy go opanować.

Ryszard tylko skinął głową i kobieta wyszła w pośpiechu.

– Witek nie przyjdzie więcej, prawda? – odezwała się Anna.

Nie odpowiedział, lekko strwożony.

– Powiedział, że kiedyś musi mnie zostawić. Że nie przyjdzie i nie przyniesie jabłek. Teraz ty będziesz je przynosił. – Stwierdziła.

Znowu zapadła cisza.

– Powiesz coś Witkowi – nakazała kategorycznym tonem. – Już nie jestem na niego zła. Kocham go, ale on nie musi mnie kochać. Niech mi nadal przysyła jabłka. Widzisz, mam na nogach ciepłe skarpety, które przysły w ostatniej paczce. Karton schowaliśmy pod łóżkiem, żeby kierowniczką nie zauważyła. – Roześmiała się nerwowo, zerkając, czy wymieniona nie pojawiła się nagle w drzwiach. – Drugą parę oddałam Lidce z piątki. Ona niczego nie dostaje.

– Często przychodzą paczki do pani?

Wzruszyła ramionami. To była cała odpowiedź.

– Co włożyć do następnej? Tylko jabłka?

Nie odpowiedziała. Zapatrzyła się w jakiś punkt. Spojrzenie miała nieobecne. Ryszard domyślił się, że nie będzie z nią już żadnego więcej kontaktu.

Rzucił tylko głośno słowa pożegnania i wyszedł z pokoju. Do kierowniczkę nie chciał zaglądać. Lepiej, żeby nie zapamiętała go. Nie zdążył dojść do samochodu, gdy usłyszał wołanie.

– Proszę poczekać!

Biegła za nim zdyszana tęga kobieta.

– Przepraszam, że nie mam dzisiaj czasu dla pana – wysapała.

– Przytrafiła się jednak wyjątkowo trudna sytuacja, a ja jestem bez wsparcia. Zapewne chciałby pan omówić stan zdrowia Anny.

Ryszard skinął niepewnie głową.

– Zwiększyliśmy jej dawkę leku na ten depresyjny czas. Jak pan wie, potrwa on gdzieś do końca lutego, potem zrobi się lepiej. Będą dłuższe dni i więcej słońca. Kolejnych prób samobójczych nie było. Prawdopodobnie Anna pogodziła się z faktem, że jej wybranek nie odwzajemnia uczucia. Swoją drogą, przez tyle lat była tak uparta, że nikomu nie powiedziała, kto jest obiektem jej miłości. Od tego uczucia do szaleństwa droga nie jest wcale daleka. – Zamyśliła się.

– Bo miłość to choroba. – Mężczyzna powtórzył zasłyszane gdzieś zdanie.

– Zgadzam się. Obserwuję to właśnie w przypadku Anny. Gdyby się nie zakochała tak nieszczęśliwie, to afektywność ujawniłaby się dużo później. Teraz jest skazana na ten dom i życie w nim do końca. Zimą całymi dniami siedzi w fotelu i rozmyśla. Może marzy? Nie wiem, ciężko się z nią porozumieć. Chciałabym, by wychodziła trochę na świeże powietrze, ale nie sposób jej namówić. Tylko temu księdzu się to udawało. To dobry człowiek, ale już nie przyjeżdża. Może został gdzieś przeniesiony?

Ryszard nie odpowiedział.

– Głupie pytanie, skąd pan może wiedzieć... Sama go widziałam może ze dwa razy, bo zazwyczaj odwiedzał Annę wtedy, gdy mnie nie

było. Dobrze, nie zatrzymuję pana.

– To ja dziękuję za wszystko – odparł. I dodał niespodziewanie dla samego siebie. – Wiosną i latem będę przyjeżdżał częściej w odwiedziny.

– Bardzo się cieszę! – Kierowniczka rzeczywiście wydawała się zadowolona. – Annie na pewno też sprawią wiele radości te wizyty. Do widzenia!

– Do widzenia.

Wracając do Szczecina, zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza.

\* \* \*

Władysław rozglądał się po gabinecie. Nie było go tu prawie dwa miesiące. Na biurku leżała niewielka sterta korespondencji. Zaraz się nią zajmie. Przed chwilą przywitali go pracownicy. Najbardziej zadowolona z powrotu wydawała się Milena Turowska. Jak dobrze pracować wśród ludzi, do których się ma zaufanie, pomyślał.

Spojrzał na znajomy widok za urzędowym oknem. Musiał usiąść na chwilę, bo poczuł, że kręci mu się w głowie. Widać emocje dają o sobie znać. Serce też biło inaczej niż zwykle. Jakoś szybciej i niespokojniej, aby po chwili zacząć walić w piersi jak oszalałe. Gdy tylko trochę się uspokoi, poprosi panią Milenę, aby przyniosła mu wodę. Nie, nie będzie czekał. Poluzuje tylko krawat, bo duszno mu się robi. Ręce mocno drżą, w gardle narasta ucisk. Obraz się lekko zamazuje, aby po chwili zupełnie zniknąć. Tchu także już nie ma...

Dziesięć minut później Milena Turowska krzyczała tak głośno, że usłyszeli ją wszyscy w urzędzie. Ktoś dzwonił po pogotowie, ktoś inny telefonował do Matyldy. Przybyła prawie jednocześnie z medykami. Była śmiertelnie przestraszona i koniecznie chciała się dostać do gabinetu.

– Pani sołtys, nie teraz. – Milena próbowała ją powstrzymać.  
– Trwa akcja reanimacyjna. Lepiej nie przeszkadzać.

Zanim skończyła mówić, żona wójta zdecydowanym ruchem ją odsunęła i wkroczyła do pokoju. To, co zastała za drzwiami, sprawiło, że nogi się pod nią ugięły. Jej Władysław był ułożony na podłodze i się nie ruszał. Wokół niego klękali ratownicy. Każdy w skupieniu robił to, co do niego należało. Milczała. Nie chciała ani jednym słowem przerwać im pracy.

– Nie czuję tętna, nie ma oddechu. – Usłyszała po kwadransie słowa jednego z ratowników.

– Jeszcze dziesięć minut – odpowiedział drugi.

Po twarzy sołtyski ciekły łzy. W duchu modliła się, aby wydarzył się cud i tętno w jakiś sposób wróciło, a płuca podjęły pracę, jednak nic takiego nie następowało.

– Przykro mi. – Ratownik podszedł do niej. – Najprawdopodobniej to był bardzo silny udar. Godzina zgonu: dziewiąta piętnaście – zwrócił się do sanitariusza.

Patrzyła na niego, jakby niczego nie rozumiała.

– Co pan mówi? Jakiego zgonu?

– Przykro mi...

Nie zarejestrowała już niczego więcej. Nie zauważyła, że podeszła do niej Milena, objęła ją i odprowadziła do fotela. Matylda wpatrywała się w leżącego na podłodze męża, jakby to spojrzenie miało sprawić, że ożyje. Dopiero po chwili zaczęła szlochać. Płacz wydobywał się z głębi jej duszy i wstrząsał całym ciałem.

– Zmarł w miejscu, które kochał – szeptała. – To był pierwszy dzień po długiej przerwie. Rano czuł się doskonale...

Nadal nie mogła uwierzyć w to, że Władysław właśnie zakończył żywot. Jeden z ratowników zajął się wypisywaniem dokumentacji, reszta czekała na przybycie lekarza mogącego wystawić akt zgonu.

– Przepraszam, że w takiej chwili. – Usłyszała. – Muszę powiadomić zakład pogrzebowy. Ma pani jakiś wybrany?

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Ja się tym zajmę – powiedziała Milena Turowska przytomnie.

– Panią sołtys proszę zostawić w spokoju.

Wyprosiła kilkoro pracowników urzędu i zostawiła Matyldę z personelem medycznym. Bardzo wolno docierało do wdowy, że nie ma już Władysława. Nie ma ich małżeństwa. Nie ma życia, które prowadziła do tej pory!

\* \* \*

Aldona spojrzała na efekty swojej pracy z ogromnym zadowoleniem. Dwa plastikowe pojemniki były wypełnione pluszowymi przytulankami. Tworzyła je każdego dnia po kilka godzin. Ewa spała już trochę mniej, ale nadal była bardzo spokojna. Mama często kładła ją obok siebie na kanapie i mała przez długie minuty potrafiła przyglądać się śmigającej maszynie i kolejnemu powstającemu dziełu. Tym razem Aldona wykonywała je niemalże akordowo, ale w każde wkładała serce i uczucie. A zaczęło się od zwykłego telefonu.

– Dzień dobry. – Dwa tygodnie temu usłyszała w słuchawce miły męski głos. – Nie wiem, czy dobrze się dodzwoniłem...

– Zależy w jakiej sprawie – odparła.



– Wczoraj spotkałem pewną panią, której dziecko miało piękną przytulankę, taką żabkę z długimi łapkami. Wypytałem zaraz, w którym sklepie ją kupiła i dostałem pani telefon.

– Czy pan jest z urzędu skarbowego? – Aldona zapytała ze strachem i zaraz zaczęła się tłumaczyć. – Ja nie wiedziałam jeszcze, jak potoczy się moje rękodzieło i nie spodziewałam się takiego zainteresowania. Nie zdążyłam uregulować formalności z urzędem. Czy dostanę dużą karę? Jak mogę wam zgłosić, że dorabiam sobie w taki sposób? Przepraszam za moją niewiedzę, ale odkąd urodziła się córeczka...

– Nie, nie jestem z urzędu – przerwał jej ze śmiechem. Sympatyczny głos trochę ją uspokoił. – Jestem dyrektorem domu dziecka. Byliśmy akurat z wychowankami na placu zabaw i tak wpadły nam w oko pani przytulanki. Chciałbym kilka zamówić, bo dzieci dręczą mnie o żabki z długimi łapkami. Raz je zobaczyły i spodobały im się od razu.

Aldona odetchnęła z ulgą. Kamień spadł jej z serca!

– Ile zabawek pan potrzebuje?

– Jakies pięćdziesiąt sztuk.

– Słucham? – Zrobiło się jej gorąco. Chyba właśnie dostała pierwsze poważne zamówienie!

– Da pani radę tyle zrobić? Wspominała pani o maleństwie.

– Oczywiście, że dam! Ewunia jest wyjątkowo spokojnym dzieckiem i ma zaledwie sześć tygodni – odparła. – Tylko jest jedna sprawa... Będę potrzebować sporo materiału na żabki i muszę go dopiero zamówić.

– Nie ma sprawy. Mogę podjechać jeszcze dzisiaj do pani i przekazać zaliczkę. Czy tysiąc złotych wystarczy?

– Nie wiem... Nie miałam jeszcze tak dużego zamówienia – przyznała. – Proszę przyjechać i zobaczyć, jak wyglądają pozostałe zabawki, a ja wszystko wyliczę.

Wyczuł speszzenie w jej głosie. Poprosił o adres i obiecał wpaść jak najszybciej. Godzinę później wpuszczała do mieszkania przystojnego trzydziestokilkulatka.

– Ariel Witkowski – przedstawił się, podając jej rękę.

Rozglądał się po mieszkaniu, patrząc na sowy, żabki i anielice, które powstawały każdego dnia.

– Jak tu wspaniale! A to chyba najpiękniejszy z aniołów. – Pochylił się nad leżącą na kanapie Ewą. Od kilku dni uśmiechała się, więc i on został zaszczycony. Po chwili z trudem oderwał uwagę od małej i skupił się na Aldonie. – Ma pani talent. Gratuluję.

Poczerwieniała lekko.

– Przywiozłem zaliczkę. Ile czasu będzie pani potrzebować na wykonanie pluszaków?

– Myślę, że około dwóch tygodni. Zielony materiał jest dostępny w hurtowni, więc dostanę go od ręki. Aby nie miał pan żadnych wątpliwości, wydrukowałam umowę – podała mu dokument. – Proszę tylko wpisać dane zamawiającego.

Zajął się wypełnianiem pisma. Przyglądała mu się. Była zaskoczona. Nie wyglądał jak dyrektor domu dziecka. Taka osoba zawsze kojarzyła się jej z podeszłym wiekiem i płcią żeńską. A tu proszę, całkiem młody i przystojny mężczyzna. Do tego wrażliwy. Zapewne ma w domu fantastyczną żonę i gromadkę dzieci pakujących się co wieczór na jego kolana.

– Halo, tu ziemia! O czym pani myśli? – Mrugnął do niej, bo wpatrywała się w niego niewidzącym spojrzeniem.

– O gromadce pańskich dzieci – odparła automatycznie, nim zdążyła się zreflektować.

Wybuchnął radosnym śmiechem. Ewunia najpierw spojrzała zaskoczona, a potem dołączyła do radości.

– Jeszcze nie jestem ojcem – odparł. – Miło jednak, że za takiego mnie pani wzięła. I to całej gromadki!

– Przepraszam.

– Nie ma za co! Dla mnie to komplement! Chciałbym być tatą, jednak jest jeden problem. – Przybrał minę, jakby cierpiał na schorzenie, które nigdy nie pozwoli mu zasmakować ojcostwa.

– Przykro mi... Ale są specjaliści, którzy pomagają w takich sytuacjach i...

– Pani Aldono! – Znowu się roześmiał. – Proszę mi wierzyć, jestem zdrowy! Tylko nie trafiłem jeszcze na odpowiednią partnerkę. Wiem, w obecnych czasach to nie jest nic trudnego, jednak ja jestem wybredny.

– Ach... Przepraszam pana – sumitowała się. – Nie miałam zamiaru wkraczać w osobiste sprawy.

– Nic się nie stało. Marzy mi się taka księżniczka, jak ta leżąca tu piękność z niezwykłymi oczami. Chyba po mamie ten kolor, prawda?

– Spojrzał na Aldonę i odpowiedział sam sobie. – Pewnie, że po mamie!

Uśmiechnęła się do niego. Oddał jej wypełnioną umowę.

– Cieszę się, że tu trafiłem. Nasze dzieci pokochają te zabawki. Są tak wdzięczne, że raduje je każda najdrobniejsza rzecz.

– Mam nadzieję, że i ja przyczynię się do tego!

– Nie wątpię, robi pani prawdziwe cuda.

Po jego wyjściu z uśmiechem zasiadła do pracy. Dwa tygodnie później kończyła przygotowywać zamówienie. Zrobiła także jedną żabkę dla Amelki, ale przyjaciele musieli nieoczekiwanie wyjechać na pogrzeb. Wręczy ją po ich powrocie.

Spojrzała na zegar. Za godzinę przyjedzie Ariel Witkowski.

W przyływie impulsu poszła do łazienki, delikatnie pomalowała rzęsy i przypudrowała policzki.

– Wszystkie są wspaniałe! – Cztery kwadransy później mężczyzna pochylał się nad pluszakami. – Dzieciaki bardzo się ucieszą. Proszę, przygotowały dla pani mały upominek. – Wręczył Aldonie duży plakat z wymalowanymi żabkami i podpisami dzieci.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się radośnie. Ewunię także uradował widok kolorowego dzieła.

Poznosił wszystko do zaparkowanego na dole samochodu i jeszcze raz przyszedł na górę.

– To dla pani. – Nieoczekiwanie wręczył jej duży bukiet. – Za dobre serce i dużą pomoc.

Poczerwieniała. Dawno nie dostała róż. Ariel, nim się pożegnał, ucałował jej dłoń.

– Raz jeszcze dziękuję.

Po jego wyjściu wtuliła twarz w kwiaty i długo jeszcze je wahała.

\* \* \*

– To był wspaniały i zasłużony dla naszego regionu człowiek.  
– Ksiądz Zygmunt mówił drżącym głosem. – Zrobił wiele dobrego dla

mieszkańców. Dla każdego miał czas i siły na wysłuchanie. Nie odmawiał pomocy nikomu! I zmarł praktycznie na służbie. Nasza pobierowska ziemia przyjmuje dzisiaj jednego z najbardziej oddanych ludzi, jacy kiedykolwiek tu mieszkali. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

Rozległ się płacz Matyldy i kilku innych osób. Pogrzeb zgromadził tłumy mieszkańców, nie tylko Pobierowa, ale również okolicznych miejscowości. Przybył każdy, kto czuł powinność pożegnania wójta. Tuż nad grobem stała żona, Dorota z Piotrem i Amelką oraz najbliżsi współpracownicy.

– Dzia-dzia? – Usłyszeli, gdy na chwilę zapadła cisza. – Dzia-dzia?

Matylda rozżaliła się jeszcze bardziej. Władysław tak czekał na spotkanie z wnuczką... Z trudem przyjmowała liczne kondolencje, nieświadoma, kto w ogóle podchodzi i je składa.

– Dzia-dzia! Dzia-dzia! – Dźwięczało jej w uszach.

A przecież nie ma już dziadka, nie ma wójta Matuszewskiego, nie ma jej męża, wspaniałego człowieka! Co ona teraz ma począć?! Została tu kompletnie sama!

Stypę w wiejskiej świetlicy przygotowała Dorota. Obecni wspominali Władka jak najlepiej. Po dwóch godzinach towarzystwo się rozeszło.

– Mamo, jedźmy do domu.

– Zawieź mnie jeszcze na cmentarz – poprosiła.

Stała nad usypanym grobem obłożonym niezliczoną ilością kwiatów i wieńców, wokół których poustawiane były znicze. Łzy ciekły jej po twarzy. Jej mąż cieszył się ogromnym szacunkiem i poważaniem. Zasłużył na tak piękny pogrzeb.

– O czym myślisz, mamo? – Po kwadransie Piotr podszedł do Matyldy.

– Jak długo ludzie będą pamiętać o nim – odparła cicho. – Dzisiaj było ich tak dużo.

– Nie wiem – przyznał syn. – Mam nadzieję, że całe lata. Warto, aby pojawił się ktoś mądry, kto będzie kontynuował jego pracę.

– To była misja, nie praca...

Matylda jeszcze chwilę modliła się nad grobem, a potem razem wrócili do domu.

\* \* \*

Ryszard wyszedł wcześniej z cmentarza. Nigdy nie lubił składać kondolencji, bo głos mu wtedy wiązał w gardle. Zapalił znicz, złożył kwiaty i niezauważony przez nikogo, odszedł. Dobrze, że Zoja nie mogła brać udziału w tej uroczystości. Była niepokieszona. Dwa dni wcześniej rozłożyło ją solidne przeziębienie. Z trudem przekonał ją, że w takim stanie nie może stać kilku godzin w zimnym kościele i na dworze. Obiecał, że na pewno kupi odpowiedni wieniec.

Wsiadł do samochodu i zamiast do Szczecina, skierował się w inną stronę. Pchał go tam jakiś impuls. Zatrzymał się przy sklepie w Pobierowie.

– Trzy kilogramy jabłek poproszę – powiedział do sprzedawczynie.

Zapłacił i ruszył w stronę Jaromina. Po kwadransie był na miejscu. Zaparkował przed domem opieki i przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze robi. Skoro jednak już tu jest, to głupotą byłoby się wycofać.

Wszedł do środka i skierował kroki w stronę biura.

– Dzień dobry. Jest pani kierownik? – spytał siedzącą tam młodą dziewczynę z kitką na czubku głowy.

– Dzień dobry. Nie, dzisiaj ma wolne. Pan w jakiej sprawie?

– Chciałem tylko coś przekazać Annie Kaweckiej. Byłem w pobliżu, więc wpadłem.

Kobieta spojrzała na niego bystro.

– Jej prawie nikt nie odwiedza – powiedziała. – Poza księdzem, ale on już kilka lat tu nie był.

Ryszard się odwrócił. Poczł nagłą chęć ucieczki. Ta dziewczyna była bardziej spostrzegawcza od kierowniczk.

– Proszę zostać, kimkolwiek pan jest – zatrzymała go. – Anna mówiła, że pan się zjawi. W tej torbie to pewnie jabłka?

Skinął głową.

– Chodźmy.

Zaprowadziła go do znajomego pokoju. Zapukała.

– Masz gościa – poinformowała.

Pensjonariuszka nawet nie ruszyła głową, zupełnie jak poprzednim razem.

– Zawsze tak się zachowuje – powiedziała dziewczyna, widząc, że Ryszard stanął lekko skonsternowany, nie wiedząc, co robić. – Proszę po prostu do niej mówić.

Odchrząknął.

– Dzień dobry, Anno. Przyjechałem z obiecanyimi jabłkami. – Dopiero na te słowa się odwróciła i skupiła wzrok na torbie, którą trzymał. Na potwierdzenie słów wyciągnął z niej jeden owoc i podał go kobiecie. Wzięła i zaczęła jeść.

– Dobrze – powiedziała i znowu skupiła uwagę na ścianie.

– Już raczej nic więcej nie powie do pana – stwierdziła dziewczyna. – Jedynym człowiekiem, z którym rozmawiała, był ksiądz Witold. On już nie będzie tu przyjeżdżał, prawda?

Pokręcił głową.

– Uratował jej życie. Kilkanaście lat temu znalazł ją w lesie, prawie wycieńczoną. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, nie potrafiła podać imienia ani nazwiska. Nie wiedziała, co robiła w tym lesie ani jak się tam znalazła. Szukaliśmy informacji o niej w całej Polsce, ale bezskutecznie. Nikt podobny nie zaginął, nie był poszukiwany. Przebadali ją lekarze i psychiatry. Zdiagnozowali chorobę afektywną dwubiegunową i zostawili ją w naszym domu opieki. Nawet pan nie wie, ile formalności trzeba było przejść, aby w dokumentach stworzyć Annę Kawecką i otrzymać pieniądze na jej pobyt. Proszę sobie wyobrazić, że był czas, iż to ksiądz Witold przysyłał fundusze na jej utrzymanie.

– Dobry człowiek...

– Na szczęście mamy już finansowanie Anny uregulowane prawnie. Czasami odnosiłam wrażenie, że ten duchowny czuje się odpowiedzialny za nią. Znalazł ją w tym lesie, to teraz musi chronić.

A kiedy go już nie ma, ta rola spoczywa na mnie, dodał w myślach Ryszard. Zastanawiał się, ile tajemnic jeszcze skrywał ksiądz Witold.

\* \* \*

– Nie spodziewałam się, że tak szybko chwyci go drugi udar – powiedziała Aurelia do męża.

Przyjechali do Pobierowa przedwczoraj i od razu dowiedzieli się o pogrzebie. Właśnie wracali z cmentarza i rozmyślali nad kruchością

ludzkiego życia.

– Ciekawa jestem, co pocznie teraz Matylda. Może przeprowadzi się do syna? Albo wszyscy zamieszkają tutaj? Szkoda, żeby taka zaradna sołtyska zostawiała teraz tę miejscowość.

– Mówisz to w sposób, jakby życie i dla niej się skończyło. – Christian spojrzał na żonę z uwagą. – Myślisz, że gdyby ciebie zabrakło, to ja miałbym pochować się żywcem? Chciałabyś tego?

– Chyba nie...

– No właśnie. Myślę, że powinna jak najszybciej otrząsnąć się po śmierci męża i wrócić do rutynowych zajęć. Znajac mieszkańców, sami jej ich dostarczą.

Szli powoli, każde pochłonięte swoimi myślami.

– Pójdziemy obejrzeć dzisiaj pensjonat? – spytała Aurelia. – Ta ulica jest niedaleko.

Zgodził się i już po chwili skręcali w leśną drogę. Uszli parę metrów i byli na miejscu. Przed nimi rozpościerał się gmach niedużego, ale luksusowego budynku. Z zewnątrz każdy szczegół wydawał się dopracowany. Wyczyszczone latarnie, odnowiona fasada, piękne kolumny i łukowate sklepienia.

– Ogromnie mi się podoba – powiedział Christian. – W środku też ma wszystko, co może spodobać się turystom. Jest basen, sauna, pokój do aktywności sportowej.

– Widzieliśmy to tylko na stronie internetowej – przypomniała żona.

– Umówiłem nas na spotkanie. Będzie we wtorek.

– Słucham?

– Chciałem zobaczyć, jak wygląda od wewnątrz. Poza tym, jeśli mamy zamieszkać tutaj na stałe, to musimy na czymś zarabiać.

– Dopiero co sprzedałeś firmę. Przecież mamy pieniądze – powiedziała Aurelia.

– Na ile? Na dziesięć lat? A potem klepanie biedy z naszych emerytur? Musimy myśleć przyszłościowo. Raz zainwestujemy i samo zacznie się kręcić. Nad morzem turyści będą zawsze.

– Owszem, ale tylko latem. Ekskluzywny pensjonat trzeba utrzymywać przez cały rok. Mieliśmy kupić coś kameralnego na wynajem.

– Ten – wskazał ręką budynek – ma ofertę całoroczną. Niemcy lubią Bałtyk także zimą. Mogą spacerować po plaży, ale po powrocie oczekują atrakcji także w hotelu czy pensjonacie. Tutaj będziemy w stanie im je zapewnić.

Skinęła głową, przyznając mu rację.

– Wszystko pięknie wygląda, tylko ta cena...

– Za luksus trzeba odpowiednio zapłacić.

Wracali do siebie. Aurelia jeszcze się wahała. Natomiast Christian był pewien, że szybko przekona ją do tej śmiałej decyzji.



## Epilog

Antoni Woźnica z zadowoleniem spojrzał na słup ogłoszeniowy. Był pusty, nim w całości obwiesił go swoimi plakatami wyborczymi. Od pogrzebu wójta każdego dnia zaglądał do urzędu gminy, aby się dowiedzieć, czy został ogłoszony termin przyspieszonych wyborów. Wszak do normalnych jeszcze prawie dwa lata. Wreszcie się doczekał.

– Naprawdę chcesz startować? – Barbara spojrzała z powątpiewaniem na męża. Przed chwilą patetycznie ogłosił jej swoją decyzję.

– Po co ci to? Na stare lata w politykę będziesz się bawił?

– To odpowiedzialność za mieszkańców! Zostali sami, więc trzeba wspomóc ich w potrzebie! Ta gmina potrzebuje mnie!

– To będę wójtową, tak? Będziesz zapraszany na różne bankiety i imprezy, a ja będę musiała na każdej pokazać się w innej sukience...

– Nagle jakby zrozumiała, o co chodzi i snuła swoje wizje: – Jako żona przywódcy powinnam zaangażować się w jakąś działalność dobroczynną. Może na rzecz kotów? Co ty na to, Melanio?

Antoni już nie był jej potrzebny do podjęcia decyzji. Wystarczyło mądre spojrzenie kociej przyjaciółki. Woźnica, skoro dostał aprobatę, od razu zaczął zbieranie głosów. Był pewien, że sto pięćdziesiąt wymaganych podpisów uzyska błyskawicznie. Niestety, do którego domu w Pobierowie by wszedł, stamtąd był wyprasany. Jeszcze się na mnie poznają, odgrażał się w duchu.

Nie pozostało mu nic innego, jak pozbierać głosy w pozostałych miejscowościach. Podjeżdżał pod lokalne sklepy i za kilka butelek piwa stawianych miejscowym pijaczkom zdobył wreszcie wymaganą liczbę wspierających go mieszkańców. Został oficjalnie zgłoszony jako kandydat na wójta. W ciągu kilku dni wydrukował plakaty wyborcze i porozwieszał je we wszystkich miejscowościach. Z zadowoleniem i poczuciem spełnienia patrzył na swoje zdjęcie wiszące na słupach ogłoszeniowych. Oczami wyobraźni widział siebie w wójtowskim gabinecie. Będzie musiał tam poprzestawiać graty, rozmyślał. Albo jeszcze lepiej, zamieni obecny pokój z kancelarią. Kto to widział, aby zwykła sekretarka miała więcej miejsca do pracy niż on? Tę dziewczynę także zwolni i zatrudni kogoś bardziej kompetentnego.

Wrócił do domu i przejrzał się w lustrze. W tym garniturze wyglądał całkiem nieźle. Jednak czegoś mu brakowało. Mężczyzna w takim dojrzałym i mądrym wieku powinien mieć brodę. Doda mu powagi i będzie prezentował się jeszcze lepiej. Włosy powinien lekko przyciemnić... Uznał jednak, że te kosmetyczne poprawki zrobi już po wygranych wyborach.

Wytrzymać tylko ten miesiąc! Kandydatów można zgłaszać jeszcze przez cztery dni. Nikt nowy nie doszedł, zatem wygraną miał w kieszeni. Najwyższy czas zacząć pisać przemówienie.

*Drodzy mieszkańcy gminy! Z wdzięcznością i ogromną odpowiedzialnością przyjmuję na siebie obowiązek, jakim mnie obarczyliście! Bycie włodarzem tej gminy to wyróżnienie dla mojej niezwykle skromnej osoby...*

Pisał i pisał. Przychodziło mu to z niesamowitą lekkością. Zanim się zorientował, nastał wieczór, a on odkładał na bok kolejną zapisaną kartkę.

\* \* \*

– Znowu kupiłeś jabłka? – Zoja zaskoczona spojrzała na zakupy stojące na podłodze w kuchni. – Przecież nie zjemy pięciu kilogramów owoców!

– Były w promocji, więc wziąłem. – Nie patrzył jej w oczy.

– Po co ja robiłam przeciery i konfitury w Gostyniu? Miały wystarczyć nam na zimę, a ty kupujesz świeże owoce i to w takich ilościach! Ja mam już ich powyżej uszu!

– Zjem je, nim się zorientujesz.

W połowie tygodnia ze zdumieniem odkryła, że w domu nie ma żadnego jabłka.

– Naprawdę zjadłeś całe pięć kilogramów? – spojrzała podejrzliwie.

Przytaknął.

– Były smaczne – skłamał.

Nie przyznał się, że trzy czwarte owoców wysłał do Jaromina, a sobie zostawił ledwie kilka sztuk. Następnym razem ukryje je w piwnicy, aby nie siać kolejnych wątpliwości.

Jutro chce wybrać się do centrum ogrodniczego. Powoli pojawiają się tam sadzonki drzewek owocowych. Musi upolować najlepsze odmiany jabłoni. Dokupi także kilka rzeczy niezbędnych w ogrodzie. Przydadzą się nowe grabie i łopata, bo poprzednią połamał podczas zasypywania miejsca pochówku, konewka i ze dwa wiadra. Warto też zakupić farbę i odmalować płot na wiosnę. Powinien zrobić harmonogram prac i wyjazdów do Gostynia. Skoro już tam będzie, to zajrzy do Jaromina i odwiedzi Annę.

\* \* \*

– Zmęczona? – Ariel podał jej kawę i się uśmiechnął.

Aldona siedziała z Ewunią w chuście i choć całodzienne wyczerpanie było widoczne na jej twarzy, to z cierpliwością odpowiadała na wszystkie pytania dzieci. Nie spodziewała się jednak, że będzie ich aż tyle! Poprowadziła dzisiaj naukę szycia, ale zagadnienia poruszane przez wychowanków domu dziecka były najróżniejsze.

– Jak ma na imię? – to dotyczyło niemowlęcia.

– Zostaniesz moją mamą? – Aldona nie wiedziała, co odpowiedzieć na pytanie siedmioletniej, niebieskookiej blondynki. Na szczęście – lub nie – inne dzieci także zasypały ją pytaniami:

– Lubisz pomidorową?

– Z czego mogę uszyć kostium kosmonauty?

– Odwiedzisz nas jeszcze?

– Mogę pobawić się z tą małą? Ja byłabym mamą, a ona dzidziusiem.

Cierpliwie odpowiadała twierdząco lub przecząco, aż wreszcie padło nieuniknione pytanie bystrego chłopca.

– Dlaczego masz sztuczną nogę zamiast prawdziwej?

– Kiedyś długo chorowałam – odpowiedziała spokojnie. – Aby nowotwór nie zaatakował całego ciała, musiał być wycięty kawałek nogi.

– I już nie jesteś chora?

– Już nie.

– Moja mama chorowała na raka i zmarła. – W oczach chłopca załśniły łzy. – Dlaczego jedni umierają, a drudzy żyją?

Aldona nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Po prostu wstała

i przytuliła malca, który zupełnie się rozżalił. Ariel, widząc to wszystko, zaproponował, aby dzieci poszły do kuchni.

– Czeka tam na was ciepły jabłecznik upieczony przez naszą Walię.

Wychowanków nie trzeba było długo namawiać. Z krzykiem i radością pobiegły do jadalni. Nawet smutny chłopiec błyskawicznie się rozchmurzył. Aldona także dostała porcję ciasta i kawę. Przed zjedzeniem chciała nakarmić Ewę. Ariel przyglądał się im w zamyśleniu.

– Przyznam szczerze, że nie zauważyłem twojej inności – powiedział.

– Nie obnoszę się z nią. Protezę traktuję jak część swojego ciała.

– A kiedyś się obnosiłaś?

– Tak – odparła na wspomnienie siebie sprzed dwóch lat. – Bardzo mi zależało, żeby ludzie zauważyli, że nie jestem taka jak reszta, tylko wybrakowana. Chodziłam w krótkich spodenkach, zakładałam pończochy, spódniczki, aby po pewnym czasie dojść do wniosku, jak głupie jest moje zachowanie.

– Głupie? Sam nie wiem. Pewnie zachowywałbym się podobnie, gdybym stracił nogę.

– Dojrzałością jest stwierdzić, że to tylko noga. Mogłam stracić życie i nigdy nie zostać mamą. – Spojrzała na córeczkę z rozczuleniem.

– Może to dziwnie zabrzmie, ale cieszę się, że nie mam nogi. Zyskałam coś ważniejszego.

– Jesteś niesamowita!

– Nie, normalna. – Uśmiechnęła się do mężczyzny. Dopiła kawę, gdy do pokoju ponownie wbiegły dzieci.

– Pomożesz mi uszyć lalkę? – usłyszała. – I jej dziecko?

– Jasne!

– Ale niech będzie bez nogi! I taka ładna, jak ty!

Ariel przyglądał się tej wyjątkowej kobiecie, która przez przypadek stała na jego drodze. Ewa zasnęła mimo rozgardiaszu, który zapanaował. Wziął zatem małą z rąk mamy i usiadł w kąciku, od czasu do czasu bujając w ramionach, aby jak najdłużej pospała. Patrzył, z jaką radością dzieci skupiają się wokół Aldony, tworząc swoje pierwsze dzieła. Jego również cieszył widok tej kobiety, która zupełnym przypadkiem stała

na jego drodze. Musiała wyczuć jego spojrzenie, bo odwróciła się nagle i obdarzyła uśmiechem zapadającym prosto w serce.

\* \* \*

– Ile sztuk kupiłaś?

– Pięć. Tylko tyle rodzajów mieli w sklepie.

– No to robimy.

Dorota wzięła wszystkie opakowania i poszła do łazienki. Po pięciu minutach zawołała męża.

– Zaczekajmy, zaraz powinno się pokazać.

Po chwili na każdym z pięciu testów pojawiła się druga kreska.

– Jestem w ciąży! – Rzuciła się Piotrowi na szyję.

– Nie tak mocno, zgnieciesz go! – Wzruszony mężczyzna położył dłoń na brzuchu małżonki.

– Go? Jesteś pewien, że to będzie chłopiec? – Prawie skakała z radości.

– Na sto procent!

– Jeśli rzeczywiście to będzie syn, nazwiemy go Władysław. Mały Władek.

Pocałował Dorotę z wdzięcznością.

– Zadzwoń od razu do mamy – powiedziała. – Należy jej się chwila radości po tych smutnych tygodniach.

Prawie miesiąc upłynął od pogrzebu. Zostali jeszcze przez tydzień w Pobierowie, ale potem musieli wracać do Wrocławia. Namawiali Matyldę, aby wybrała się z nimi i ochłonęła. Nie zgodziła się. Chciała być blisko zmarłego męża. I choć nadal podczas rozmów telefonicznych płakała, szczególnie gdy do słuchawki podbiegała Amelka i wołała „dzia-dzia, dzia-dzia!”, to powoli uspokajała się i oswajała z nową sytuacją. Teraz, gdy zadzwonił Piotr, zaczęła rozmowę od relacji z codziennej wyprawy na cmentarz.

– Powyrzucałam stare znicze, zapaliłam dwa nowe – mówiła. – Zadzwoiłam do służb komunalnych, aby opróżnili śmietnik. Wszystko już z niego wypadło. No, a co u was? Amelce minęło przeziębienie?

– Tak, dzisiaj czuje się znacznie lepiej – odparł syn. – Za to Dorotę dopadła choroba.

– Przy małym dziecku to nieuniknione – powiedziała matka.  
– Niech dba o siebie, bierze leki i siedzi w ciepłe.  
– Mamo, ta choroba to... ciąża! – roześmiał się Piotr.  
Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, a potem nastąpiła eksplozja radości.  
– Kochani moi! Ogromnie wam gratuluję! Cieszę się! Dbaj o Dorotkę. Niech uważa na siebie i nie przepracowuje się! Jejku, naprawdę się cieszę! Znowu zostanę babcią!  
– Mamo, jeśli to będzie synek, damy mu na imię Władysław.  
Usłyszał cichy szloch.  
– Jestem pewna, że to będzie wnuk.  
Trzy godziny później do domu wróciła Dorota z potwierdzoną ciążą.  
– To siódmy tydzień. – Pokazywała świeżutką książeczkę. – Termin porodu mamy na pierwszego października.  
– Będziesz mogła spędzić wakacje w Pobierowie. Z Amelką – powiedział, patrząc na kalendarz. – Zawiozę was na cały lipiec do mamy, a potem będziemy przygotowywać się na kolejnego maluszka w domu. Gdy was nie będzie, odświeżę pokój i łóżeczko.  
Planowali przez cały wieczór, a potem zasnęli, trzymając się za ręce.

\* \* \*

Christian napełnił kieliszki szampanem.  
– Za naszą przyszłość. – Szkło zabrzęczało głucho.  
Nadal nie mogła uwierzyć w to, że kupili ten drogi pensjonat. Do ostatniej chwili się wahała. Przekonało ją zdecydowanie męża. I błysk w jego oczach. Miał poczucie, że wkracza w nowe życie pełne wyzwań.  
Dawno go takiego nie widziała. Nie spędzał wieczorów przy piwie i futbolu. Serfował w internecie i czytał o prowadzeniu pensjonatu oraz o sposobach przyciągnięcia turystów.  
– Pobierowo ma wszystko, czego potrzebują nawet wymagający goście – mówił. – Piękną plażę, świeże powietrze i lasy. A my będziemy mieli najpiękniejszy pensjonat w okolicy.

Wcielili słowa w czyny. Dzisiaj zostali właścicielami Luksoru.

– To oszczędności naszego życia – przypomniała Aurelia, stojąc z mężem w banku i robiąc przelew. – Jesteś pewien?

– Jak najbardziej!

Dopiero wieczorem się zrelaksowała. A może to szampan zrobił swoje?

– Na najbliższe majowe wolne dni mamy już trzy rezerwacje.

– Przeczytał właśnie maile od niemieckich przyjaciół. – To chyba dobry start?

Uśmiechnęła się, aby po chwili spochmurnieć.

– Czy do tego czasu uda się nam wykupić ten kwadrat?

Dopiero dzisiaj podczas podpisywania umowy dowiedzieli się o pewnym mankamacie, nic nieznaczącym, jak określili to dotychczasowi właściciele.

– Do naszego terenu przylega ta niewielka działka – powiedzieli, bagatelizując tę kwestię. – Ludzie, do których ona należy, mają tam postawioną przyczepę kempingową. Myślę, że bez problemu sprzedadzą wam ten mały kwadracik. Będziecie mogli zrobić tam parking dla gości.

Christian zaraz poszedł oglądać teren.

– Rzeczywiście, tu zrobimy podjazd, tam może ustawi się niewielką fontannę, ty dosadziłabyś ładne kwiaty – planował.

– Zostawimy państwu namiary na właścicieli tej posesji, to się dogadacie.

Aurelia miała na końcu języka pytanie, dlaczego sami tego nie zrobili, ale nie wiedzieć czemu, nie zadała go. Patrzyła na zadowolonego męża i też uznawała decyzję zakupu za dobrą. Zaczęła nawet planować, jakie prace należy wykonać w środku i jakie zmiany przeprowadzić, aby pensjonat przyciągał ludzi przez cały rok, a nie tylko latem. Tej nocy kładli się spać z ogromnym zadowoleniem.

\* \* \*

– Pani Matyldo, nie ma innej możliwości. – Przed sołtyską usiadł Jan Widacki. – Musi pani kandydować! Nie można zostawić ani Pobierowa, ani gminy w rękach tego człowieka!

Cztery dni temu emerytowany pułkownik zdębiał, gdy na każdym

słupie ogłoszeniowym zauważył rozwieszony plakaty wyborcze Antoniego Woźnicy. Nie lubił tego człowieka. Uważał go za fałszywego i pełnego obłudy typka spod ciemnej gwiazdy. Teraz ma aspiracje wójtowskie! Zadzwoił do urzędu gminy, żeby sprawdzić, kto jeszcze kandyduje. Poza Woźnicą zgłosił się jeszcze jakiś mało znaczący osobnik. I takie osoby mają startować do najważniejszego stanowiska w ich lokalnej społeczności?

– Nie, panie Janie. Nie nadaję się do tego. Już sołtysowanie jest dla mnie wyczerpujące psychicznie. Niektórych mieszkańców mamy naprawdę trudnych – odparła Matylda.

– Pani Matuszewska... Mąż sprawował tę funkcję przez wiele lat z ogromnym sukcesem! Teraz ktoś chce się pod to zwyczajnie podpiąć.

– Trudno. Ja naprawdę się nie nadaję.

– Proszę to powiedzieć tym ludziom. – Widacki wyciągnął plik papierów. – To listy osób, które wyraziły poparcie dla pani jako kandydatki na wójta.

Zerknęła na zapisane kartki.

– Tu jest dziewięćset podpisów! – powiedziała zdumiona.

– Tak, prawie wszyscy mieszkańcy wyrazili poparcie dla pani. Nie podpisali się tylko ci, których nie zastałem – odparł.

– Boże mój... I co ja mam teraz zrobić? Nie mam w ogóle głowy do tego, aby kandydować, nie mówiąc o zdobywaniu poparcia w innych miejscowościach i prowadzeniu kampanii wyborczej. Poza tym, chyba za późno na zgłoszenie kandydatury.

Jan Widacki poczerwieniał.

– Powiem prawdę. Jest możliwość zgłoszenia kandydata przez samych wyborców, musi być tylko złożona określona liczba podpisów na listach. My przekroczyliśmy ją kilkakrotnie i wczoraj – zająknął się – wczoraj została pani wpisana na listę kandydatów. Termin upłynął dzisiaj. Nie mogliśmy czekać. Ma pani tydzień na zrezygnowanie z tej decyzji. Tylko błagam, proszę tego nie robić! Wierzymy w panią! Sprawdziła się pani jako sołtys naszej miejscowości, będzie więc pani potrafiła także poprowadzić gminę. To kontynuacja pracy Władka! Nie można jej zostawić ani pozwolić, by ktoś inny zniweczył wszelkie dokonania!

Czego chciałby zmarły mąż? Zastanawiała się nad tym w ciszy. Za-



pewne namawiałby ją do wzięcia udziału w wyborach. Powtarzałby, że da sobie radę, a jeżeli czegoś nie potrafi, to szybko się nauczy. Taki był.

– Dobrze. Zgadzam się – powiedziała cicho do Widackiego.

\* \* \*

Nad Pobierowem wstawał lutowy świt. Było chłodno, ale słońce budziło mieszkańców silnymi promieniami. Wschodziło najpierw nad polem, przechodziło nad las, aby wreszcie wznieść się nad domy i pensjonaty. Zapowiadało kolejny cudowny dzień. Wczorajsze smutki i niepowodzenia odchodziły, robiąc miejsce budzącej się nadziei.

## Podziękowania

Właśnie przeczytali Państwo kolejną moją książkę. Cieszę się, że zaufaliście mi i wciąż sięgacie po moją twórczość. Z tygodnia na tydzień przybywa czytelników, którzy chętnie dzielą się opiniami o powieści, zwierają ze swoich przemyśleń, trosk i problemów. Każdy może do mnie napisać! Podaję adres mailowy, o który tak często prosicie: matthias-s@o2.pl. Odpowiadam praktycznie od razu.

Moich książek nie byłoby, gdyby nie ogromna pomoc i wsparcie wielu osób. Nie jestem w stanie podziękować wszystkim, dlatego proszę o wybaczenie.

Ogromnie dziękuję Wydawnictwu Szara Godzina z panami Ireneuszem i Piotrem na czele. To dzięki nim „pobierowska trylogia” ujrzała światło dzienne. Dziękuję za profesjonalną współpracę.

Dziękuję też mojemu cudownemu Maciejowi! Gdyby nie mąż, chyba nie rozpocząłabym pisania książek. To on namówił mnie do tego, zwalniając przy okazji z wielu obowiązków związanych z dziećmi. Taki mąż to prawdziwy skarb! Dziękuję także moim wspaniałym pociechom – Weronice, Gabrielowi i Rafaelowi – za cierpliwość i idealne zachowanie podczas twórczej pracy. Dziękuję Rodzicom – Elżbiecie i Ryszardowi – za zaszczepienie miłości do książek, a Rodzeństwu – Renacie, Jagodzie i Wojtkowi – za wszystko.

Dziękuję Iwonie Zacharczuk, prawdziwej sołtysce Pobierowa, za wsparcie na każdym etapie pisania i pomoc podczas zbierania materiałów. Mieszkańcom tej cudownej miejscowości dziękuję zaś za każde dobre słowo!

Pragnę podziękować moim cudownym Bibliotekom i Bibliotekarzom, którzy tak chętnie promują moje powieści: bibliotece w Karsiborze, w Gryficach, w Dziwnowie. Prowadzą je fantastyczni ludzie! Z miesiąca na miesiąc poznaję coraz więcej takich miejsc.

Dziękuję moim fanklubom w Gryficach, Szczecinie i Policach. Jesteście Kochani!

A przede wszystkim dziękuję Czytelnikom. To dzięki Wam i dla Was piszę!

*Dorota Schrammek*



